

Juan Luis Lorda

być chrześcijaninem



Księgarnia św. Jacka

---

APOSTOLICUM

Katowice – Zabki 2005

## Prezentacja

W książce tej mało jest lub nie ma niczego, co byłoby wyłącznie moje. Ascetyka jest doświadczeniem życia wiary, które Kościół gromadzi i przekazuje od swoich początków. Niniejsza książka zawiera to, co ja sam otrzymałem od innych, a w sposób szczególnie od Założyciela Opus Dei, św. Josemarii Escrivy de Balaguera, którego duchowi zawdzięczam prawie wszystko, co posiada mój duch. Pozostałe rzeczy pochodzą od autorów klasycznych: niektórych Ojców Kościoła, a wśród nich w sposób szczególnie od św. Grzegorza z Nyssy (IV w.), św. Augustyna i Kajsjana (IV-V w.), św. Jana Chryzostoma (IV-V w.) i św. Grzegorza Wielkiego (VI-VII w.); od pisarzy takich, jak św. Tomasz z Akwinu (XIII w.), św. Teresa z Avili, św. Jan z Avili i św. Jan od Krzyża (XVI w.), św. Franciszek Salezy (XVI-XVII w.) i wielu innych. Wśród autorów bardziej współczesnych pomocną była dla mnie lektura dzieł Newmana, Chestertona, Lewisa, Knoxa, Guardiniego i Piepera. Przydatne okazały się także utwory takich autorów zajmujących się duchowością, jak: Boylan, Chevrot czy Garrigou-La-grange.

W redagowaniu tych stronicy ważną rolę odegrała „Antologia de Textos”, autorstwa Francisco Fernández Carvajala. Pomocne były również niektóre teksty patrystyczne, które zaczerpnąłem z tejże antologii. Wszystkie cytaty starałem się przytaczać w sposób jak najbardziej prosty, tak aby nie przeciążać samego tekstu książki. Wiele cytatów wziętych od Założyciela Opus Dei wprowadzam, podając jedynie tytuł książki i numer cytowanego punk-

tu: „Droga”, „Kuźnia”, „Bruzda”, „To Chrystus przechodzi”, „Przyjaciele Boga”, „Rozmowy z prałatem Escrivá”, „Droga Krzyżowa”.

Okazją do napisania tej książki stała się rekonwalescencja po operacji, której poddałem się w Klinice Uniwersyteckiej w Pampelunie. Będąc w szpitalu otrzymałem niezliczone wyrazy życzliwości, doświadczyłem opieki mojej matki i wielu przyjaciół oraz troskliwej opieki lekarzy i pielęgniarek. Im wszystkim pragnę wyrazić moją wdzięczność.

J.L.L

## Wprowadzenie

*Chwała na wysokości Bogu,  
a na ziemi pokój ludziom Jego upodobania*

(Łk 2,14)

Św. Marek opowiada w swojej Ewangelii (12,28-30) o tym, jak pewnego razu zbliżył się do Pana pewien uczony w Piśmie i zapytał Go, które z przykazań jest najważniejsze. Jezus odpowiedział mu: *Pierwsze jest: Słuchaj, Izraelu, Pan Bóg nasz, Pan jest jeden. Będziesz miłował Pana, Boga swego, całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem i całą swoją mocą.*

Słowa Chrystusa zabrzmiały z pewnością bardzo swojsko w uszach tych wszystkich, którzy Go wówczas słuchali, jako że chodzi tu o fragment Prawa Mojżeszowego (Pwt 6,4), który Żydzi mieli zwyczaj recytować w formie modlitwy przynajmniej dwa razy dziennie. Mimo to sam fakt, że uczony postawił to pytanie – św. Mateusz zwraca ponadto uwagę, że chciał on wypróbować Jezusa (Mt 23,35) – wskazuje, że odpowiedź mogła być inna, lub też że drudzy nie odpowiedzieliby na nie w ten sam sposób.

Wówczas, podobnie jak i dzisiaj, to przykazanie, jakkolwiek teoretycznie zostałyby uznane za pierwsze i najważniejsze, mogło pozostać niezauważone w jakiejś pochoptnej odpowiedzi. Otóż nie jest wcale rzeczą łatwą, aby rzeczywiście zajęło pierwszoplanowe miejsce w codziennym życiu, gdzie musi rywalizować z tyloma małymi i wielkimi troskami, które absorbują naszą uwagę. Być może nigdy nie zatrzymaliśmy się, aby pomyśleć, jak niesły-



chanie wielkie wymagania niosą z sobą te słowa, których nauczyliśmy się jeszcze w dzieciństwie: *Będziesz miłował Pana, Boga swego, całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem i całą swoją mocą.*

Fakt, że słyszymy je z ust Chrystusa, wydaje się nadawać im specjalne znaczenie, a przede wszystkim dla nas, chrześcijan, nabiera rangi Pierwszego Przykazania, to znaczy staje się tym, czego Bóg nade wszystko od nas oczekuje. Taki jest bowiem podstawowy wymóg i zasada chrześcijańskiego życia: kochać Pana Boga ze wszystkich sił duszy i ciała.

To pierwsze przykazanie pojawia się w nierozdzielnej łączności z drugim: *Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego* (Mk 12,31; Łk 10,27). Chrystus, w odpowiedzi danej owemu uczonemu w Piśmie, chciał je połączyć. Później z mocą potwierdził to, dając nowe przykazanie, w którym prosił swoich uczniów, aby się miłowali tak, jak On ich umiłował; to znaczy, nie tylko jak samych siebie, lecz taką niezmierną miłością, jaka przepęłniała serce Jezusa, który był Bogiem.

Jak zdobyć taką miłość? Jakim sposobem za życia umiłować Boga ze wszystkich sił, a bliźniego jak siebie samego, a nawet bardziej, pokochać go miłością Bożą? Chodzi nie tylko o żywienie uczuć pewnej sympatii, upodobania czy nawet życzliwości, ale miłości, która koncentrowałaby wszystkie energie ludzkiej natury. Lecz czy jesteśmy zdolni kochać w ten sposób, czy jest w naszej mocy ukierunkować wszystkie nasze siły, aby połączyły się w miłość tak absolutną?

Odpowiedź potwierdzona doświadczeniem wielu ludzi, którzy na przestrzeni wieków usiłowali ją osiągnąć, jest pozytywna – taka miłość jest możliwa, lecz nie może być improwizowana. Nie jest ona jednodniowym afektem, a dla jej zdobycia nie wystarczy chwilowa decyzja, nawet ta najbardziej stanowcza, gdyż jest ona dziełem całego życia. Jedynie poprzez cierpliwy, stały, ponawiany i przemyślany wysiłek oraz Bożą pomoc dochodzi się do

zdolności umiłowania Boga ponad wszystko, a bliźniego jak siebie samego.

Ta zdolność umiłowania zakłada nadzwyczajną koncentrację sił i ogarnia wszystkie poziomy ludzkiej natury. Tradycja chrześcijańska nazywa ten stan świętością: *Wybrał nas przed założeniem świata, abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem (Ef 1, 4)*. Czyni ona człowieka podobnym do samego Boga: *Każdy, kto miłuje, narodził się z Boga i zna Boga. Kto nie miłuje, nie zna Boga, bo Bóg jest miłością (...). Bóg jest miłością: kto trwa w miłości, trwa w Bogu, a Bóg trwa w nim (1 J 4,7-8.16)*.

Świętość ta, której Bóg oczekuje od człowieka, jest w dużej mierze czystym darem od Niego – łaską – otrzymywaną za pośrednictwem Jezusa Chrystusa. *W tym przejawia się miłość, że nie my umiłowaliśmy Boga, ale że On sam nas umiłował i posłał Syna swojego (1 J 4,10)*. Uświęcanie się zależy jednak również od wysiłku człowieka, który cierpliwie usiłuje przewyciężyć swoje ograniczenia, zwiększać swoje zdolności i koncentrować swoje siły w ten sposób, aby każdego dnia kochać więcej i doskonalej.

Już od bardzo dawna tradycja chrześcijańska posługuje się bardzo szczęśliwym porównaniem, pozwalającym zilustrować ten proces. Bazuje ono na wspaniałej teofanii (objawieniu Boga), która miała miejsce na górze Synaj, i w której Bóg ustanowił poprzez Mojżesza uroczyste przymierze z narodem izraelskim. Księga Wyjścia (Wj 19) opisuje, jak chwała Boża okryła szczyt góry. Mojżesz wszedł tam, aby rozmawiać z Bogiem *twarzą w twarz, jak się rozmawia z przyjacielem (Wj 33,11; por. Pwt 34,10)*. Tym razem Bóg powierzył Mojżeszowi całość przepisów moralnych i rytualnych, które miały stanowić zaczątek religii żydowskiej; wśród nich Dziesięcioro Przykazań. Zanim Bóg się objawił, Izraelici musieli poddać się wielkiemu oczyszczeniu (Wj 19,14-15), Nie pozwolono też nikomu, kto był nieczysty, przekroczyć wytyczonych granic góry (Wj 19,21-22).

Starożytni pisarze chrześcijańscy, Ojcowie Kościoła, jak np. Orygenes czy św. Grzegorz z Nyssy, widzieli we wstąpieniu Mojżesza na górę obraz wysiłku oczyszczenia, którego powinien dokonać chrześcijanin, aby stać się zdolnym do kontemplowania i kochania Pana Boga. Św. Jan od Krzyża używa tego samego obrazu, jakkolwiek woli nazywać swoją górę Karmelem, na cześć patronów zakonu karmelitańskiego. Podobnie jak wstąpienie na górę, uświęcenie jest procesem, który powinien dokonywać się za pomocą uporządkowanego wysiłku postępowania krok po kroku w kierunku szczytu. Właśnie dlatego ten proces oczyszczania, doskonalenia został nazwany ascetyką lub też ascezą, słowem pochodzącym z języka greckiego, oznaczającym wysiłek lub ćwiczenie. Nie trzeba jednak od razu myśleć o jakiejś strasznej, dalekiej wspinaczce, która wymagałaby wyczerpującego wysiłku. Ani Synaj, ani Karmel nie są szczytami bardzo wysokimi i można się tam wspiąć, wybierając proste ścieżki. Najważniejsze – jak podczas górskiej wycieczki – aby wspinać się powoli, rozkoszując się widokami ukazującymi się na horyzoncie, wdychając aromatyczną woń roślin, wchłaniając rozległy błękit nieba i świeżość wiatru. I tak samo jak podczas wyprawy – przewidziane są chwile odpoczynku i regeneracji sił. Wspinaczka wymaga wyrzeczeń, lecz otaczające piękno rekompensuje włożony wysiłek. Ponadto, w przypadku chrześcijanina, zdobycie szczytu dostarcza możliwości kontemplowania nie tylko cudownych pejzaży, lecz samego Boga.

Jeśli w tej wspinaczce chcemy uczynić jakikolwiek krok przybliżający nas do szczytu, to rzeczą nieodzowną jest posiadanie łaski Bożej. Bóg udziela jej w sposób hojny i tajemniczy. Może prowadzić chrześcijanina ku kontemplacji po drogach nowych i nieprzewidzianych. Bóg obdarza nią każdego człowieka w sposób odmienny. Bardzo ważną rzeczą jest liczyć na tę pomoc. Wspinanie się na swój własny koszt – jeśli pominiemy Pana Boga – spowoduje jedynie wyczerpanie naszych sił. Jego rezultatem

nie byłaby świętość chrześcijańska, która zakłada głęboką równowagę możliwości i zdolności, co raczej osobowość niezrównoważona. Człowiek zdominowany przez pychę mógłby rozpocząć tę wspinaczkę, licząc tylko na samego siebie, i może osiągnąłby nawet pewną wysokość, jednak bardzo daleką od szczytu, ponieważ obrana w ten sposób droga nie może go do niego przybliżyć. Różnica w pokonywaniu tej wędrówki przez chrześcijanina polega na tym, że on zbliżając się do szczytu, coraz intensywniej miłuje Pana Boga, podczas gdy ten drugi kocha jedynie samego siebie.

Lecz czym jest w rzeczywistości ta wspinaczka w życiu człowieka? Co sprawia, że człowiek staje się lepszym, niż był dawniej? Kiedy stawiamy sobie te pytania, zaczynamy powoli wchodzić w cudowny świat naszego wnętrza; przestrzeń o wiele bardziej pasjonującą niż wszechświat materialny, którego piękno zaledwie muskamy. Każdy człowiek kryje w sobie niezmierzone bogactwo, które jak ziarno oczekuje na rozwój. Jedynie ci, którzy weszli w świat ducha, wiedzą z własnego doświadczenia, że ten świat istnieje, i w pewien sposób już otworzyli się na niego. Jest to świat, którego nie można zobaczyć z zewnątrz, choć pewne jego przejawy pociągają i zaskakują.

Człowiek, który rozwija swój świat wewnętrzny, przedstawia obraz bardzo przyciągający. Podziw budzi spokojna rzeźkość, z którą działa, harmonijność ruchów ciała, subtelność i pewność w podejmowaniu decyzji, serdeczna i zarazem kategoryczna siła jego woli, wewnętrzny pokój i radość, umiejętność odnalezienia się w każdej sytuacji, sztuka rezygnowania z tego co zbędne bez popadania w smutek, a nawet obywanie się bez rzeczy koniecznych bez skargi, a także dobre samopoczucie w znoszeniu przeciwności i prostota w przyjmowaniu uśmiechów losu. Życie nabiera w tych ludziach takiej głębi, jakiej w innych się nie znajdzie. Podczas gdy gdzie indziej wydaje się płynąć bez osadzania się, nie pozostawiając żadnego śladu, to w ich przypadku osiada, gromadzi się i rośnie. We wszystkich kulturach znani są ludzie,

Wprowadzenie

---

którzy objawiali głęboką mądrość życiową. Współczesna kultura zachodnia szukała ostatnio inspiracji na Wschodzie, gdzie na przestrzeni wieków praktykowano różnorodne techniki koncentracji i rozwoju wewnętrznego. Niekiedy przejmowano ich najbardziej folklorystyczne elementy, zapominając przy tym, że nasza europejska tradycja posiada przebogate doświadczenia pracy nad życiem wewnętrznym. Klasyczne wykształcenie grecko-rzymskie polegało przede wszystkim na zapoznawaniu z przykładami najdonioślejszych czynów odwagi, miłości ojczyzny, synowskiego oddania i czci dla bohaterów narodowych. Owa mądrość życiowa została ubogacona dzięki Objawieniu chrześcijańskiemu, które wniosło, oprócz głębokiej znajomości istoty ludzkiej, nowy model człowieka – Jezusa Chrystusa – i siłę konieczną – łaskę Bożą – do tego, aby żyć według nowo zaproponowanego modelu.

Wewnętrzny rozwój człowieka jest uzależniony od pewnej osobliwości ducha: wszystkie dobrowolne akty pozostawiają ślad. Człowiek w miarę postępowania uczy się działać. Łatwo daje się to zauważyć na poziomie nabywania elementarnych zdolności i umiejętności. Każdy z nas zna ludzi bardzo zręcznych, nie tylko żonglerów, lecz także cieśli, rzemieślników, sportowców, muzyków itd. Wszyscy oni posiadają zdolność łatwego i perfekcyjnego wykonywania czynności, które dla nas byłyby niemożliwe lub co najmniej bardzo trudne. I wszyscy doszli do opanowania tych technik (zrobienie szafy, skok o tyczce, gra na harfie) w taki sam sposób: przez wielokrotne powtarzanie tych samych czynności. Na przykład dobry muzyk, aby uzyskać pożądaną efekt, ćwiczy przez wiele dni w ciągu roku po kilka godzin dziennie.

Taka jest właśnie złota zasada kształcenia ducha: powtarzanie. A ponieważ każde działanie pozostawia swój ślad, powtarzanie tej samej czynności wielokrotnie pozostawia ostatecznie ślad bardzo głęboki. Nie dzieje się tak jedynie na tym niższym poziomie, na którym – mówiąc w uproszczeniu – staramy się „przyzwy-

czaić ciało” do pewnej czynności, tak jak przyzwyczajamy palce do gry na harfie, lecz także wówczas, kiedy w grę wchodzi „przyzwyczajenie ducha” do określonego działania. Dobrym przykładem jest tu sytuacja, dotycząca większej części ludzkości: poranne wstawanie. Prawie wszyscy doświadczają skutków lenistwa, któremu ulegają w chwili wstawania, najczęściej ludzie młodzi, dla których to doświadczenie jest jeszcze bardzo świeże. Jeśli podnosisz się na dźwięk budzika, wyrabiasz w sobie zwyczaj wstawania i, z wyjątkiem przypadków wyjątkowego zmęczenia, za każdym razem staje się ono łatwiejsze. Natomiast jeśli pewnego dnia pozostaniesz w łóżku o kilka minut dłużej, następnego dnia opuszczenie łóżka będzie cię kosztowało więcej wysiłku; jeśli kolejnego dnia znowu ulegniesz, wstanie będzie się stawało z każdym dniem trudniejsze. Aż przyjdzie chwila, kiedy nie usłyszysz budzika.

Zarówno dobre, jak i złe działania kształtują zwyczaje i skłonności ducha, tzn. nawyki postępowania. Dobre nazywane są cnotami, a złe wadami. Dobrym zwyczajem ducha jest, np. umiejętność podejmowania rozważnych decyzji i właściwa ocena okoliczności jej towarzyszących. Natomiast wadą na tym samym polu jest lekkomyślność, która prowadzi do podejmowania głupich decyzji i do częstego ich zmieniania. To, co nazywamy „siłą woli”, nie jest niczym innym jak sumą dobrych nawyków wykształconych przez powtórzenie wielu czynności, które mają ten sam cel.

Dobre nawyki – cnoty – prowadzą do tego, że inteligencja zaczyna dominować w życiu duchowym. Wady rozpraszają siły człowieka, podczas gdy cnoty je koncentrują i oddają na służbę ducha. Człowiek, który posiada wadę lenistwa, może zwracać uwagę swoimi wspaniałymi postanowieniami, lecz jest niezdolny do ich wypełnienia. Jego duch zostaje pokonany przez lenistwo, przez wewnętrzny, zniewalający opór udaremniający działanie. Każdy uczeń doświadcza głęboko tej walki pomiędzy tym, czego zamierza się nauczyć, a tym, co potem rzeczywiście przestudiuje.

To zadziwiające, ale nie wystarczy coś sobie postanowić, aby być zdolnym do przeżycia tego: jakże trudno jest przestać palić albo przestrzegać diety odchudzającej! Nie wystarczy bowiem samo podjęcie decyzji.

Jedynie poprzez wysiłek – powtarzając wielokrotnie czyny, które wymagają niewiele wysiłku – osiąga się niezbędne panowanie nad samym sobą. Osoba, która posiada cnoty, jest zdolna, np. odmówić sobie zjedzenia tego, czego jeść nie powinna, jakkolwiek bardzo by miała na to ochotę: albo do zmobilizowania się do pracy wówczas, kiedy jest bardzo zmęczona; nie obraża się też łatwo z powodu błahostki. Ponadto w swoim działaniu kieruje się rozsądkiem: potrafi zmobilizować się – przynajmniej do pewnego stopnia – i przystąpić do wykonania tego, co jej zdaniem jest konieczne. Natomiast ten, kto nie posiada cnót, jest niezdolny – także do pewnego stopnia – do czynienia tego, czego pragnie. Choć podejmuje decyzje, to jednak ich nie wypełnia. Dlatego nie udaje mu się dokonać tego, co sobie wcześniej założył: nie wykonuje tego, co zamierzył ani nie urzeczywistnia tego, co sobie postanowił.

Wszystko to sprawia, że osoba obdarzona cnotami jest o wiele bardziej wolna niż ta, która ich nie posiada. Potrafi ona bowiem czynić to, co chce, co postanawia – do czego ta druga jest niezdolna. Ten, kto nie posiada cnót, nie może decydować za samego siebie, lecz coś decyduje za niego. Być może czyni – jak to określa hiszpański katechizm – „to, na co ma ochotę”. Lecz ochota nie jest tym samym co wolność. Ochota jest jak chorągiewka, która zwraca się w tym kierunku, skąd wieje wiatr. Człowiekowi leniwemu może się wydawać, że nie wykonuje pracy, ponieważ „nie interesuje go” lub „nie ma na to ochoty” i podnosi do rangi wolności to, co w rzeczywistości jest zniewoleniem. Jeśli nie pracuje w tej chwili, to nie dlatego, że ćwiczy swoją wolność, lecz dlatego, że „nie jest zdolny” pracować. Dowodem na to jest fakt, że „ochoty” z zadziwiającą stałością zmierzają w tym samym

kierunku. Osobę, która przyzwyczaiła się jeść za dużo, „ochoty” ukierunkowują raz po raz, dzień za dniem, do jedzenia więcej niż powinna, a rzadko do zachowania postu. Człowieka leniwego zaś prowadzą do zaniedbywania pracy, rzadko natomiast do realizowania nadzwyczajnych wyrzeczeń.

Pielęgnowanie cnót sprawia, że człowiek jest zdolny zapanować nad swoim rozumem, wolą i całym obszarem działania. Cnoty skupiają siły człowieka, który dzięki nim zdobywa umiejętność koncentrowania swoich wysiłków na wybranym przez siebie celu. Słowo cnota – łacińskie *virtus* – powiązane jest ze słowami „człowiek” (*vir*) i „siła” (*vis*). Cnoty stanowią ogromny potencjał człowieka, jakkolwiek jego budowa fizyczna może być słaba. Tylko ten, kto posiada cnoty, jest zdolny żyć w zgodzie ze swoimi zasadami, nie rezygnując z nich na każdym kroku, z powodu niewielkich nawet trudności czy przeciwności losu.

Natomiast nawet małe uchybienia w postępowaniu – przyzwyczajenie się do niewykonywania rzeczy na czas i nie w taki sposób, w jaki powinny być wykonane – osłabiają siłę woli i czynią człowieka niezdolnym do życia zgodnego z jego ideałami. Są małymi zniewoleniami, które prowadzą do ukształtowania się przeciętnej osobowości.

Z tej przyczyny jest rzeczą zrozumiałą, że po to, aby móc kochać Boga nade wszystko, aby Go miłować całym sercem, całą duszą, całym umysłem, ze wszystkich sił, człowiek nie może obyć się bez pewnego potencjału cnót. I tylko ten, kto je posiada, zdolny jest wypełnić to przykazanie. Takie jest zamierzenie ascetyki: kształtować cnoty konieczne do skoncentrowania się na miłości Boga i bliźniego.

Już wcześniej zauważyliśmy, że ascetyka chrześcijańska różni się od innych. Zasadniczą różnicą jest fakt, iż jej wzorem człowieka jest Jezus Chrystus. Nie możemy niestety śledzić bezpośrednio Jego postępowania. Wiele się jednak od Niego nauczymy, jeśli choć z odrobiną uwagi będziemy czytać Ewangelie. Chrześcija-



nin nie tylko stawia sobie Jezusa Chrystusa za przykład, lecz dąży do utożsamienia się z Nim, myśląc o tym, o czym On myślał, posiadając te same kryteria postępowania, które On posiadał, działając tak, jak On by postąpił, jeśli znalazłby się w naszym położeniu. Dlatego też święci, ludzie, którzy osiągnęli wyjątkową bliskość z Bogiem, pośrednio także ukazują nam oblicze Pana.

To utożsamianie się jest po części świadome – kiedy usiłujemy działać tak, jak nam się wydaje, że Chrystus by postąpił, i po części nieświadome – ponieważ działanie Boga poprzez łaskę wytwarza w sposób spontaniczny ten efekt. Św. Paweł wyraża tę tajemnicę na wiele sposobów, a zwłaszcza wówczas, kiedy w swojej ludzkiej i chrześcijańskiej dojrzałości może zawołać: *Razem z Chrystusem zostałem przybity do krzyża. Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus (Ga 2,19-20)*. I radzi Efezjanom: *Niech Chrystus zamieszka przez wiarę w waszych sercach; abyście w miłości wkorzeni i ugruntowani, wraz ze wszystkimi świętymi zdolali ogarnąć duchem, czym jest Szerokość, Długość, Wysokość i Głębokość, i poznać miłość Chrystusa, przewyższającą wszelką wiedzę, abyście zostali napełnieni całą Pełnią Bożą (Ef 3,17-19)*. Ta identyfikacja z Chrystusem jest celem chrześcijańskiej ascetyki.

Treść niniejszej książki została podzielona na dwie części. W pierwszej z nich mowa jest o sposobie nabywania tych cnót, które pozwalają udoskonalić działanie i dojść do umiłowania Boga ponad wszystko. W drugiej natomiast zostały przedstawione pewne rysy życia Chrystusa, które chrześcijanin powinien starać się świadomie naśladować.

Książka ta nie jest, ściśle rzecz biorąc, „metodyką ascetyki”. Usiłuje jedynie dostarczyć pewnych wskazań, które pomogą w uczynieniu pierwszych kroków w wędrówce na szczyt. Niezbędne jest przy tym jedno spostrzeżenie. Wspomniałem już o realnej różnicy pomiędzy chęcią działania a działaniem efektywnym. Ascetyka nie jest wiedzą pożyteczną, jeśli człowiek nie stara się jej praktykować. Aby lektura tej książki miała sens, wyma-

gana jest ze strony czytelnika czynna dyspozycyjność: nieustanne podejmowanie małych rozwiązań i postanowień, które pomogą mu czynić postępy. I tak jak podczas każdej wspinaczki najważniejszą rzeczą nie jest świetna znajomość drogi, lecz kroczenie po niej. Ponadto zważywszy, że szczytu nie da się osiągnąć w jednym momencie, niejednokrotnie trzeba na nowo rozpoczynać wędrówkę i powracać do tych samych postanowień.

Jeśli wybierze się taki sposób postępowania, wkrótce okaże się, że nie jest on tak bardzo skomplikowany. Życie chrześcijanina – jak każde życie – charakteryzuje się wieloma cechami spontaniczności. Zwierzęta i rośliny wzrastają same z siebie i to samo dzieje się w tym przypadku. Dlatego zbędna jest nadmierna troska o drobne szczegóły; najważniejsze to stawiać krok za krokiem. To zapewni cnotom rozwój. Ponadto cnoty – jak to się dzieje z organami istot żywych – mają tendencję do harmonijnego wzrostu. Kiedy się wzrasta w jednej cnotcie, w pewien sposób wzrasta się we wszystkich. Idee i uwagi, których może dostarczyć ta książka, starają się być bodźcem, na miarę nawozu albo odrobiny światła, które pomagają wzrastać roślinie, lecz nie zastępują jej wewnętrznego dynamizmu.

Ten kto rozpocznie wędrówkę, dostrzeże, że chodzi tu o cudowne doświadczenie. Jeśli wytrwa, jego życie nabierze nowego, głębokiego wymiaru, stanie się pasjonujące. Ponieważ Boga można kochać tylko w sposób pasjonujący.

CZĘŚĆ I

# FUNDAMENTY

*I jeśli kto miłuje sprawiedliwość –  
jej to dziełem są cnoty:  
uczy bowiem umiarkowania i roztropności,  
sprawiedliwości i męstwa,  
od których nie ma dla ludzi nic lepszego w życiu*  
(Mdr 8,7)

W pierwszej części książki „Być chrześcijaninem” zostaną przedstawione podstawowe aspekty ascetyki, omówione w trzydziestu rozdziałach. Trzy pierwsze traktują temat ogólnie. Rozdział „Znaczenie obecności Boga” ma nam pomóc zobaczyć Boga we wszystkim, odczuwać Jego bliskość i w ten sposób zbliżać się do Niego i kochać Go coraz dojrzalej. Rozdział „Poznanie samego siebie” pozwala nam spojrzeć na siebie z właściwej perspektywy i wskazuje na to, co musimy uczynić, aby stać się lepszymi. Poznanie własnych wad prowadzi nas do „Walki ascetycznej”. Ostatni rozdział podkreśla, jak ważne jest stawać się lepszym każdego dnia, choć odrobinę, i po każdej porażce rozpoczynać na nowo. Następnie opisane są cnoty, najpierw te, które uwalniają nas od najsilniejszych namiętności: lenistwa, umiłowania dobrobytu, zmysłowości i pychy. Są pierwszymi, które trzeba osiąść, chcąc osiągnąć wewnętrzną wolność i zdolność kochania Boga; są nimi: męstwo, wyrzeczenie się, czystość i pokora. Kolejne dwa rozdziały poświęcone są tym cnotom, które nadają osobie szczególne usposobienie: prostocie i radości. Objawiają się one wówczas, gdy życie ascetyczne zaczyna wzrastać. Dalej mowa jest o roztropności, za którą odpowiedzialna jest mądrość, a przejawia się w zdolności wybierania dobra oraz prawości, która wynika z woli i odnosi się do umiłowania obowiązku. Obie, a w sposób

szczególny ta druga, mają prowadzić do ukoronowania wysiłków. „Życ dla innych” to podstawowy kierunek życia chrześcijanina. Praca jest działaniem, któremu poświęcamy większą część naszego życia, jest sposobem służenia innym i miejscem, gdzie możemy spotkać Boga w świecie doczesnym.

## Znaczenie obecności Boga

Jednym z najbardziej urzekających momentów Dziejów Apostolskich jest przemowa św. Pawła do Ateńczyków. Po kilkudniowym nauczaniu w tym mieście poproszono go, aby przedstawił swoją naukę na agorze, gdzie z upodobaniem spotykali się na rozmowach mieszkańcy tego światłego miasta. Tam też Paweł, uciekając się do klasycznej retoryki, którą znał dobrze, rozpoczęła wspaniałą przemowę, zaczynając od tego, kim jest Bóg, aby przejść potem do zbawienia w Jezusie Chrystusie. Mowa ta nie odniosła jednak sukcesu, ponieważ Ateńczycy, usłyszawszy z jego ust o zmartwychwstaniu umarłych, zaczęli z niego drwić. Nawróciło się zaledwie kilku (Dz 17, 16-34). Dla owych ludzi, ogarniętych sceptycyzmem, niemożliwe było zaakceptowanie tego, że Chrystus mógłby zmartwychwstać. Wiara chrześcijańska napotkała w tym miejscu opór, który trudno było przezwyciężyć. Także w pierwszej części przemowy, pośród pozornej harmonii, istniały ogromne różnice. Paweł tak się wyraził, mówiąc o Bogu: *Bóg, który stworzył świat i wszystko na nim, On, który jest Panem nieba i ziemi (...) sam daje wszystkim życie i oddech, (...). On z jednego [człowieka] wyprowadził cały rodzaj ludzki (...), aby szukali Boga, czy nie znajdą Go niejako po omacku. Bo w rzeczywistości jest On niedaleko od każdego z nas (Dz 17,24-27).*

W tym znakomitym przemówieniu św. Paweł daje nam trzy istotne elementy chrześcijańskiej teologii, dotyczące Boga. Bóg stwarza wszystkie rzeczy i przez to jest ich Panem; Bóg stwarza człowieka i stwarza go dla siebie, aby doszedł do poznania i umi-

lowania Go; i wreszcie przekonanie, że to spotkanie z Bogiem jest możliwe, ponieważ *jest On niedaleko od każdego z nas*.

W tych ostatnich słowach dopatrywano się aluzji do poety Epimenidesa z Knosos (VI w. przed Chr.), lecz wyrażona idea jest w pełni biblijna. Znajdziemy ją wiele wieków wcześniej w innej, wspanialej mowie, w której to Mojżesz przypomina swojemu ludowi o wszystkich przejawach Bożej opieki nad nim. Mojżesz powiedział wówczas Izraelitom, że sąsiednie narody powinny im zazdrościć, bo *któryż naród wielki ma bogów tak bliskich, jak Pan, Bóg nasz, ilekroć Go wzywamy?* (Pwt 4,7)

Bóg jest blisko, dużo bliżej nas niż owych Greków słuchających niegdyś św. Pawła, mających dosyć mętne wyobrażenia o Bogu. My, chrześcijanie, wiemy, że Bóg stworzył świat z niczego, i jeśli świat istnieje, to tylko dlatego, że Bóg tak chce. W każdym momencie zależy od Boga. W głębi istnienia każdej rzeczy kryje się Jego działanie, skoro chce, aby ta rzecz istniała. Taki jest właśnie teologiczny fundament wszechobecności Bożej. Poza tym obecność Boga przejawia się w wydarzeniach historycznych. Nie dzieje się nic, co nie byłoby zgodne z Jego planem i wolą. Światem nie rządzą ślepe siły przeznaczenia – jak sądzono w starożytności klasycznej – lecz przez zamysły bytu rozumnego, nieskończenie potężnego i dobrego. Ten plan Boga, który wszystko przewidział od zawsze, nazywany jest przez tradycję chrześcijańską Bożą opatrnością.

Te dwa przeświadczenia, że Bóg jest obecny we wszystkich rzeczach (wszechobecność Boża) i we wszystkich wydarzeniach (opatrność Boża), obdarzają chrześcijanina specyficzną i nową formą istnienia w świecie.

Świat nie jest miejscem niegościnnym, zdominowanym przez ciemne, zgubne i wielokroć przerażające siły, jak to sobie zgodnie wyobrażały najważniejsze antyczne cywilizacje. Jest dobry, wyszedł z rąk dobrego Boga i w nim objawia się Jego wielkość: *Niebiosa głoszą chwałę Boga, dzieło rąk Jego nieboskłon obwiesz-*

cza (Ps 19,2). W tym właśnie świecie człowiek może spotkać Boga, albowiem od stworzenia świata niewidzialne Jego przymioty – wiekuista Jego potęga oraz bóstwo – stają się widzialne dla umysłu przez Jego dzieła (Rz 1,20).

Postępowanie chrześcijanina powinno być przeniknięte tymi przekonaniem, płynącymi z wiary. Bóg jest blisko. Jeśli naszym zamiarem jest ukochanie Go całym sercem, całą duszą, wszystkimi naszymi siłami, powinniśmy nauczyć się dostrzegać Go za osłoną wydarzeń i rzeczy: *Oto stoję u drzwi i kołaczę: jeśli kto posłyszysz mój głos i drzwi otworzy, wejdę do niego i będę z nim wieczerał, a on ze mną* (Ap 3,20).

Bynajmniej nie należy szukać chwil czy miejsc uprzywilejowanych. Wystarczy chcieć mówić do Niego, ponieważ: *Pan jest blisko wszystkich, którzy Go wzywają, wszystkich wzywających Go szczerze* (Ps 145, 18). Wymagana jest jednak pewna dojrzałość pozwalająca wykształcić na stałe świadomość tego, że Bóg jest blisko nas – jednym słowem: zmysł obecności Boga.

Tradycja judeochrześcijańska rozumiała obecność Boga w dwojaki sposób: po pierwsze – jako widzenie Boga w Jego stworzeniach; po drugie – jako poczucie bycia Bożym stworzeniem, a przez to znajdowanie się w obecności Boga. To ostatnie prowadzi do wykształcenia świadomości, że Bóg przypatruje się nam i widzi to, co czynimy. W znakomity sposób wyraża to psalm 139:

*Panie, przenikasz i znasz mnie,  
Ty wiesz, kiedy siadam i wstaję.  
Z daleka przenikasz moje zamysły (...).  
Choć jeszcze nie ma słowa na języku:  
Ty, Panie, już znasz je w całości (...).  
Gdzież się oddałę przed Twoim duchem?  
Gdzie ucieknę od Twego oblicza?  
Gdy wstąpię do nieba, tam jesteś;*



jesteś przy mnie, gdy się w Szeolu położę.  
Gdybym przybrał skrzydła jutrzeńki,  
zamieszkał na krańcu morza:  
tam również Twa ręka będzie mnie wiodła  
i podtrzyma mię Twoja prawica (w. 1-2.4.7-10).

Plastycznym wyrażeniem tej prawdy jest przedstawienie Boga jako wszytkowidzącego oka. Zauważyliśmy je z pewnością na wielu ołtarzach czy obrazach. To spojrzenie nie jest oskarżające, lecz pochodzi od Ojca, który – pełen miłości – obserwuje to, co czynią Jego dzieci. Duży pożytek przynosi rozważanie tego kochającego spojrzenia. Każdy doświadczył, że obecność osoby kochanej nadaje codzienności ciepły odcień. Być może wykonujemy jakąś pracę i wiemy, że ktoś, kto nas kocha, stoi za nami, i mimo że z nim nie rozmawiamy, od chwili, w której uświadomiliśmy sobie jego obecność, nie pracujemy już w ten sam sposób: czujemy się wsparci, rozumiani, kochani. Ta sama prawda odnosi się do Boga. Jeśli przyzwyczaimy się do odczuwania Jego obecności tuż obok, nabędziemy łatwość rozmawiania z Nim w ciągu dnia, tak że nasza działalność przeniknięta będzie Jego obecnością.

Pomoże nam w tym również i inne rozważanie: Bóg jest obecny w rzeczach i w wydarzeniach. Bogu, Stwórcy świata, nic nie jest obce. Św. Jan od Krzyża mówi w sposób poetycki, że *stworzenia są jakby śladem przejścia Bożego* (Pieśń duchowa, V, 3, w: św. Jan od Krzyża, Dzieła, Kraków 1995, s. 555). Łatwo jest zauważyć Boga w cudach natury, rozległych panoramach, w harmonii kolorów nieba i ziemi, w spokoju lasów, łoskocie burz, bezkresie mórz... Można Go dostrzec także w codziennej rzeczywistości. Nie należy bowiem czekać na chwile inspiracji poetyckiej po to, aby Go odnaleźć. Przez to ograniczylibyśmy nasze spotkania z Nim tylko do nielicznych sytuacji. Powinniśmy przebywać z Nim codziennie, tak jak z kimś z rodziny albo z najlepszym przyjacielem. Dlatego trzeba spotykać Go w normalnych sytuacjach

naszego życia (które także mają swoją *vis poetica*, moc poetyczną). Św. Teresa od Jezusa jakby chcąc zrównoważyć liryzm wypowiedzi swojego habitowego towarzysza, przypomina nam, że *w kuchni także, wśród garnków i rondli, Pan jest z wami* (Św. Teresa od Jezusa, Księża Fundacji, w: *Dzieła*, t. II, Kraków 1986, s. 481). Problem nie tkwi bowiem w rzeczach, lecz w nas. *Nie jest daleko – zauważa św. Augustyn – Kochaj i się przybliży, Kochaj i zamieszka w tobie* (Kazanie 21). A w sposób szczególny Bóg obecny jest w ludziach, zwłaszcza w tych, którzy są blisko Niego.

Taki zmysł obecności Boga jest pierwszym krokiem na drodze ascetyki. Częsty kontakt z Nim pozwala nam kroczyć naprzód po tej drodze, która prowadzi do umiłowania Go ze wszystkich sił. Tutaj, podobnie jak w innych zagadnieniach ascetyki, nie wystarczy sama decyzja: *Chcę żyć w obecności Boga*. Niezbędne jest wyrobienie w sobie nawyku przez powtarzanie czynów, przez wielokrotne powracanie do zagadnień fundamentalnych – Bóg patrzy na mnie, jest ukryty za przedmiotami i wydarzeniami.

Tym, w jaki sposób pielęgnować pamięć, zajmowano się już w starożytności chrześcijańskiej, zwłaszcza wówczas, kiedy rozważano słowa Pana o tym, że *zawsze powinni się modlić i nie ustawać* (Łk 18,1). W jaki sposób można nieustannie trwać pamięcią przy Bogu? Jak wielokrotnie w ciągu dnia kierować ku Niemu umysł, jeśli tak łatwo ulegamy rozproszeniu, zajmując się sprawami, które codziennie zaprzatają naszą uwagę? Rozwiązaniem, które odnaleźli – i które nadal jest aktualne – było recytowanie, wiele razy w ciągu dnia, krótkich modlitw: prośb, westchnień, aktów miłości. Te krótkie modlitwy noszą nazwę aktów strzelistych.

Jak wyznaje św. Augustyn, była to stara tradycja, znana już wśród pustelników w Egipcie. Następnie rozszerzyła się na cały chrześcijański Wschód, aby w końcu dotrzeć na Zachód. Mnisi wschodni bardzo rozmiłowali się w tej praktyce, przyczyniając się do jej wielkiego rozwoju i czyniąc zeń ważny punkt swojej duchowości. Od nich np. pochodzi zwyczaj – który wszedł do litur-

gii – powtarzania: „Chryste, zmiłuj się nad nami, Panie, zmiłuj się nad nami, Chryste, zmiłuj się nad nami”: czy też inny, wprowadzony do liturgii Wielkiego Piątku (*Hagios* lub *Theos*) i przetłumaczony na wiele języków: „Święty Boże, Święty mocny, Święty, a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami”; albo też przepiękna modlitwa: „Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu”.

Ta prosta technika, polegająca na powtarzaniu bardzo prostych modlitw, nadal jest pożyteczna. Nie jest jednak konieczne powtarzanie jakichś wyszukanych modlitw. Wystarczą te, które spontanicznie pojawiają się na wargach: Panie, pomóż mi! Panie, przymnóż mi wiary! Panie, podsyć moją miłość! Panie, uczyn mnie wiernym Tobie! Wobec Boga powinniśmy zachowywać się jak dzieci: *Na modlitwie nie bądźcie gadatliwi jak poganie. Oni myślą, że przez wzgląd na swe wielomówstwo będą wysłuchani. Nie bądźcie podobni do nich! Albowiem wie Ojciec wasz, czego wam potrzeba, wpierw zanim Go poprosicie* (Mt 6,7-8).

Niekiedy odmawianie aktów strzelistych można zharmonizować z czynnościami powtarzanymi w ciągu dnia. Tradycja chrześcijańska potrafiła przepleść nimi, w ramach zdrowego rozsądku, najbardziej zwyczajne chwile dnia; nawet czas przeznaczony na przyrządzanie potraw. Przez wieki bowiem powtarzano, że jajko na miękko powinno gotować się przez dwie „Zdrowaśki”. W całej prostocie chodzi o urzekające świadectwo chrystianizacji, która zawędrowała nawet do codziennych drobiazgów. Także i nasze życie powinno być nasycone zmysłem chrześcijańskim, choć być może chcielibyśmy nadać mu ton bardziej osobisty. Wyjście lub wejście do mieszkania czy innego pomieszczenia może być okazją do przypomnienia sobie o Bogu; początek i koniec pracy, modlitwa przed jedzeniem, chwila, kiedy wstajemy czy myjemy się; spotkanie innych ludzi i modlitwa za nich... i wiele innych. Wiele mechanicznych i często powtarzanych czynności stało się okazją do odmawiania aktów strzelistych: zbiórka płodów rolnych, przesunięcie stołu w kuchni itd.

W przypomnieniu sobie o obecności Boga pomagają obrazy i symbole chrześcijańskie. Zawieszony w pokoju krzyż czy obraz Matki Bożej nie tylko jest świadectwem wiary tych, którzy tam mieszkają, lecz także może być dla nich okazją do wielu krótkich spotkań z Bogiem; wystarczy bowiem spojrzenie pełne miłości czy jeden z aktów strzelistych.

Ten wysiłek, aby „pamiętać”, prowadzi do wykształcenia nawyku prowadzącego do praktykowania świadomości, że Bóg nas widzi i słyszy. Z tego źródła narodzi się głębszy rodzaj obcowania z Bogiem. Życie chrześcijańskie przeżywane jest wówczas z większą spontanicznością, coraz bardziej przenika nasz sposób bycia i nasze własne działanie. Nic nie pozostaje poza Bogiem. Wówczas można żyć według rady św. Pawła: *Czy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek innego czynicie, wszystko na chwałę Bożą czyńcie* (1 Kor 10,31).

Gdy ktoś czyni wysiłki, aby osiągnąć owe poczucie obecności Boga, zwykle doświadcza pewnego efektu psychologicznego, który warto opisać. Monolog, w którym człowiek werbalizując, przywołuje zdarzenia już przeżyte i te, które mają się dopiero wydarzyć, otwiera drogi fantazji, zostaje przemieniony w dialog z Bogiem. Efekt tego jest wspaniały. Podczas gdy sam monolog jest źródłem komplikacji i ułudy, ponieważ w pewnym stopniu, z powodu braku obiektywizacji, deformuje przeżywaną rzeczywistość, wyolbrzymiając pewne jej aspekty i zaciemniając inne, dialog z Bogiem czyni naszego ducha jasnym i przejrzystym, bowiem pozwala w sposób naturalny uzewnętrznić w naszym zachowaniu to, co nosimy wewnątrz. Całe nasze postępowanie staje się szlachetniejsze dzięki objawieniu na zewnątrz tego, co wewnętrzne. Mądrość duszy, w której głębiach przebywa Bóg, ujawnia się na zewnątrz i życie napelnia się blaskiem boskości.

Ów wysiłek pamiętania o Bogu wieńczy znakomite owoce. Tak komentuje to Założyciel Opus Dei: *Najpierw jeden akt strzelisty, potem drugi, trzeci., aż to wszystko wyda się nam niedostateczne,*

---

gdyż słowa są zbyt ubogie... i wówczas pojawia się poczucie zażyłości z Bogiem, zwracamy spojrzenie ku Niemu nieustannie i nieustrudzenie. Żyjemy wówczas jakby zaczarowani. Staramy się wykonywać zadania i obowiązki naszego stanu możliwie jak najlepiej, mimo naszych błędów i ograniczeń, ale dusza nasza pragnie się wyrwać. Podąża ona ku Bogu niczym żelazo przyciągane siłą magnesu. Zaczynamy wtedy kochać Jezusa w sposób bardziej dogłębny, ze słodkim zachwytem (Przyjaciele Boga, n. 296).

## Poznanie samego siebie

Nad wielką bramą świątyni Apollina w Delfach – jednym z cudów starożytnego świata – można było przeczytać napis, który stanowił jakby podsumowanie klasycznej mądrości: „Poznaj samego siebie”. I jakkolwiek w epoce nam współczesnej, kiedy modne jest hasło, przypominające to wymienione wcześniej, „Odnaleźć samego siebie”, może nas zaskoczyć, że tamta maksyma prowokowała nie tyle do odkrycia wielkości własnej osobowości, ile do uświadomienia sobie swoich prawdziwych ograniczeń.

Mądrość życiowa, którą umiłowali starożytni Grecy, nauczyła ich, jak wielkim darem jest poznanie siebie w prawdzie, bez popadania w skrajności, do czego wszyscy jesteśmy skłonni. Ktoś powiedział, że największym interesem świata byłoby kupić ludzi za tyle, ile są warci i sprzedać za tyle, na ile się oceniają. Zyski byłyby niewymierne, ponieważ próżność sprawia, że wyznawana prawda o sobie samym jest zawsze korzystniejsza niż prawda obiektywna. Skutkiem rozbieżności między prawdą obiektywną i subiektywną – kiedy inni nie potrafią zaakceptować tej wyższości – jest obrażanie się, żale, smutki, gniewy, zemsta, bezczelność, sprzeczki... Jednym słowem, prawie wszystkie motywy przyczyniające się do niszczenia pokoju w rodzinach, wspólnotach i państwach. Można uznać, że wszystkie spory wiążą się z tym faktem, że są ludzie, którzy poczuli, że są gorzej traktowani, niż według ich wyobrażeń na to zasługują.

Tak jak owa niewiedza o własnych brakach jest wieczną przyczyną niezgody, tak poznanie samego siebie jest najlepszą drogą do zrozumienia innych.

Wielkim polem uczenia się oceny ludzkich reakcji, dochodzenia ich przyczyn, przeczuwania towarzyszących im uczuć, jest nasze osobiste, wewnętrzne doświadczenie. Ten, kto zaznał bólu, rozumie tego, który skarży się na ból; kto przeżył nagły zwrot losu, wie co znaczy być smutnym: kto kiedyś poczuł się opuszczony, rozumie samotność. To samo dzieje się z przebogatą gamą uczuć, które mogą absorbować ludzkie serce. W miarę jak poznajemy samych siebie, jesteśmy w stanie lepiej zrozumieć innych, ponieważ „wiemy”, co przeżywają.

Poznanie samego siebie jest skarbem z dwóch przyczyn: pomaga zrozumieć innych oraz – jak mawiają Hiszpanie – „umieć znaleźć się na swoim miejscu”. Stąd też poznanie samego siebie jest podstawową zasadą w relacjach międzyludzkich. Sytuuje nas w środowisku, w którym się poruszamy, i daje nam zdolność rozumienia oraz wnętrze gotowe do dzielenia się. To jest ten fundament nieodzowny w kształtowaniu relacji z innymi w taki sposób, aby ich docenić i właściwie zrozumieć, aby móc zawrzeć przyjaźń.

Jednakże najważniejszy motyw poznania samego siebie wynika z tego, że jest ono nieodzowne w naszej relacji z Bogiem. Przed Bogiem wszyscy jesteśmy bardzo mali i tylko ten, kto uznaje się małym, jest zdolny obcować z Nim. Jest to rzecz charakterystyczna w życiu świętych (powtarza się z niespotykaną regularnością), którzy im byli bliżej Boga, tym bardziej czuli się Go niegodni. Ich wzrastająca miłość do Boga pozwalała im z coraz większą subtelnością odkrywać sytuacje, w których nie byli Mu wierni.

Najdoskonalsze poznanie nieskończonej wielkości Boga łączy się z uznaniem, w sposób dosłowny, własnej nędzy; do tego stopnia, że uznanie własnych ograniczeń staje się jakby nieodzownym warunkiem pojęcia Boga. Pascal chciał uczynić z tego jedną z osi swojej metody apologetycznej, dzięki której pragnął przybliżyć do Boga ludzi swojej epoki. Rzecz w tym, że poczucie grze-

chu i rozumienie Boga idą w parze. Tam, gdzie zatracono poczucie grzechu, tam również ulatnia się rozumienie Boga: nie idzie się ku Bogu, ponieważ nie widzi się własnych słabości, które Go przesłaniają, wytwarza się – jak określił to Buber – *zaciemnienie Boga*.

Aby rozbić tę skorupę zaślepiającej powierzchowności, trzeba zagłębić się w poznanie samego siebie. *To przede wszystkim dusza powinna czynić* – mówi św. Jan od Krzyża – *by mogła postąpić w poznaniu Boga* (Pieśń duchowa, IV, 1, w: Św. Jan od Krzyża, op. cit., s. 552). Trzeba poznać siebie, i to poznać siebie takimi, jakimi jesteśmy: jako ludzie, którzy popełniają błędy. Nic tak nie oddala od Boga, jak niezdolność uznania przed Nim naszych własnych ograniczeń. Taki właśnie sens chciał nadać Jezus jednej z najpiękniejszych swoich przypowieści: o faryzeuszu i celniku. Powiedział też do niektórych, co ufali sobie, że są sprawiedliwi, a innymi gardzili, tę przypowieść: „*Dwóch ludzi przyszło do świątyni, żeby się modlić, jeden faryzeusz, a drugi celnik. Faryzeusz stanął i tak w duszy się modlił: «Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie, zdybcy, oszuści, cudzołóżnicy, albo jak i ten celnik. Zachowuję post dwa razy w tygodniu, daję dziesięcinę ze wszystkiego, co nabywam».* Natomiast celnik stał z daleka i nie śmiał nawet oczu wznieść ku niebu, lecz bił się w piersi i mówił: *«Boże, miej litość dla mnie, grzesznika!»* Powiadam wam: *Ten odszedł do domu usprawiedliwiony, nie tamten*” (Łk 18,9-14).

Wszystko wskazuje na to, że ów faryzeusz z przypowieści rzeczywiście pościł dwa razy w tygodniu i płacił skrupulatnie swoje dziesięciny. Tym niemniej przyszedł do świątyni, aby oddać chwałę samemu sobie, a nie Bogu. W konsekwencji odszedł do swojego domu taki sam, jak przyszedł: nie spotkawszy Boga, ponieważ w rzeczywistości Go nie szukał. Natomiast celnik, który z całą pewnością był grzesznikiem i miał wiele powodów, aby się nim czuć, kaja się przed Bogiem i spotyka się z Nim. Kiedy bowiem człowiek odnajduje prawdę o sobie, odnajduje Boga na właściwym Jemu miejscu.



Nie chodzi o to, by nie zauważać rzeczy pozytywnych, obecnych w naszym życiu, lecz nie mogą one prowadzić nas do faryzejskiej próżności. Poznanie talentów, którymi Bóg nas obdarzył, winno prowadzić nas do wdzięczności i do poczucia odpowiedzialności za wykorzystanie ich tak, jak Bóg od nas tego oczekuje. Otóż według tego, co mówi na ten temat przypowieść o talentach (zob. Mt 25,14-30), wynika, że od tego, który otrzymał dwa, wymaga się, aby je puścił w obrót i zyskał dwa następne, kto jeden – jeden, lecz kto pięć – pięć. Pan bowiem zapowiada, że *komu wiele dano, od tego wiele wymagać się będzie; a komu wiele zlecono, tym więcej od niego żądać będą* (Łk 12,48). Wynika z tego, że właściwe poznanie Bożych darów w naszym życiu nie tylko nie powinno być przyczyną pychy, lecz bodźcem do gorliwszej służby Bogu i do większego poczucia odpowiedzialności, której owocem są akty skruchy. W rzeczywistości bowiem dzieje się tak w życiu świętych, którzy nie są świadomi wielu cudów, które Bóg działał w ich życiu, lecz ubolewają nad swoją wciąż niedoskonałą wiernością Panu i myślą z pokorą, że inni, obdarzeni tymi samymi łaskami, zrobiliby o wiele więcej.

Poznanie samego siebie jest niezastąpione na drodze ascetyki, po której mamy zamiar dojść na szczyt miłości Boga. Jak bowiem moglibyśmy zdobyć jakiś szczyt, nie wiedząc, gdzie się znajdujemy, jakie mamy wyposażenie, ani na jakie środki i siły możemy liczyć, aby osiągnąć metę? Każdy kolejny krok naprzód wymaga zastanowienia, aby wiedzieć, czy idziemy dobrą drogą, czy też się od niej oddalamy. Posuwać się szybko do przodu, lecz po niewłaściwej drodze, byłoby wielkim niepowodzeniem, tym poważniejszym, im więcej włożyliśmy wysiłku.

Praktycznie wszystkie ważniejsze dziedziny życia – handel, sport, polityka itd. – wymagają pewnej kontroli, aby móc panować nad wszystkim, co się dzieje. Analogicznie powinno być w naszym życiu chrześcijańskim, w zaangażowaniu, mającym na celu przybliżanie się do Boga. Z tym tylko wyjątkiem, że w tym

przypadku kontroli nie można ograniczyć do rachunków strat i zysków, do awansów i odwrotów, ponieważ w grę wchodzi nie coś, co się kupuje i sprzedaje, jakaś sportowa sprawność czy większa lub mniejsza publiczna popularność, lecz nasza miłość do Boga. Zyskami są tutaj dary Bożej miłości, za które trzeba być wdzięcznym, tak jak się jest wdzięcznym za drobiazgi podarowane nam przez kogoś kochanego; stratą natomiast jest brak wzajemności, niewierność – większa lub mniejsza – za które trzeba prosić o przebaczenie i starać się je wynagrodzić.

Taki jest właśnie sens bardzo starej i niezbędnej w życiu ascetycznym praktyki: rachunku sumienia. Polega on na codziennym sprawdzeniu – ponieważ każdego dnia ubywa nam życia – jaki był nasz stosunek do Boga. I jest zarazem okazją do wyrażenia wdzięczności za Jego dary i proszenia o przebaczenie naszych grzechów i braku wzajemności.

Można go robić na tysiąc sposobów. Są nawet różne metody przeprowadzania rachunku sumienia (św. Ignacego, św. Sulpicjusza, św. Franciszka Salezego...), lecz nie chodzi tu o coś skomplikowanego: jest to bardzo prosta czynność. Najpierw trzeba zdać sobie sprawę z tego, że stoimy przed Bogiem i że ten rachunek chcemy uczynić z pomocą światła, które On sam nam daje. Prosimy Go o pomoc i następnie przypominamy sobie, w jaki sposób upływał nam ten dzień. Możemy to czynić, analizując go godzina po godzinie, albo też według tematów. Istnieje wiele różnych możliwości: jak poszła nam praca, modlitwa, jak ułożyły się nasze stosunki z bliźnimi; jakie były moje myśli, słowa i uczynki; jak wypełniłem moje obowiązki wobec Boga, bliźniego, wobec mnie samego itp.

Założyciel Opus Dei polecał niekiedy następujący, bardzo prosty rachunek sumienia: za to, co zrobiłem dobrze, dziękuję Bogu; za to, co zrobiłem źle, przepraszam; jeśli mogłem zrobić coś lepszego, podejmuję postanowienie poprawy na dzień następny.

Metoda, choć może pomóc, nie jest tu jednak najważniejsza; najistotniejsze jest pragnienie dotarcia do konkretów i prośba

o przebaczenie. Nie wystarczy bowiem ogólne poczucie winy. Konieczne jest uświadomienie sobie konkretnych przejawów naszych grzechów i braku miłości względem Boga, ponieważ powinniśmy prosić o ich przebaczenie i dopóki ich w sobie nie dostrzeżemy, nie będziemy w stanie się poprawić. Trzeba każdego dnia odkrywać przejawy lenistwa, które przeszkodziły w wypełnieniu naszych obowiązków, lekceważące traktowanie innych, większe lub mniejsze odstępstwa w dziedzinie naszej zmysłowości, brak umiaru w mówieniu, jedzeniu itd. W wielu przypadkach nie wystarczy uznać pobieżnie jakiegoś zła, lecz winniśmy dojść do przyczyn naszego złego usposobienia, jakiejś szorstkiej odpowiedzi, nagminnego niedbalstwa, apatii, która demobilizuje, niechęci, gniewnych odpowiedzi, braku postawy apostołskiej itd. Nie oznacza to wcale, że owo dociekanie przyczyn doprowadzi nas do wielkich odkryć. W większości przypadków będziemy musieli dojść do wniosku, że nasze przewinienia mają swoje źródło w naszej pysze, lenistwie lub zmysłowości (trzy wielkie fronty życia ascetycznego). Bardzo ważne jest jednak rozpoznanie ich konkretnych przejawów i zażenowanie przed Bogiem i przed nami samymi.

Po tym, jak stanęliśmy w obecności Boga i zastanowiliśmy się nad minionym dniem, nadchodzi najważniejszy moment rachunku sumienia: skrucha, żal i boleść płynąca z tego, że znieważyliśmy w taki czy inny sposób miłość Bożą:

*Zmiłuj się nade mną, Boże, w swojej łaskawości,  
w ogromie swego miłosierdzia*

*wymaż moją nieprawość!*

*Obmyj mnie zupełnie z mojej winy*

*i oczyść mnie z grzechu mojego!*

*Uznaję bowiem moją nieprawość,*

*a grzech mój jest zawsze przede mną.*

*Tylko przeciwko Tobie zgrzeszyłem*

*i uczyniłem, co złe jest przed Tobą (Ps 51,3-6).*

Żal pojawi się natychmiast, jeśli rachunek sumienia zrobiliśmy dobrze i w obecności Boga. Najwymowniejszym owocem skruchy jest postanowienie unikania tych błędów, które regularnie się powtarzają. W ten oto sposób rodzi się skuteczne dążenie do tego, aby lepiej służyć Bogu.

Ta praktyka jest tak istotna, że w miarę, jak się wspinamy, staje się coraz bardziej nieodzowna. I jak podczas wielkich wspinaczek bycie u podnóża góry nie jest tym samym, co znajdowanie się w jej połowie. Im jest się wyżej, tym ostrożniejsze staje się dalsze wspinanie, któremu towarzyszy – nieodkładane na potem – naprawianie błędów. Dobrze zrobiony rachunek sumienia pomaga wędrować bezpiecznie, podczas gdy zrobiony źle, niesie ze sobą poważne konsekwencje, ponieważ przyzwyczajają nas do niedbałego traktowania miłości Bożej. Miłość jest czymś bardzo subtelnym: jest silna, ponieważ popycha do heroizmu, a jednocześnie niezwykle wrażliwa, gdyż na skutek zaniedbywania jej i nie poświęcania uwagi – natychmiast stygnie. Tymczasem miłość Boża jest szczególnie delikatna i wymagająca: *Przeegzaminuj się – radzi św. Augustyn – i nie zadowolaj się tym, kim jesteś, jeśli chcesz dotrzeć do tego, czym jeszcze nie jesteś. Ponieważ wówczas, gdy zadowolisz się samym sobą, tam się zatrzymasz. Jeśli mówisz wystarczy, przegrałeś* (Kazanie 169).

Dobrze prowadzony rachunek sumienia doprowadzi nas do głębokiego poznania samego siebie, do prostej i przekonywującej pokory, do głębokiej wdzięczności Bogu za wiele darów, których nam udziela. Nauczy nas traktowania samego siebie z pewną surowością i napelni nas wyrozumiałością w ocenianiu innych. Da nam duże doświadczenie odnośnie do sposobów na życie i pozwoli przez to doradzać, zachęcać i pomagać innym. A przede wszystkim każdego dnia przymnażać nam będzie większego zapachu, by wierniej i skuteczniej miłować Boga.

## Walka ascetyczna

Gregorio Marañón, madrycki lekarz i literat, napisał w swoich „Esejach liberalnych”, że *najbardziej ludzkim przejawem młodości jest wielkoduszne nieprzystosowanie się (inaczej: bunt) do wszystkiego co niedoskonale, a co w praktyce obejmuje prawie całe życie* (Madryt 1966, s. 90).

Młody umysł, który otwiera się na poznanie świata, posiada zdolność bardzo krytycznego oceniania rzeczywistości, którą potem gdzieś gubi. W młodości nie rozumie się tego, że rzeczy nie są takimi, jakimi być powinny i powstaje owo *wielkoduszne nieprzystosowanie*, które jest jednym z czynników nadających młodości ów cudowny odcień heroizmu. Jest to chwila radykalizmu, życia – albo przynajmniej usiłowania – zgodnego z wielkimi zasadami, które powinny nadawać kształt życiu ludzi i społeczeństw. Mamy wówczas do czynienia z potencjałem, który z czasem ulegnie wyciszeniu, potencjałem wspaniałomyślności, bezinteresownego poświęcenia się, za cel stawiającego sobie jedynie realizację ideałów. Zdolności tej towarzyszy często rzeźkość energii fizycznych i psychicznych. Jest to chwila wielkich ambicji i przygód.

Tym niemniej młodość posiada nie tylko zalety. Jeśli nawet jest prawdą, że w owym momencie ma się predyspozycje do poświęcenia i entuzjastycznego zaangażowania się, to także jest prawdą, że nie dysponuje się doświadczeniem niezbędnym do ich właściwej realizacji i że często brak jest siły woli potrzebnej do wytrwałego dążenia do ideałów, w momencie gdy zaczynają pojawiać się trudności towarzyszące każdemu przedsięwzięciu.

Natomiast człowiek dojrzały zna lepiej swoje ograniczenia. Nauczył się oceniać swoje siły i używać ich skutecznie. Jego projekty nie są już tak ambitne, lecz może je zrealizować. Jest większym realistą, praktykiem i działa skutecznie. Niewątpliwie w tym przejściu od młodości do wieku dojrzałego dąży się do dokonania zmiany. Zatraca się owo *wielkoduszne nieprzystosowanie względem wszystkiego co niedoskonale* i przychodzi rezygnacja. Akceptuje się fakt, że rzeczy nie są i nie mogą być takimi, jakimi być powinny. Odstępuje się od ideałów młodości, ponieważ wydają się wygórowane i nie widać sposobu na ich zrealizowanie. Powoli popada się w przeciętność. Ma się wrażenie, że pośród mało istotnych wydarzeń życia rozplynęło się to, co mogło mu nadać pasjonujący wymiar, i zadowala się czymś małym: trochę pieniędzy, wolnego czasu, odrobina spokoju, jakieś wygody...

Ten proces zanikania ideałów powtarza się w życiu wielu ludzi (jakkolwiek niektórzy nigdy ich nie posiadali). Jest to jeden z najwyraźniejszych wskaźników przepaści, która oddziela tylekroć nasze pragnienia od naszych możliwości. Kiedy brak proporcji pomiędzy ideałami a życiem, kiedy nie nadają one biegu codziennemu postępowaniu, wówczas ideały się rozplywają. Niejeden młody człowiek chciałby rozwiązać problem głodu na świecie, lecz być może nie jest zdolny poświęcić nauce nawet połowy czasu, który jest do tego konieczny. Ktoś inny uwrażliwiony jest na problem marginesów społecznych, lecz nie potrafi odmówić sobie kupienia motoru o wielkiej pojemności i spędzenia miesiąca wakacji na plaży, nie przejmując się niczym innym, jak tylko opalaniem się. I tak powoli odległość między ideałem a rzeczywistością powiększa się, aż wreszcie przychodzi rezygnacja. Historia pokolenia roku 1968 ilustruje proces rozplywania się przemijających ideałów.

Powinien być jednak jakiś środek zaradzający tej sytuacji, gdyż owa zdolność do bohaterstwa, cała ta radykalność, ten entuzjizm charakterystyczny dla wieku młodzieńczego – posiadają

realną wartość i to jest tragiczne, że bezowocnie zanikają. Najważniejsze jest osiągnięcie tego, by ideały były prawdziwe i zdolne pokierować całym życiem człowieka, nie tylko w momentach entuzjazmu. Chrześcijanin posiada tę zdolność. Jakiż bowiem ideał jest większy od umiłowania Boga całą duszą i ciałem! I ile innych ideałów poświęcenia się dla drugich, bezinteresownej służby – wypływa z miłości Boga! Te są ideałami na całe życie, zdolnymi nim pokierować, zaspokoić wszystkie pragnienia człowieka, i to nie tylko w młodości. Zachwycenie się miłością Boga wyznacza właściwą drogę ku pasjonującemu życiu, ożywianemu ideałami służby.

To wszystko zawiera w sobie także pewien problem praktyczny – odgrywa on dużą rolę w ascetyce. Nie wystarczą wielkie ideały – choć są konieczne jako siła napędowa. Potrzebna jest także umiejętność ich realizacji w działaniu. Pierwsze, co należałoby zmienić w tym świecie, aby uległ on poprawie, to my sami i nasze otoczenie; i jeśli nie zaczynamy od nas samych, zaczynamy źle. Nie jest prawdą, że aby coś zrobić, musimy najpierw poczeekać, aż staniemy się doskonali, gdyż wówczas nie zaczęlibyśmy nigdy. Lecz jeśli nie zaczniemy pracować nad naszymi wadami, uczynimy bardzo mało w walce z niedoskonałościami świata i we wszystkim, co będziemy robić, zostawimy ślady naszych ułomności. Wszystko zostanie naznaczone przez nasze lenistwo, ambicję, pychę; rozsiejemy naszą mierność przez nasze dzieła, i ich owoce także będą mierne.

Rachunek sumienia, o którym mówiliśmy w poprzednim rozdziale, da nam pojęcie o ilości błędów, które popełniamy. Nie jesteśmy przecież doskonali. Poza tym odkrywamy w naszym wnętrzu opór przeciw stawianiu się lepszymi i nedorzeczną skłonność do nieczynienia tego, co sobie zakładamy. Bardzo trafnie wyraża to św. Paweł: *Nie czynię bowiem dobra, którego chcę, ale czynię to zło, którego nie chcę (...). A zatem stwierdzam w sobie to prawo, że gdy chcę czynić dobro, narzuca mi się zło. Albowiem wewnętrzny człowiek [we mnie] ma upodobanie zgodne z Prawem Bożym.*

W członkach zaś moich spostrzegam prawo inne, które toczy walkę z prawem mojego umysłu i podbija mnie w niewolę pod prawo grzechu mieszkającego w moich członkach (Rz 7, 19.21-23). Cóż za uniwersalne doświadczenie!

W naszym wnętrzu istnieje jakby drugie „ja”. Nie jesteśmy bowiem takimi, jakimi chcielibyśmy być, i ponadto działamy wielokrotnie przeciwko temu, co zamierzaliśmy wykonać. Św. Paweł nazywa ten wewnętrzny opór *dawny człowiekiem* (Ef 4,22; Kol 3, 9). To są właśnie ślady naszych grzechów, które pozostają w nas w taki sam sposób, w jaki pozostają ślady naszych dobrych czynów. Swoje źródło mają one w tajemniczych ranach grzechu pierworodnego.

Te nieuporządkowane skłonności, które nakłaniają nas przede wszystkim do lenistwa, zmysłowości, pychy, nazywano tradycyjnie *namiętnościami*. Dobrze robiony rachunek sumienia pozwoli nam zobaczyć, że są one obecne także i w naszym życiu. Nie jest złem przyznanie się do tego. Przeciwnie, jest to pierwszy krok w kierunku poprawy. Zdajemy sobie wówczas sprawę, że konieczny jest trochę większy wysiłek w ich zwalczaniu po to, aby te skłonności nie zawałdnęły naszym postępowaniem.

W gruncie rzeczy są to tendencje, które dążą do zmylenia nas, ponieważ albo sugerują, że wykonywanie pewnych czynności jest zbyt trudne (lenistwo), albo przedstawiają nam z przesadnym zachwytem dobra materialne (wygoda, jedzenie, seks itd.), albo też każą nam wierzyć, że jesteśmy o wiele bardziej wartościowi niż to jest w rzeczywistości (pycha). Jeśli pozwolimy, by kierowały nami te *namiętności*, przyzwyczaimy się do oszukiwania samych siebie i zaczniemy zniekształcać nasze postępowanie. Wada jest skutkiem tego, iż dajemy się opanować złudzie *namiętności*. Cnota zaś polega na zaprowadzeniu porządku umysłu w postępowaniu: czynię to, co uważam, że powinienem czynić, jakkolwiek nie mam ochoty; umiem być na swoim miejscu i znam swoje ograniczenia.



Postanowienie opanowania namiętności, tzn. narzucenia w postępowaniu porządku odkrytego przez rozum, prowadzi do toczenia nieustannej walki w samym życiu i praktycznie na tym polega walka ascetyczna. Walka ta sprawia, że jesteśmy lepsi, i uzdalnia nas do postępowania zgodnie z ideałami naszego ducha i do kochania Boga ze wszystkich naszych sił.

Nie zakończy się ona nigdy; dlatego też ważne, by planować ją ze sportowym zapałem, z pragnieniem ciągłego polepszania naszego charakteru, z Bożą pomocą. Św. Augustyn wyraża to w sposób bardzo żywy: *Zatem trzeba walczyć ciągle, ponieważ ta skłonność do grzechu, z którą urodziliśmy się, nie może mieć końca, dopóki żyjemy: może zmniejszać się, lecz nie wygasnąć, i na tej walce święci spędzają całe życie* (Kazanie 151). Nic nie przychodzi od razu, i obok momentów dobrych mogą pojawić się chwile trudniejsze i mniej szczęśliwe. Lecz to codzienne, nawet niewielkie zmaganie się, nadaje życiu ów wspaniały odcień młodości, określając jednocześnie jego sens. A jeśli widzimy, że przegrywamy, trzeba ponownie stanąć na starcie tak, jakby to uczynił dobry sportowiec. Najważniejsze to nie porzucać walki, lecz kontynuować ją, stawiając krok za krokiem.

Dobrze jest przy tym zdać sobie sprawę, że siły i czas, którymi dysponujemy, są ograniczone. Nie wystarczą entuzjastyczne zrywy – jakkolwiek są pożyteczne – aby stać się takimi, jakimi nas Bóg chce. Wymagana jest ponadto uporczywa i cierpliwa praca, która dzień za dniem zaczyna przynosić efekty. W tej walce potrzebna jest także pewna strategia, jako że nie możemy zwyciężyć od razu na wszystkich frontach. Posiadamy w tej kwestii wielowiekowe doświadczenia i dlatego wynaleziono rozwiązanie, którym jest szczegółowy rachunek sumienia.

Chodzi tu o wybranie spośród naszych słabych punktów tego, który jest najważniejszy. Następnie wyznaczamy w tym przedmiocie konkretne postanowienie poprawy, które codziennie sprawdzamy. Na przykład, jeśli zauważamy, że naszym słabym punktem

jest lenistwo, możemy postanowić sobie, że będziemy punktualni w dwóch lub trzech momentach w ciągu dnia. Jeśli widzimy, że naszą słabością jest gadulstwo i obmawianie innych, postanowieniem może być wnikliwsze wsłuchiwanie się w to co, mówią inni. Najważniejsze są konkretne postanowienia i to, abyśmy codziennie się z nich rozliczali.

Ten szczegółowy rachunek sumienia możemy opracować sami i zmienić go po upływie kilku dni (jeden lub dwa tygodnie), gdy zauważymy poprawę lub gdy nie będzie dość skuteczny. Pomocne może być wsparcie innej osoby, np. kierownika duchowego, kogoś doświadczonego w życiu ascetycznym, gotowego służyć nam radą. W ten sposób możemy dokonywać trafniejszych wyborów i prowadzić pracę nad sobą w sposób właściwie ukierunkowany i bardziej skuteczny. Jeśli mamy zwyczaj spowiadania się u tego samego księdza, być może on mógłby zająć się naszym kierownictwem duchowym. Walka wewnętrzna wymaga ciągłego dodawania otuchy, gdyż przechodzi się chwile zmęczenia, rzeczywistych lub pozornych niepowodzeń, chwile bezradności. To bardzo pożyteczne, jeśli możemy liczyć na radę czy zachętę drugiego człowieka, który nas dobrze zna, jest nam życzliwy i wie choć trochę na temat miłości Boga. Stąd tak ważne jest, aby mieć swojego kierownika duchowego, kogoś, kto nas prowadzi i zachęca do pracy. Św. Jan od Krzyża zauważa: *Człowiek, który posiada cnotę, jest bez mistrza jak pojedynczy rozżarzony węgiel – szybciej się ostudzi niż rozpali* (Dichos de luz y amor [Słowa światła i miłości], Madryt 1976, s. 964).

Ta nieustanna walka wymaga, aby zachować pierwotny zapal, silny bodziec, rozpalający nieustannie miłość do Boga, który ją ożywia. Jeśli w tym względzie dopuścimy do zaniedbania – niekiedy może dojść do tego bezwiednie – możemy poczuć się zmęczeni. Wyczerpanie prowadzi do niedbałego wykonywania rachunku sumienia, niedostrzegania błędów we własnym postępowaniu i do opieszałości w pracy nad sobą. Następuje wówczas

kryzys zniechęcenia i akceptuje się bylejakość, gdyż wewnętrzna walka wymaga ofiar i nie przynosi spodziewanych rezultatów. Zmęczenie ducha prowadzi do szukania środków zastępczych, które dałyby większą satysfakcję niż owa walka, do której zobowiązuje miłość do Boga. Stan ten nazywany jest oziębłością. Jest ona rodzajem choroby ducha, której należy się obawiać. Przypomina ona zbrocze, po którym się staczamy do obojętności. Wystarczy jednak naprawić przyczynę, aby uleczyć tę chorobę. Dobrze prowadzony rachunek sumienia, polegający na skrupulatnym odkrywaniu naszych błędów i szczerym bólu z powodu ich popełnienia, pozwala odnowić miłość do Boga i odzyskać entuzjazm w dalszej pracy nad sobą.

Walka ascetyczna jest źródłem nieprzerwanej młodości, ponieważ utrzymuje owo *wielkoduszne nieprzystosowanie się do wszystkiego co niedoskonale*. Ponadto jest jedynym sposobem prowadzącym do zrealizowania wielkich ideałów, urzeczywistniając je w życiu. Może wydawać się paradoksalne, ale owa duchowa walka przynosi znamieny owoc w postaci pokoju ducha.

## Męstwo

Jednym z aspektów ukazujących *dawnego człowieka*, którego nosimy w sobie, jest wewnętrzna skarga podnoszona wobec wszystkiego, co pociąga za sobą wysiłek. Jest to coś w rodzaju wewnętrznego głosu, który przestrzega nas nieustannie: zmęczysz się, albo narzekasz na coś, co wymaga trochę wysiłku, i zachęca do porzucenia tego. Ta pokusa jest dosyć subtelna, ponieważ, tak jak wszystkie, pojawia się w otoczeniu wielu fałszywych racji, którymi usiłujemy się oszukać: „jest już późno”, „pracowałeś zbyt dużo”, „jutro będą lepsze warunki”, „inni pracują mniej”...

Tak jak to ma miejsce w przypadku wszystkich namiętności, tak i tutaj, jeśli damy się zwieść, złudzenie powiększa się; wytwarza zwyczaje i za każdym razem czyni nas coraz mniej zdolnymi do ponoszenia wysiłku. Ów słaby głosik, który wyrażał zmęczenie, przemienia się w tyrana opanowującego podstawy naszej osobowości i czyni nas niezdolnymi do poważnej pracy.

Ów defekt – posiadamy go wszyscy w zarodku – to lenistwo; paniczny strach przed wszystkim, co stawia wymagania. Jest on niezwykle groźny. Pozornie nieszkodliwe, okazuje się być źródłem wielu poważnych problemów, na które skarży się ludzkość. Nierobienie niczego wydaje się bardziej nieszkodliwe niż czynienie czegoś złego. Tym niemniej, niewypełnianie swoich obowiązków prowadzi do powstania wielkich niesprawiedliwości. Kiedy stając wobec wielu rzeczy złych, dziejących się na świecie, stawiamy sobie pytanie: w jaki sposób mogły powstać albo

dłaczego nie próbuje się im zaradzić – wyczuwamy, że ich pierwszą przyczyną jest gnuśność, niechęć do zabrania się za coś, co jest trudne, apatia w wypełnianiu swoich obowiązków w służbie innym, niezdolność do poświęcenia wówczas, gdy zarządzenie czemuś sporo by kosztowało.

Urzeczywistnianie dobra wymaga męstwa, to znaczy zdolności do wymagania od samego siebie, do przewycięzania strachu przed cierpieniem, pracą, wysiłkiem. W tym życiu nie można zrobić nic poważnego, unikając wszelkich poświęceń. Świat urządzony jest w ten sposób, że wszystko, co ma wartość, kosztuje. Jeśli chcemy coś zdziałać, wpieryw będziemy musieli przewyciężyć opór naszego ciała przed działaniem, będziemy musieli przewyciężyć opór rzeczy, które nie dają się poruszyć, a także – i to wielokrotnie – sprzeciw innych osób, którym dokuczają i nie jest w smak nasza aktywność.

Już Pan Jezus przestrzegał swoich uczniów: *Królestwo niebieskie doznaje gwałtu i ludzie gwałtowni zdobywają je* (Mt 11,12). Nie jest to zadanie dla ludzi bojaźliwych, ani dla tych, którzy nie są gotowi trochę pocierpieć: *Wchodźcie przez ciasną bramę! Bo szeroka jest brama i przestronna ta droga, która prowadzi do zguby, a wielu jest takich, którzy przez nią wchodzi. Jakże ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do życia* (Mt 7,13-14).

Zdarzało się, że fatalna pomyłka prowadziła do utożsamiania ludzi słabych z dobrymi. Jest prawdą, że jednym z owoców życia chrześcijańskiego jest dobroć i łagodność, które przejawiają się w miłym traktowaniu, gotowości do przebaczenia, spokojnym usposobieniu. Lecz w człowieku Bożym to usposobienie musi iść w parze z męstwem. Jeśli tak nie jest, nie będzie on zdolny służyć Bogu, bo służba Bogu bywa często trudna. Ludzie, z pomocą których Pan chciał zbudować swój Kościół, byli gotowi do ponoszenia cierpień i umieli wymagać od samych siebie. Przywołajmy przykład postaci św. Pawła, który spokojnie wylicza, ile kosztowało go pójście za Panem: *Przez Żydów pięciokrotnie byłem bity po*

czterdzieści razy bez jednego. Trzy razy byłem sieczony różgami, raz kamienowany, trzykrotnie byłem rozbitkiem na morzu, przez dzień i noc przebywałem na głębiny morskiej. Często w podróżach, w niebezpieczeństwach na rzekach, w niebezpieczeństwach od zbójców, w niebezpieczeństwach od własnego narodu, w niebezpieczeństwach od pogan, w niebezpieczeństwach w mieście, w niebezpieczeństwach na pustkowiu, w niebezpieczeństwach na morzu, w niebezpieczeństwach od fałszywych braci; w pracy i umęczeniu, często na czuwaniu, w głodzie i pragnieniu, w licznych postach, w zimnie i nagości, nie mówiąc już o mojej codziennej udręce płynącej z troski o wszystkie Kościoły (2 Kor 11,24-28). W rzeczywistości Pan nie od wszystkich wymaga tego samego; jednak pozbawieni silnego charakteru nie bylibyśmy zdolni dać ani kroku w Jego służbie: *Bądźcie mocni i mężnego serca, wszyscy, którzy pokładacie ufność w Panu!* (Ps 31,25)

Także i na tym polu konieczne jest, aby zapanował rozum, nie pozwalając, aby zniewolił nas strach przed wysiłkiem, utratą zdrowia czy trudnościami i nie doprowadził nas on do przyjęcia biernej postawy. Trzeba walczyć o zachowanie swobody działania, paraliżowanej przez lenistwo. A to wymaga, abyśmy pozbyli się strachu przed wysiłkiem, zmęczeniem, bólem, chorobą. Innymi słowy – powinniśmy osiąść zdolność mobilizowania naszego ciała, nawet nie będąc w najlepszej formie.

Jeśli nie jesteśmy zdolni pracować z powodu odrobiny zmęczenia lub choroby, to efektywność naszego życia znacznie się zmniejszy, ponieważ wielokrotnie będziemy odczuwać zmęczenie lub chorować. Egzekwowanie pewnych rzeczy od samego siebie jest kluczem do sukcesu w wielu dziedzinach: w sporcie, muzyce, tańcu, interesach, nauce. Osiągnięcie sukcesu wymaga wielkiego poświęcenia. To samo ma miejsce w naszym życiu chrześcijańskim: *Czuły, miękki, słaby... Nie chcę cię takim widzieć. Czas już, żebyś pozbył się tego osobliwego współczucia, jakim darzysz samego siebie* (Droga, n. 193).

Trzeba się liczyć z trudnościami i nie nadawać zbytnej ważności oporowi przejawianemu przez nasze ciało. O to więc tylko was proszę – powiada św. Teresa do swoich sióstr – *byście nie zważały na te małe cierpienia i dolegliwości, bez których, dla nas, niewiast zwłaszcza, to życie być nie może. Przychodzą one i odchodzą, więc miejcie cierpliwość, tym bardziej, że nieraz przez ułudę diabelską zdaje nam się tylko, że cierpimy, i to, co nam dolega, jest tylko w naszej wyobraźni. Gdybyśmy zatem o każdym takim cierpieniu miały wszystkim rozpowiadać i na nie się skarżyć, toć bez wyjątkowej pomocy Bożej nigdy temu nie byłoby końca. Ciało nasze ma tę wadę, że im więcej mu dogadzamy, tym bardziej mnożą się jego wymagania* (Drogi doskonałości, 11,2, w: op. cit., t. II. s. 58).

Prawdą jest, że trzeba się troszczyć o ciało. Byłoby wielkim błędem narażać bez żadnego powodu własne zdrowie. Zdrowie jest bowiem dobrem, darem, którym trzeba umiejętnie zarządzać i jednocześnie szanować je. Nie należy jednak popadać w przeciwną skrajność, np. jakaś drobna dolegliwość: katar, niewysoka gorączka nie może być wystarczającą wymówką zwalniającą nas z naszych obowiązków. Molière w swojej sztuce „Chory z urojenia” doskonale przedstawia tę ludzką skłonność do nadmiernego troszczenia się o własne zdrowie. Taka postawa może podporządkować sobie wszystkie siły i energie, przysparzając jednocześnie wiele pracy innym.

Św. Teresa mówi o swoich doświadczeniach: *Będąc tak schorzała, zawsze byłam jakby związana i do niczego niezdatna, dopóki nie zdobyłam się na postanowienie nietroszczenia się o ciało ani o zdrowie, chociaż i teraz mało co robię dobrego. Ale odkąd z łaski Boga zrozumiałam ten podstęp szatana, odtąd, ile razy straszyl mnie utratą zdrowia, odpowiadałam mu: „mniejsza o to, że umrę”; albo gdy radził odpocząć, mówiłam: „nie potrzeba mi odpoczynku jeno krzyża”; jasno poznawałam, że w bardzo wielu zdarzeniach, choć w rzeczy samej mocno jestem schorzała, była to tylko pokusa czartowska albo własna miękkość moja, bo od czasu, jak przestałam*

zważać na siebie i pieścić się, o wiele jestem zdrowsza (Księga życia, 13,7, w: op. cit. t. I, s. 206).

Roztropność, oceniając wszystko ze świadomością obecności Boga, osądzi, jak mamy postępować w każdym przypadku dotyczącym naszego zdrowia. Pomyślmy: jeśli winniśmy choć trochę wymagać od siebie, kiedy nie czujemy się najlepiej, o ile bardziej powinniśmy być twardzi wobec siebie wówczas, kiedy cieszymy się dobrym zdrowiem. W ten sposób zdamy sobie sprawę, że wymówki, które wynajdujemy przed podjęciem każdego wysiłku, są często odrobiną lenistwa lub znużenia.

Powinniśmy nauczyć się być nieprzejednanymi wobec samych siebie w tym, co odnosi się do wypełniania naszych obowiązków: w pracy, nauce, w rodzinie, wobec państwa, wobec bliźnich itd. Nie możemy nie zauważać oszustw, które sprawiają, że odkładamy to, co wymaga od nas poświęcenia, zaczynamy od tego, co jest przyjemniejsze, przerywamy, jeśli zaczyna nas to nudzić, i nie możemy pozwolić, aby regularnie odkładać je na „potem”: *Zrobię to jutro!* – czytamy w „Drodze” – *Niekiedy chodzi o przezorność, bardzo często jest to wyznanie pokonanych* (n. 251). Trzeba przewycięzać to wszystko, co jest ospałością, niedbalstwem i próżnowaniem w wypełnianiu naszych obowiązków.

Człowiek posiada wyjątkową zdolność do usprawiedliwiania się. Jednym z najczęstszych motywów jest porównanie: „Inni tyle nie pracują”. Warto zauważyć, że ten rodzaj porównań jest typu „równania w dół”: zawsze porównujemy się do tych, którzy mniej czynią. W rzeczywistości dobrze byłoby porównywać się z tym, który pracuje więcej. Są na świecie ludzie o wielkiej ofiarności, z ogromną zdolnością do pracy i poświęcenia. Często przeznaczają wiele godzin, i to z ogromnym wysiłkiem, po to, aby poprawić swój status społeczny lub utrzymać swoją rodzinę. Inni spalają się tylko dlatego, aby zaspokoić swoje ambicje. Są wreszcie i tacy, których do wysiłku skłania uraza lub nienawiść. Stąd też nam – kierującym się miłością do Boga



– nie powinno brakować energii potrzebnej do wymagania od siebie samych.

Dyscyplina wewnętrzna jest jednym z kluczy do życia duchowego. Nie przesiąknięta fanatyzmem pomaga realizować to, co uczciwe, co uznajemy, że powinno być wykonane. Chodzi o przewyciężenie owych zwodniczych oporów stawianych przez najniższe instynkty. Dlatego koniecznie trzeba nauczyć się nie oszukiwać samego siebie, niszczyć w zarodku mające się narodzić wymówki, demaskować fałszywe racje, które przychodzą nam na myśl przez wygodnictwo. Ostatecznie chodzi o to, aby rozum panował nad oporami stawianymi przez ciało.

Utrzymanie wewnętrznej dyscypliny pozwala ponadto wymagać od innych, kiedy jest to konieczne. A zdolność wymagania jest niezbędna we wszelkich zadaniach związanych z kierowaniem, rządzeniem i nauczaniem. Egzekwowanie jest czymś trudnym, lecz często staje się obowiązkiem. Przez brak wymagań toleruje się postępowanie niesprawiedliwe, które staje się źródłem krzywd w zakładach, w życiu publicznym, w rodzinach. Pozwolić, aby takie czy inne nadużycie przeszło niezauważone, jest bardzo wygodne. Jest jednak także brakiem odpowiedzialności, niekiedy wręcz dotkliwą niesprawiedliwością – gdy szkody są wielkie i dotyczą wielu ludzi. Typowy jest przypadek „rozpieszczonych dzieci”. Chodzi tu o dzieci, którym zawsze pozwalano na to, na co miały ochotę. Wystarczył ich najmniejszy nawet sprzeciw, a przystawano na ich życzenia. To powoduje tworzenie się osobowości, które potrafią wiele wymagać od innych, natomiast w stosunku do siebie są bardzo pobłażliwe. W ten oto sposób wychowuje się osoby, które po prostu są nieznośne. I dopiero surowość życia naprawia lub temperuje ich charakter. A przecież można by było zaoszczędzić wielu przykrości, gdyby dzieci te zostały wychowane w poczuciu pewnych obowiązków; to znaczy, jeśli by się je po prostu przyzwyczaiło do wypełniania pewnych zadań i do myślenia najpierw o innych, a dopiero potem o sobie.

Męstwo jest jednym z najlepszych przymiotów osobowości człowieka i czyni go wartościowym. Była to jedna z cnót najbardziej poważanych w starożytności, jako że jest fundamentem wszystkich zachowań bohaterskich. Owych ludzi popychało do heroizmu pragnienie, aby ich sława była czczona przez potomność. Męstwo potrzebuje bowiem siły napędowej. Aby zacząć to, co jest trudne, potrzebny jest wielki zapal, a doniosłość motywów pozwala podtrzymać heroiczne zachowanie. Starożytni Grecy często myśleli o owej chwale bohaterów, którym nieustannie oddawano cześć. Natomiast chrześcijanin powinien kierować się miłością do Boga. Miłość zawsze była jednym z fundamentów heroizmu. Dlatego trzeba brać ją pod uwagę, zwłaszcza kiedy się doświadcza głębokiego zniechęcenia wobec pojawiających się trudności. Jest to właściwa chwila, aby unieść spojrzenie i przypomnieć sobie razem ze św. Pawłem: *Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia* (Flp 4, 13), oraz słowami psalmisty dodać: *Ty bowiem jesteś dla mnie skałą i twierdzą* (Ps 31,4).

*Audaces fortuna iuvat* – do zuchwałych uśmiecha się los, jak mówi klasyczny aforyzm. Bogu także podoba się, aby byli odważni ci, którzy Mu służą: *Bóg chce – mówi święta z Avili – byśmy mieli serce odważne i dusze mężne miłuje, jeśli tylko chodzą przed Nim w pokorze, w niczym nie polegając na samym sobie; otóż nie widziałam nigdy takiej duszy wspaniałomyślnej, by pozostała w tyle na tej drodze* (Księga życia, 13,2, w: op. cit., t. I, s. 203).

Męstwo nadaje chrześcijaninowi odporność żołnierza, niezbędną, aby mógł toczyć tę walkę o Boga, która skupia się na zwalczeniu tego, co najgorsze w człowieku. Jest niezbędną także i po to, aby móc rozwijać wszelkie formy służenia Bogu.

## Wyrzeczenie się

Niektóre sceny z Ewangelii budzą w nas rozczarowanie – oczekujemy na pozytywne zakończenie, a nagle coś kończy się źle. Jedną z nich jest scena z bogatym młodzieńcem. Św. Marek opowiada – on przedstawia tę scenę najbardziej szczegółowo – jak to pewien młodzieniec podszedł do Chrystusa i upadł przed Nim na kolana pytając, co powinien zrobić, aby odziedziczyć życie wieczne. Jezus przypomniał mu wówczas przykazania Prawa. A ten odpowiedział: „*Nauczycielu, wszystkiego tego przestrzegałem od mojej młodości*”. Wtedy Jezus spojrział z miłością na niego i rzekł mu: „*Jednego ci brakuje. Idź, sprzedaj wszystko, co masz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. Potem przyjdź i chodź za Mną*” (Mk 10,20-21). Wobec ofiarnej dyspozycyjności młodzieńca Chrystus żąda od niego jego życia i wówczas dochodzi do utraty złudzeń: *Lecz on spochmurniał na te słowa i odszedł zasmucony, miał bowiem wiele posiadłości*.

Apostołowie i uczniowie Pańscy śledzili tę scenę zapewne z ogromną sympatią. Dlatego tak bardzo uderzyły ich słowa, które Chrystus dalej wypowiada: *Wówczas Jezus spojrział wokół i rzekł do swoich uczniów: „Jak trudno jest bogatym wejść do królestwa Bożego”*. I dodaje św. Marek: *Uczniowie zdumieli się na Jego słowa* (Mk 10,23-24). Po ujrzeniu dobrych chęci młodzieńca słowa Chrystusa wydały im się bardzo surowe. Lecz Chrystus chciał im przekazać naukę: ów młodzieniec był z całą pewnością dobrym człowiekiem, lecz w jego sercu więcej znaczyła już miłość do swoich dóbr niż miłość do Boga. Być może usiłował

także czcić Boga, lecz jego serce było przywiązane do posiadłości, a te czyniły go niezdolnym do prawdziwej służby Bogu.

Dobra ziemskie – pieniądze, pozycja społeczna, autorytet – mają wielką moc, większą niż się nam wydaje, i potrafią zawładnąć naszym sercem, które stworzone jest przecież dla Boga. Tylko w odosobnionych przypadkach – np. skąpiec z bajek – objawia się to w sposób rzucający się w oczy. Zazwyczaj zaczynają nas opanowywać w sposób bardzo dyskretny, lecz wcale nie mniej skuteczny. Dlatego też Chrystus wypowiada się z taką mocą, unikając w ten sposób wszelkiego kompromisu: *Nikt nie może dwom panom służyć. (...) Nie możecie służyć Bogu i Mamonie (Mt 6,24). Oraz: tak więc nikt z was, kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem (Łk 14,33).*

Chrystus mówi o pieniądzach jako władcy ze względu na moc, jaką posiadają, która sprawia, że im służymy. Jeśli choć trochę się zapomnimy, wtedy pieniądze zaczynają wyznaczać kierunek naszego życia, choć wcale tego nie zamierzaliśmy. Społeczeństwo, w którym żyjemy, uważa za rzecz normalną, że jedynym horyzontem życia jest więcej mieć i lepiej żyć. Tą mentalnością zaczyna przesiąkać także i nasze życie, ponieważ ku temu jesteśmy skłonni. Wszystko przyczynia się do podrażnienia ludzkiego pragnienia do zdobywania, do awansowania, do posiadania. Ta ambicja ciągle rośnie i może się stać tak, że zajmie pierwsze miejsce w naszym życiu, choć być może nigdy w naszym umyśle tego nie zaakceptujemy. Często zdarza się, że faktycznie ludzie poświęcają całe swoje życie, rok po roku, na pogoń za dobrami materialnymi, jedno za drugim: lepsza praca, drugi dom, podróże, kapitały... I kiedy przychodzi koniec, zauważa się, że zabrakło czasu na zdobywanie innych dóbr, które teoretycznie akceptowało się jako ważniejsze: życie rodzinne, przyjaźń, kultura... a przede wszystkim zażyłość z Bogiem. Iluż ludzi nie ma czasu na to, co jest celem ludzkiej egzystencji! Sytuacja ta przypomina tę, o której Jezus mówi w przypowieści o siewcy: *To, co padło mię-*

dzy ciernie, oznacza tych, którzy słuchają słowa, lecz potem odchodzą i przez troski, bogactwa i przyjemności życia bywają zagłuszeni i nie wydają owocu (Łk 8,14). Nie można nie doceniać tego olbrzymiego powabu, który niekiedy zdobywa podstępem energię najwartościowszych ludzi. Mogliby ją wykorzystać w służbie, a nie tylko zużyć po to, aby awansować i więcej zdobyć, dopóki nie zakończy się bieg życia.

Niebezpiecznie jest myśleć, że „potem” (po tym, jak się osiągnie to czy tamto) zacznie się żyć w inny sposób. Wielu osobom przydarza się to, co owemu człowiekowi z innej przypowieści Chrystusa: *Pewnemu zamożnemu człowiekowi dobrze obrodziło pole. I rozważał sam w sobie: Co tu począć? Nie mam gdzie pomieścić moich zbiorów. I rzekł: Tak zrobię: zburzę moje spichlerze, a pobuduję większe i tam zgromadzę całe zboże i moje dobra. I powiem sobie: Masz wielkie zasoby dóbr, na długie lata złożone; odpoczywaj, jedz, pij i używaj. Lecz Bóg rzekł do niego: „Głupcze, jeszcze tej nocy zażądają twojej duszy od ciebie; komu więc przypadnie to, coś przygotował?”* Tak dzieje się z każdym, kto skarby gromadzi dla siebie, a nie jest bogaty przed Bogiem (Łk 12,16-21).

Dobrym środkiem uniknięcia tego, by nasze ambicje nie rozzuchwaliły się i nie zawładnęły naszym życiem, jest częste przypominanie sobie, że to życie (na ziemi) ma swój kres. W rzeczywistości jest to jeden z motywów powstania w Kościele specyficznego modelu życia w ubóstwie, charakterystycznego dla zakonników. Poprzez wyrzeczenie się posiadania dóbr – składając motywowany miłością do Boga ślub ubóstwa – zakonnik przypomina nam wszystkim, że istnieje inne życie, które jest o wiele wartościowsze niż to doczesne, przemijające, i dlatego powinniśmy je przeżywać z myślą o życiu wiecznym.

Bóg nie wymaga od wszystkich tego samego sposobu przeżywania ubóstwa, lecz wzywa nas, abyśmy nie dopuścili do tego, by nasze serce za swój cel obierało dobra ziemskie i w rezultacie czyniło z nich bożki. Jak w takim razie postępować? Jak we

wszystkich aspektach ascetyki, tak i tutaj chodzi o proste życie zgodne z tym, co odkrywa rozum oświecony przez wiarę. Wystarczy choć trochę pomyśleć, aby nadać rzeczom właściwą rangę.

Jest rzeczą oczywistą, że celem ludzkiego życia nie jest dobrobyt materialny, lecz miłość do Boga. I żyjemy po to, aby szukać Boga i służyć bliźnim. Świat jest dobry, gdyż wyszedł z Bożych rąk i Bóg oddał go człowiekowi, aby go strzegł i używał jego dóbr według swoich potrzeb. Jest rzeczą oczywistą, że nie moglibyśmy żyć bez jedzenia lub gdybyśmy nie mogli się ubierać, znaleźć odpowiedniego domu i zaspokoić tylu potrzeb w dziedzinie zdrowia, kultury itd., które wymagają materialnego zabezpieczenia.

Istotne jest przyjęcie właściwego punktu widzenia, poprawnego sposobu postrzegania rzeczywistości, co dałoby się wyrazić jedną zasadą: rzeczy materialne są „instrumentami”, które pomagają nam w osiągnięciu celu naszego życia: szukać Boga i służyć bliźnim. To kryterium pozwala rozwiązać wiele sytuacji niepewnych i pomaga ocenić wiele wydarzeń. Bowiem urok pieniędzy czy władzy jest tak potężny i sugestywny, że często jawi się jako coś bardzo szlachetnego. Iluż bowiem rodzicom trzeba przypominać, że o wiele bardziej wartościowym jest czas, który poświęca swoim dzieciom, niż pracowanie dłużej po to, aby zapewnić im więcej wygód! Czy nie jest czymś ważniejszym dla rodziny możliwość wspólnego przebywania, choć trochę każdego dnia, niż posiadanie drugiego domu, lepszego samochodu czy kilku dni wakacji spędzonych w egzotycznych krajach?

W miarę jak praca zawodowa przyczynia się do gromadzenia dóbr, zarysowuje się z coraz większą siłą obowiązek moralnego ich użytkowania w służbie drugim. Można go realizować, np. w ramach tych samych struktur, które posiada społeczeństwo w celu zwiększenia inwestycji i zatrudnienia. W każdym razie trzeba uciekać przed siecią, którą bogactwo, tak jak pająk, rozciąga nad nami. Wszelkie dobra posiadają „delikatne nitki”, które nas przyciągają i zniewalają, jeśli nie włożymy wysiłku w ich

przecięcie. Trzeba przerwać te więzy i być niezależnym od rzeczy. *Z umiarkowaniem tego, który ich używa* – zauważa św. Augustyn – *a nie z żądzą tego, który pokłada w nich swoje serce* (De moribus Ecclesiae catholicae, PL 32, 1309-1378,1,21,39).

Jak to ma miejsce w innych dziedzinach życia, tak i tu trzeba ze spokojem walczyć o utrzymanie naszej wewnętrznej wolności, o osiągnięcie tego, abyśmy potrafili kierować się rozumem. A to jest możliwe, jak zawsze, dzięki ćwiczeniom.

Nasz wysiłek powinniśmy skierować na uznawanie dóbr materialnych za „instrumenty”. Nasz dom jest miejscem, gdzie toczy się życie rodzinne (jest „instrumentem” służącym życiu rodzinnemu). Samochód jest „instrumentem” służącym pracy i odpoczynkowi itd. Ten sposób postrzegania rzeczy ochrania nas przed mentalnością luksusu, tzn. miłością do dóbr ze względu na nie same, ponieważ są bardzo cenne lub bardzo drogie.

Luksus jest zniewoleniem, które bardzo łatwo opanowuje nasze serce i sprawia, że zamiast kochać Boga i bliźnich zakochujemy się w odrobinach nietrwałej materii. Wraz z luksusem pojawiają się także wszelkie przejawy głupoty ludzkiej, przedstawiające obraz godny litości, niekiedy komiczny: zazdrośczenie temu, kto posiada więcej, współzawodnictwo z tym, kto bardziej potrafi udawać, wystawianie na pokaz tego, co się posiada, oraz próżność. Akceptując to wszystko człowiek zaczyna się cofać: całkowicie traci zdolność podążania za wielkimi ideałami i kieruje się w życiu lekkomyślnością.

Człowiek, który pragnie służyć Bogu i bliźnim, powinien starać się o zachowanie umiarkowanego stylu życia, zadowalać się tym, co naprawdę jest konieczne do życia (a to nie jest jednakowe dla wszystkich), unikać kaprysów i mieć usposobienie wstrzemięźliwe. Wszystko to można osiągnąć, jeśli przyzwyczaimy się traktować rzeczy jak instrumenty, przerywając owe uczuciowe więzy, przez które czujemy się do nich przywiązani. To właśnie nazywa się wyrzeczeniem.

Fakt, że rzeczy spełniają dla nas rolę instrumentów, wcale nie oznacza, że nie powinniśmy o nie dbać. Wręcz przeciwnie. Jest naturalnym wymogiem odkupienia, dokonanego przez Chrystusa i uobecnianego w świecie poprzez nas, aby świat materialny, w którym żyjemy, był ujmujący, przyjemny, radosny i gościnny. Spełnia on bowiem rolę jakby zewnętrznego znaku wskazującego na obecność Boga, a wraz z Nim prawdy. Ta zaś zawsze objawia się w klimacie, który przyciąga swoją harmonią. Dlatego chrześcijańskie ubóstwo i wyrzeczenie nie mają nic wspólnego z brudem, niedbalstwem albo bałaganem. Takie cechy wskazują raczej na lenistwo, chyba że mamy do czynienia z przypadkami skrajnej biedy.

Traktowanie rzeczy tylko jako instrumentów każe nam głęboko zastanowić się przed kupnem kolejnego sprzętu, aby nie otaczać się zbędnymi przedmiotami, wyraża się też w takim ich używaniu, aby mogły jak najdłużej spełniać swoje funkcje. Powinniśmy dawać pierwszeństwo temu, co proste, funkcjonalne, miłe. To nadaje pewną szczególną elegancję: prymat ducha widoczny jest także na zewnątrz, nawet w dobrach materialnych, którymi się posługujemy.

Co wobec tego uczynić z przedmiotami, które nie są niezbędne do życia? Chrześcijańska odpowiedź na to pytanie zawsze była jasna. O wiele ważniejszymi dobrami – odziedziczonymi lub nabytymi – są nowe talenty, kolejne przejawy odpowiedzialnej służby. Chodzi o to, aby je dobrze wykorzystać, służąc innym. Na pierwszym miejscu są ci, którzy mają mniej: *Ubogiego bowiem nie zabraknie w tym kraju, dlatego ja nakazuję: Otwórz szczerze rękę swemu bratu uciśnionemu lub ubogiemu w twej ziemi* (Pwt 15,11). A św. Jan tak to komentuje: *Jeśliby ktoś posiadał majątność tego świata i widział, że brat jego cierpi niedostatek, a zamknął przed nim swe serce, jak może trwać w nim miłość Boga?* (1 J 3,17) My sami nie jesteśmy w stanie rozwiązać wielkich problemów światowych, lecz możemy zaradzić tym, które dotyczą osób z naszego otoczenia.



Miłość do Boga przejawia się w tym przypadku w wielkoduszności: ogromny zapał zdolny jest zapoczątkować wielkie dzieła w imię miłości do Boga. Ten, kto posiada wiele majątności, ma jednocześnie możliwość zainicjowania lub współpracy w wielkich przedsięwzięciach charytatywnych. Chrześcijanin powinien być świadomy wielu zadań, które podejmuje Kościół (opiekuńcze, wychowawcze itd.), po to, aby szlachetnie w nich uczestniczyć. Wielkoduszność jest wielką zaletą i pomaga żyć bez popadania w zależność od dóbr materialnych, zadowolając się tym, co niezbędne, a resztę przeznaczając na pomoc innym.

Ten sam typ charakteru, prostolinijny i surowy, trzeba urzeczywistniać także w innych dziedzinach naszego życia, usiłując wprowadzić tam panowanie rozumu. Ma to miejsce, na przykład w wykorzystaniu czasu wolnego, w liczbie godzin, które pochłania nam telewizja (nowe zniewolenie, tu także rozum powinien zaprowadzić porządek), w doborze lektury (czy czytamy pozycje przypadkowe czy też coś, co nas interesuje), w sposobie zdobywania informacji, w pragnieniu odpoczynku, w wygodnictwie. Wszystko powinno być dozowane ze spokojem przez naszą inteligencję po to, aby zachować niezależność i w konsekwencji młodość ducha.

Jedną z ważnych spraw, o które warto dbać, jest kwestia jedzenia i picia. Mamy tu do czynienia z naturalną potrzebą, która musi być zaspokojona. Nasze wyrzeczenia nie mają prowadzić do tego, by pozbawiać się pokarmów czy napojów, lecz na tym, by jeść i pić tak, jak powinna to czynić istota rozumna. Cel spożywania pokarmów jest prosty: zaspokojenie głodu, ukojenie pragnienia. Nieporządek powstaje wówczas, gdy poprzez nadmierne jedzenie lub picie szkodzi się swemu zdrowiu, lub traci się tyle czasu (na jedzenie i trawienie), że niemożliwe jest prowadzenie normalnego trybu życia. Zazwyczaj jadasz więcej niż trzeba. Przesycenie, które sprawia często, że czujesz się ociężały i znużony fizycznie, uniemożliwia ci właściwe zasmakowanie w dobrach nad-

przyrodzonych i przytępia władze umysłowe. Nawet gdy chodzi o sprawy ziemskie, jakże wielki ma wpływ cnota wstrzemięźliwości (Droga, n. 682).

Jedzeniu przypisuje się większe znaczenie niż jest tego warte. Dlatego trzeba umieć się hamować: jeść odrobinę mniej, niż domaga się tego apetyt. Nie możemy zapomnieć, że namiętności nas zwodzą. Jeśli jedlibyśmy zawsze aż do przesyty, to obok wyrządzenia sobie szkody, połowę życia poświęcilibyśmy na trawienie.

Jedzenie i picie są dobrym polem doświadczalnym, aby móc zauważyć, który punkt naszego charakteru ma przewagę nad pozostałymi. Poza tym posiada on także wartość strategiczną, gdyż ustępstwa na tym polu, jakkolwiek nie mające same w sobie wielkiego znaczenia, pociągają za sobą inne, te o wiele większym znaczeniu.

Mówi się, że jemy po to, aby żyć, a nie żyjemy po to, aby jeść, i jest to bardzo trafna maksyma. Zwyczaj jedzenia odrobinę mniej, niż się tego domaga nasze ciało, jest dobrym środkiem. Ponadto trzeba też nauczyć się kontrolowania nadużyć, które mają miejsce w tej dziedzinie, a które św. Tomasz wymienia niezwykle trafnie (S. Th., I-II, q. 77., a. 9, ad 2): łakomstwo, żarłoczność, która prowadzi do przejedzenia, nadmierne przywiązywanie wagi do przygotowywania posiłków, szukanie wyśmienitych pokarmów, jedzenie poza ustalonym czasem. *Obżarstwo jest brzydkim nałogiem. Czy nie budzi w tobie śmiechu i odrazy widok tych poważnych panów, którzy rozsiedli się za stołem, skupieni, jak gdyby odprawiali rytuał, napychając brzuchy tłustymi potrawami, jakby to był cel sam w sobie?* (Droga, n. 679)

Jeśli chodzi o napoje, zwłaszcza alkoholowe, to wystarczy choć trochę znać życie, aby mieć świadomość, jak wielką szkodę wyrządza spożywanie ich w nadmiarze. Odrobina roztropności pozwala być przewidującym, ponieważ to, co przydarzyło się innym, równie dobrze może spotkać nas samych. Trzeba określić

dla samego siebie pewną miarę po to, aby zapobiec temu, by atrakcyjność alkoholu – a jest ona niemała – nie zwiadła nas. Znając siebie i polegając na doświadczeniu innych, możemy wyznaczyć sobie pewne granice. Dobrym środkiem jest pić zawsze trochę mniej niż wyznaczona miara.

Nigdy jednak nie możemy stracić z pola widzenia powagi tego, o co toczy się gra. Nie chodzi wcale o to, że jakiegoś dnia byliśmy lekkomyślni. Chodzi o to, że poprzez takie małe niedopażnienia, jedno po drugim, życie przybiera zły kierunek, a my sami stajemy się coraz mniej otwarci na wartości duchowe. Moralna szkodliwość braku umiarkowania – obżarstwa, nadmiaru napojów – jest trudna do określenia w każdym konkretnym przypadku, lecz jest bardzo widoczna wówczas, kiedy te błędy prowadzą do całkowitego zawładnięcia naszym życiem. Św. Paweł uzala się: *Wielu bowiem postępuje jak wrogowie krzyża Chrystusowego, o których często wam mówiłem, a teraz mówię z płaczem. Ich losem – zagłada, ich bogiem – brzuch, a chwala – w tym, czego winni się wstydzić. To ci, których dążenia są przyziemne* (Flp 3,18-19).

Umiarkowanie pozwoli nam żyć w wolności. Będziemy zdolni kierować sobą, da nam siłę ducha, i nawet dobre zdrowie. Ponadto może być polem, na którym odkryjemy wiele małych zwycięstw, które będziemy mogli ofiarować Bogu. Wyrzeczenie się i zachowywanie umiaru nadają życiu wymiar chrześcijański i są fundamentem, na którym można budować wartości bardziej wzniosłe, prowadzące do umiłowania Boga: *Ja bowiem nauczyłem się wystarczać sobie w warunkach, w jakich jestem – mówi św. Paweł. – Umiem cierpieć będę, umiem i obfitować. Do wszystkich w ogóle warunków jestem zaprawiony: i być sytym, i głód cierpieć, obfitować i doznawać niedostatku. Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia* (Flp 4,11-13).

## Czystość

*Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę. Po czym Bóg im błogosławił, mówiąc do nich: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną” (Rdz 1,27-28).* Te podniosłe słowa autora natchnionego mają ogromne znaczenie dla chrześcijańskiego wyobrażenia na temat człowieka. Najpierw mowa jest o jego godności, potem o różnicowaniu płciowym i wreszcie o błogosławieństwie Bożym, które nadaje sens temu różnicowaniu, ukierunkowanemu na przekazywanie życia.

Od samego początku małżeństwo zostaje ustanowione jako szczególnie związek między mężczyzną i kobietą, otwarty – ze swej natury – na przekazywanie życia. Różnicowanie płciowe pomiędzy mężczyzną i kobietą posiada ten właśnie cel, a seksualność podporządkowana jest jego osiągnięciu. To wszystko zawarte jest w ludzkiej naturze i jest charakterystyczne dla ludzkiego bytu, niezależnie od tego, czy chce się to zaakceptować czy też nie. Mężczyzna i kobieta czują wzajemne przyciąganie, które ze swej natury oparte jest na uczuciu i nastawione na ustanowienie relacji partnerskiej, dającej początek nowemu życiu. Chodzi tu o mechanizm całkowicie naturalny, który po części rozwija się poza naszą kontrolą, a po części jest z nią zgodny.

Instykt seksualny – owo dążenie do relacji seksualnej z osobami płci przeciwnej, aby zainicjować nowe życie – jest, tuż po instynkcie samozachowawczym, najsilniejszym z instynktów człowieka. Mimo to, w odróżnieniu od zwierząt, podporządkowany

jest panowaniu ducha, który do pewnego stopnia może nim kierować. Zwierzęta mają swoje okresy rui, w czasie których odczuwają ten instynkt i zaspokajają go; człowiek w odróżnieniu od nich za pomocą rozumu może kierować swoją aktywnością seksualną.

Nie jest to jednak wcale takie łatwe. Ludzkie pragnienia, na skutek grzechu pierworodnego, są nieuporządkowane. Dobra materialne potrafią zwieść i obiecują o wiele więcej, niż są w stanie dać: stąd też dążą do okłamania i zniewolenia człowieka. Podobny problem, a nawet większy niż z innymi instynktami (pragnienia, jedzenia czy ucieczki od wysiłku), ma człowiek z instynktem seksualnym, jako że jest instynktem silniejszym. Dlatego też pojawia się ze szczególną mocą.

Rozum rządzi tym instynktem – i innymi namiętnościami – w sposób pośredni. Arystoteles powiada, że nad namiętnościami sprawuje jedynie władzę polityczną, a nie despotyczną, i jako przykład stawia woźnicę powożącego zaprzęgiem konnym. Konie są mu posłuszne, lecz tylko w pewnej mierze, zachowując część swojej autonomii. Także i instynkt posiada swoje własne mechanizmy, a rozum zarządza nim w miarę, jak kontroluje jego sprężyny.

Na przykład mężczyzna może zdecydować się na nawiązanie kontaktu z kobietą. W konsekwencji może się w niej zakochać. Zakochanie się jest reakcją naturalną, jako że mężczyzna nie może zakochać się na skutek zwykłego aktu woli, natomiast może swoim postępowaniem szukać ku temu okazji. Jeśli dojdzie potem do wniosku, że ta kobieta nie jest dla niego odpowiednia, będzie mógł od niej odejść (mimo iż nadal będzie czuł się w niej zakochanym) i w ten sposób powoli zapomnieć o niej czy też zakochać się w innej. Na tym przykładzie można zauważyć, jak mieszają się ze sobą reakcje naturalne (których nie jesteśmy w stanie bezpośrednio kontrolować) z działaniem rozumu. Na skutek pewnych bodźców człowiek nie jest w stanie kontrolować swojej

instynktownej reakcji, która pojawia się jakby mechanicznie. Natomiast może ją kontrolować, jeśli jest baczny na bodźce. Ten właśnie klucz służy temu, aby rozum zaprowadził porządek w tej sferze życia człowieka. Na tym opiera się cnota czystości: jest to umiejętność porządkowywania pragnienia seksualnej przyjemności.

Seksualność jest bardzo ważna w życiu każdego człowieka. Stąd też jest wskazane, aby była właściwie przeżywana. Z jednej strony bycie mężczyzną czy kobietą nie jest zwykłym zróżnicowaniem fizjologicznym, lecz dotyka wszystkich warstw osobowości. Z drugiej strony relacja małżeńska pomiędzy mężczyzną i kobietą jest czymś więcej niż tylko relacją seksualną. Seksualność jest jedynie jednym z aspektów owej relacji. Małżeństwo nie jest przecież tylko związkiem dwóch ciał, lecz przede wszystkim dwóch bytów rozumnych złączonych szczególną przyjaźnią. To na podstawie tej właśnie relacji bierze zwykle początek nowe życie i tu także znajduje środki materialne i miłość, aby móc rosnąć i rozwijać się, aż do osiągnięcia ludzkiej dojrzałości (która także jest czymś więcej niż tylko dojrzałością fizjologiczną).

Dlatego też rodzina – małżonkowie i dzieci – stanowi instytucję o fundamentalnym znaczeniu dla społeczeństwa. Jest bowiem miejscem, gdzie rodzą się i wychowują jego członkowie. To już wystarczy, aby zrozumieć, że życie seksualne nie jest ani nie może być czymś trywialnym, jako że oddziałuje na najgłębsze warstwy psychiki człowieka i na fundament życia społecznego. To tłumaczy fakt, że zdolność panowania nad popędem seksualnym zawsze była jednym z imperatywów obowiązujących w jakiegokolwiek zdrowej społeczności, nawet niechrześcijańskiej. I podobnie, brak tej zdolności bywa zwykle najwymowniejszym świadectwem społeczeństwa, które niszczy i upada.

W tym punkcie nauka chrześcijańska jest bardzo jasna: broni tego, że pożycie seksualne jest czynnikiem składowym małżeństwa i że jedynie w nim jest dozwolone wywoływanie przyjemno-

ści seksualnej, otwartej zawsze na poczęcie nowego życia. Lecz społeczność, w której przyszło nam żyć, zbanalizowała wymiary seksualności do tego stopnia, że traktuje ją jako jeszcze jeden artykuł konsumpcyjny. Stąd też nie rozumie się dobrze ani też nie docenia nauczania Kościoła w tym względzie. Trywializacja seksualności niesie ze sobą wulgaryzację miłości (jedno z najbardziej sponiewieranych słów we współczesnym słownictwie); a wulgarne traktowanie miłości (najszlachetniejsza z ludzkich relacji) prowadzi do tego, że staje się niemożliwym przeżywanie szczęścia, które z niej wypływa (miłość pomiędzy małżonkami, miłość i życie rodzinne, przyjaźń). Jednym z najbardziej wymownych świadectw tego jest łatwość, z jaką znane osoby ze świata kina i rozrywki opowiadają na łamach gazet o swoich wielokrotnych doświadczeniach małżeńskich. Wiele razy sprawiają wrażenie osób, które nie wiedzą i tak naprawdę nigdy nie doświadczyły tego, czym jest prawdziwa miłość, i dlatego też nie odnaleźli szczęścia.

Jeśli zniknie ten najszlachetniejszy wymiar seksualności, pozostaje jedynie coś tak prostackiego jak zaspokojenie instynktu. Cała wielka gałąź przemysłu – ogarniająca w dużej mierze rynek literatury i sztuki – żyje z wykorzystywania czegoś tak naturalnego jak to, że pewne ludzkie akty fizjologiczne powodują przyjemność fizyczną. Nie chodzi tu o nic innego. U podstaw tego wielkiego przemysłu nie stoi nic innego jak chorobliwa żądza zysku. Nasza cywilizacja byłaby całkiem inna, gdyby podobną przyjemność dawało wycieranie sobie nosa. Cały wielki przemysł żyłby z tego, wykorzystując to drobne, tak podstawowe zjawisko.

Warto, abyśmy zdali sobie sprawę z oszustwa, które stanowi stałą ofertę naszego konsumpcyjnego społeczeństwa. Nie powinniśmy także stawiać się ponad nim, gdyż dopóki jesteśmy ludźmi, nie znajdujemy się poza zasięgiem jego bodźców. Dlatego winniśmy strzec naszej intymności, a przede wszystkim mieć świadomość tego, o co toczy się gra. W parze z seksualnością idzie zdol-

ność kochania, a konsekwencją tego jest ludzkie szczęście. W ten sposób można zrozumieć to, że teksty Pisma Świętego są tak bezwzględne w tym w punkcie: *Nie ludźcie się! Ani rozpustnicy [...], ani cudzołożnicy, ani rozwięzli, ani mężczyźni współżyjący ze sobą [...] – nie odziedziczą królestwa Bożego* (1 Kor 6,9-10). Rzecz w tym, że w tej grze znajdują się istotne wymiary życia.

Ludzkie szczęście – na ziemi i w królestwie niebieskim – jest stawką tak poważną, że warto podjąć wysiłki niezbędne, aby właściwie kierować tą sferą swoich przeżyć. Trzeba reagować na zamachy na naszą intymność, docierające do nas poprzez środki masowego przekazu, które za normalne uważają używanie reklamy. Powinniśmy być tym bardziej czujni, jeśli zdajemy sobie sprawę z tego, że mamy skłonność do łatwego przystawania na ustępstwa. Odrobina doświadczenia pomoże nam w nauczaniu się tego, jak udoskonalać się w tym względzie.

Niewątpliwie centralnym aspektem tej kwestii jest miłość. Tam, gdzie istnieje autentyczna miłość, osiąga się siły niezbędne do uporządkowanego przeżywania seksualności. W cennym dokumencie na temat celibatu kapłańskiego Paweł VI pisał: *miłość, która, jeśli jest prawdziwa, wszystko ogarnia, jest stała i wieczna, i jest zachętą, której oprzeć się nie można, zapala do najwspanialszych czynów* (Paweł VI, *Sacerdotalis coelibatus*, n. 24, w: *Nauka Kościoła o charyzmacie celibatu. Wybór dokumentów*, Gniezno 1993, s. 82). Kiedy miłość jest wielka, czysta i wielkoduszna, posiada energię niezbędną do zwalczania najbardziej niskich pragnień, które są zawsze małostkowe i egoistyczne, oraz do nadania im właściwego kierunku.

Kierując się miłością do Boga, można nawet dojść do poświęcenia wszystkich przyjemności płynących z życia małżeńskiego i seksualnego. W ten sposób Jezus wytłumaczył to swoim uczniom (zob. Mt 19, 10-12), a Kościół praktykuje od swego początku. Chrystus żył w bezżeństwie, tak jak św. Jan i św. Paweł, a prawdopodobnie także pozostali apostołowie.



Św. Paweł wyjawia nam: *Pragnąłbym, aby wszyscy byli jak i ja, lecz każdy otrzymuje własny dar od Boga: jeden taki, a drugi taki. Tym zaś, którzy nie wstąpili w związki małżeńskie, oraz tym, którzy już owdowieli, mówię: dobrze będzie, jeśli pozostaną jak i ja* (1 Kor 7,7-8). I wyjaśnia, że w ten sposób skuteczniej mogą poświęcić się sprawom Bożym (zob. 1 Kor 7, 32-35). Faktycznie, od początku znajdowały się w Kościele osoby, które chciały żyć w celibacie, naśladowując w ten sposób Chrystusa i oddając wszystkie swoje siły na służbę Kościołowi. Bardzo szybko zaczęto właśnie spośród nich wybierać biskupów, a potem kapłanów, aż zwyczaj ten rozprzestrzenił się na cały Kościół zachodni. Wszyscy wiedzą, że oprócz wielu racji takich, jak np. poświęcenie się i skuteczność, celibat apostolski (całkowite oddanie się Bogu) jest jednym z najdobitniejszych świadectw moralnego bogactwa Kościoła i oznaką wielkiego poważania, jakie Kościół posiada dla miłości Boga.

Tym niemniej nie przeczy to twierdzeniu o dobru i świętości małżeństwa wraz z jego seksualnym wymiarem. Przyjemność seksualna, przeżywana w małżeństwie i otwarta na przekazywanie życia, jest ze swej natury dobra, podobnie jak przyjemność, którą sprawia jedzenie lub odpoczynek. Są to rzeczy chciane przez Boga. Sam akt seksualny, aby był godny, wystarczy, by przebiegał zgodnie ze swoją naturą, był otwarty na życie, bez sztucznego pozbawiania go jego efektu (prokreacja), oraz by dobrowolnie nie rozwijał się w sposób anormalny. Natomiast szukanie przyjemności seksualnej poza małżeństwem jest niemoralne.

W środowisku, które nas otacza, może to być niekiedy trudne do zrealizowania. Może nawet dojść do tego, że na skutek słabości wytworzy się konkretny nieporządek w postępowaniu. Trzeba wówczas przyznać się do niego i żałować zań przed Bogiem (w spowiedzi). A jednocześnie wysnuć na przyszłość takie wnioski, aby się to nie powtórzyło. Najważniejsze w tym wszystkim jest uznanie i zwalczanie tego z całą energią. Wszyscy wiemy z doświadczenia – czytamy w „Drodze” – że możemy żyć w czystości,

czuwając, przyjmując sakramenty i gasząc pierwsze isierki namiętności, nie dopuszczając do tego, aby ogień zawładnął ciałem (n. 124).

Jeśli choć trochę uważamy na to, co dociera do nas przez oczy, na to, co czytamy, co oglądamy w telewizji, co widzimy na ulicy, będziemy panować nad jednym z najważniejszych obszarów intymności i będziemy bardziej wolni, jako że narzucimy naszemu postępowaniu taki porządek, jaki dobrowolnie wybraliśmy. Trzeba przywiązywać wagę do tych szczegółów, gdyż skutki nieuwagi są ogromne. Nigdy też nie uważajmy się za będących ponad tymi namiętnościami, które stanowią część naszej upadłej natury. Dopóki jesteśmy ludźmi normalnymi, będziemy pod ich wpływem, lecz jeśli nie będziemy ich kontrolować, zapanują nad nami w postaci nieuporządkowanego postępowania. Trzeba pokroić ciekawość i oczyszczać myśli i pragnienia. Jezus ostrzega, że *każdy, kto pożądliwie patrzy na kobietę, już się w swoim sercu dopuścił z nią cudzołóstwa* (Mt 5,28).

Nie wystarczy jednak samokontrola i wystrzeżenie się samych tylko punktów kulminacyjnych, do których wiedzie instynkt seksualny. Należy uzbroić się w czujność także w pozornie niegroźnych sytuacjach. Wspominaliśmy już o tym, że mężczyzna i kobieta odczuwają wzajemne naturalne przyciąganie, które przemienia się w relację uczuciową, a dzięki niej dochodzi w końcu do kontaktów seksualnych. Ten proces nie jest wcale konieczny, jakkolwiek istnieje pewna naturalna ku temu skłonność. Nie może więc być dla nas żadnym zaskoczeniem, jeśli spotykając się często z osobą płci odmiennej, zwłaszcza kiedy jest ona młoda, zaczniemy dostrzegać uczucie, które nie jest typowe dla zwykłej przyjaźni. Jest to doświadczenie zakochania się, „zauroczenia”, które jest rzeczą piękną i chcianą przez Boga dla większości ludzi, jako normalna droga do małżeńskiej przyjaźni. Jednakże, jeśli ofiarowaliśmy już cały potencjał tych uczuć Bogu lub drugiej osobie, winniśmy umieć je kontrolować.

Człowiek, który ofiarował już komuś swoją miłość i nagle odczuwa w swoim sercu mocne zainteresowanie inną osobą, uważa, że interesuje się nią w sposób romantyczny, zwracając uwagę na liczne jej wdzięki, pragnie spotykać się z nią o wiele częściej niż z innymi i powierzyć jej swoje sekrety, musi sobie uświadomić, że się zakochał. W tym przypadku, jeśli chce być wiernym dobrowolnie przyjętym zobowiązaniom, będzie musiał rozumnie zastosować środki, które pomogą mu przerwać ten naturalny proces. Wskazane będzie, aby spotykał się z tą osobą rzadziej, aby wytworzył pewien dystans, aby usiłował nie myśleć o niej, aby pogłębił relacje w pozostałych swoich miłościach. W takich sytuacjach, pozornie niegroźnych, w grę wchodzi często szczęście nasze i tych, którzy nas otaczają. Trzeba więc panować nad uczuciami serca i odpowiednio je ukierunkowywać, a nie być naiwnym i nieodpowiedzialnym. Jeśli bowiem pozwolimy na niekontrolowany rozwój naszych uczuć, wówczas bardzo trudno będzie przywrócić im właściwy kierunek, a jednocześnie mogą wyrządzić one wiele szkód.

Ogólnie rzecz biorąc, cnota czystości bardzo ściśle związana jest z pozostałymi. Dlatego też jakkolwiek postęp w innych cnotach (panowanie nad lenistwem, bycie bardziej umiarkowanym, wymagania stawiane sobie w pracy itd.) oddziałuje na tę i odwrotnie. W sposób zaś szczególny w dobrym przeżywaniu cnoty czystości pomaga nam pokora, podczas gdy przeciwna jej wada – pycha – ma w zwyczaju wywoływać nieporządek w tym względzie. Jak mówi stare powiedzenie ascetyczne: *ukryta pycha, widoczna rozpusta*. Pokora pomaga także naprawiać błędy i być szczerym wobec samego siebie, pomaga przyznawać się do tego, co może być naszą współwiną w niektórych przypadkach. Pomaga także być szczerym wobec spowiednika lub kierownika duchowego, któremu powinno się wyjawiać trudności przeżywane w tej czy też innej dziedzinie życia, pomimo tego, że trochę nas to zawstydzia. Wszystko to oraz autentyczna pobożność do Matki

Bożej (jako że my sami nie posiadamy wystarczających sił) pomagają właściwie realizować tę cnotę.

Czystość – nazywana w tradycji chrześcijańskiej dziewictwem – daje człowiekowi wielką zdolność miłowania; czyni go silnym i miłym w oczach Bożych. *Albowiem wolą Bożą jest wasze uświęcenie: powstrzymywanie się od rozpusty, aby każdy umiał utrzymać ciało własne w świętości i we czci, a nie w pożądliwej namiętności, jak to czynią nie znający Boga poganie (1 Tes 4,3-5).* Jeśli staramy się żyć w ten sposób, doświadczymy prawdziwości owej obietnicy Pana: *Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą (Mt 5,8).*

## Pokora

Tym razem to św. Marek przekazał nam piękną scenę rozmowy Chrystusa z uczniami: *Tak przyszli do Kafarnaum. Gdy był w domu, zapytał ich: „O czym to rozprawialiście w drodze?” Lecz oni milczeli, w drodze bowiem posprzeczali się między sobą o to, kto z nich jest największy (Mk 9,33-34).* Już od jakiegoś czasu przebywali z Jezusem, widzieli Jego cuda, słuchali Jego stów, mimo to dochodzi wśród nich do tej dyskusji. Z pewnością któryś z nich dał do zrozumienia, że to właśnie on posiada prawo do przewodzenia pozostałym, a ci, obrażeni, zanegowali to. Wówczas Jezus, chcąc udzielić im lekcji, postawił im za przykład dziecko: *Zaprawdę, powiadam wam: Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego. Kto się więc unieży jak to dziecko, ten jest największy w królestwie niebieskim (Mt 18,3-4).*

Jak dobrze rozumiemy to, co przydarzyło się apostołom! Jakże ludzkimi są ambicja i egoizm! I zawsze ich skutkiem są te same następstwa: rozłamy, kłótnie, urazy... Tak, jak to podsumowuje Księga Przysłów: *skutkiem pychy stale są kłótnie (13,10).*

Pycha jest źródłem wszystkich nieszczęść ludzkich. Jest to wada, która przynosi najwięcej szkody każdemu człowiekowi i społeczeństwu. Polega na nieuporządkowanej miłości samego siebie i, jak to określił św. Tomasz z Akwinu, na *nieuporządkowanej miłości własnego wywyższenia (S. Th., 2-2, q. 162, a. 2, c).* Jest to rozmiłowanie, bez umiaru, w sobie.

Mamy tu do czynienia z miłością nieuporządkowaną i nieumiarkowaną, ponieważ dochodzi do tego, że człowiek kocha

samego siebie bardziej niż jest tego wart i uważa się za lepszego i zasługującego na większy szacunek niż w rzeczywistości jest go godny. Dlatego u źródeł pychy – w jej istocie – leży błąd, fałszywa miara, kłamstwo o sobie samym, którym każdy oszukuje samego siebie, a które ze swej natury rośnie, zaciemniając zdolność poznania.

Wszyscy z uwagą śledzimy nasze zalety, pomijając nasze wady. Jeśli nie będziemy uważni, obraz nas samych niezastużenie upiększy się i zaczniemy uważać samych siebie za coraz godniejszych naszej własnej miłości. Będziemy przeceniać siebie i popadać w dumę z powodu naszych przymiotów fizycznych, naszej inteligencji, wiedzy, doświadczenia, naszych poczynań, wyświadczonych przysług, a nawet naszej pobożności. W miarę jak będzie wzrastać zamięłowanie do myślenia o nas samych i o tym, co robimy, będziemy wyolbrzymiać nasze zdolności, podczas gdy towarzyszące im słabości i ograniczenia pójdą w zapomnienie. Ten, kto wyświadczyl jakąś przysługę, zapomni być może o niedoskonałościach, jakie towarzyszyły jej wykonaniu. A ten, kto uważa się za inteligentnego, będzie dążył do usprawiedliwienia, a nawet nieprzyznawania się do swoich błędów teoretycznych czy luk w wiedzy.

W ten oto sposób rośnie ocena, jaką posiada każdy o sobie samym. Zły nawyk podkreślania tego, co dobre i pomijania milczeniem tego, co złe – oszustwo o sobie samym – staje się tak mocne, że w końcu może doprowadzić do zatracenia krytycyzmu i do ośmieszenia się. W społeczności ludzkiej zawsze okazuje się śmieszna osoba nadmiernie dumna z siebie, która ostentacyjnie obnosi się ze swoim wzrostem, pięknem oczu, ceną ubrania, swoją wiedzą... My, ludzie, źle znosimy próżność bliźniego i mamy tendencję do jej wyszydzania.

Ten, kto posiada dobre mniemanie o sobie samym, dąży ku temu, aby i inni je podzielali. Nie zadowala się kontemplowaniem i samozadowoleniem, lecz pragnie, aby i inni oddawali

część jego doskonałości. Tu swój początek bierze próżność, owa śmieszna gorliwość w ukazywaniu tego, co każdy uważa za najcenniejsze w sobie samym. Człowiek pyszny daje się porwać pragnieniu odróżniania się w czymkolwiek i niekiedy dochodzi aż do hipokryzji, dając do zrozumienia, że jest bogatszy, mądrzejszy, sprytniejszy lub bardziej wysportowany niż w rzeczywistości. Czyni to tak skutecznie, że w końcu sam hipokryta ma trudność w odróżnieniu rzeczy prawdziwych od zmyślonych.

Miłość własna skłania do koncentrowania życia na sobie samym, a co najmniej jest stałym źródłem lekceważenia innych. Ten, kto jest pyszny, nie pamięta o istnieniu innych, ponieważ skupił się na własnych sprawach. Całą swoją energię zużywa na zaspokajanie własnych ambicji czy zachcianek, a to czyni go pysznym – z egoisty przemienia się w osobę antyspołeczną.

Jeśli znajduje się w towarzystwie innych, stara się mówić o sobie samym – przytaczając opowieści o własnych chorobach lub snach, gdy nie znajduje niczego ciekawszego – starając się przyciągnąć uwagę innych. Niekiedy prowokuje to nawet w sposób sztuczny. Skłonny jest do surowego oceniania innych, a we wszystkich stwierdzeniach na ich temat zawarte są domyślne porównania z samym sobą. Stąd też ma zwyczaj być bardzo krytycznym wobec tych, którzy w jakiś sposób go przewyższają, a pogardliwym i okrutnym dla tych, których uważa za gorszych. Te porównania są także początkiem zazdrości, której zawsze towarzyszą niepokoje, niewielkie urazy, a niekiedy groteskowa podłość polegająca na usiłowaniu przewyższenia mających nad nim przewagę lub umniejszaniu ich zasług.

Ten, kto ma się za kogoś wielkiego, jest bardzo wrażliwy na osady ze strony innych: zebrze o pochlebstwa (które uważa zawsze za zasłużone) i nie darowuje krytyk. Wszystko jest powodem zniewag lub krzywd. Taki stosunek do świata ma swoje źródło w pewnego rodzaju nadwrażliwości na punkcie swojej osoby, powstaje spirala powikłań, wzrastająca niepohamowanie. Ciągłe

pragnie, aby poświęcano mu uwagę, którą uznaje za coś zasłużonego, a to, co odbiera jako brak poszanowania dla jego osoby, daje miejsce zniewagom, które trudno potem wymazać z pamięci. Jeśli traci wówczas zaufanie do otaczających go osób, wszystko może być powodem do obrazy: jeśli się nim nie zajmują, będzie się skarżył na zaniedbanie go, a jeśli się nim zajmują, będzie mu się wydawało, że jest to obłuda lub szyderstwo. Daje to początek niezliczonym żalom i nienawiści, które czynią posępnym życie człowieka pysznego i uniemożliwiają współzycie z nim.

Człowiek, który bardzo kocha siebie samego, jest szczególnie czuły na uwagi o jego poglądach. Twierdzi, że posiadał prawdę i nie toleruje sprzeciwów. Dąży do zajmowania skrajnych stanowisk tylko dlatego, aby mieć satysfakcję z bycia odmiennym. I broni swoich opinii z tak wymuszonym przekonaniem, że praktycznie jest niemożliwe sprzeciwić się mu i sprawić, aby zmienił swoje zdanie. Ten defekt powoduje często nieporozumienia w życiu naukowym i akademickim, jako że pozbawia giętkości niezbędnej do zaakceptowania opinii innych i poprawienia własnych błędów. Czasami dochodzi do prawdziwych dyktatur intelektualnych, mających nade wszystko fundament w pysze jakiegoś wybitnego umysłu, który podobnie jak inne nie jest wolny od błędu. Pycha jest najbardziej charakterystycznym grzechem ducha i dlatego znajduje podatny grunt w osobach bardzo zdolnych. Te zaś najłatwiej weń popadają ze względu na swoje dobre cechy, zapominając o swoich słabościach.

Charakterystyczna dla pychy jest tendencja do podporządkowywania sobie innych i jednocześnie trudności wynikające z konieczności ustępowania im. Człowiek pyszny usiłuje narzucić swoją wolę, sam zaś wzbrania się być posłusznym. Wiele kosztuje go podporządkowanie się normom i czynienie tego, co czynią wszyscy. Jeśli nie może rozkazywać, to przynajmniej chce się czymś wyróżniać. Dlatego też przyjmuje często postawę surowego krytycyzmu wobec przełożonych. A kiedy zajmuje ważne sta-



nowisko, albo też uważa się za obdarzonego jakąś władzą przez wzgląd na dawne zasługi, wówczas owa skłonność do wyróżniania i sprzeciwiania się jeszcze się zaostrza. Jak mawiała św. Teresa, są to punkty sławy i wywyższenia (zasługi nabyte): *Nad wszelkimi poruszeniami wewnętrznymi bacznie czuwajmy, szczególnie jeśli one się obracają około jakiegoś wywyższenia siebie. Niech nas Pan, przez zasługi Męki swojej, raczy obronić od tego, byśmy kiedy świadomie i rozmyślnie mówiły sobie, w sercu czy usty: „ja mam więcej lat powołania”, „jestem starsza”, „więcej pracowałam”, „tę lub ową więcej szanują niż mnie”. Takie pierwsze poruszenia potrzeba nam natychmiast w sobie stłumić; bo gdybyśmy się przy nich zatrzymały albo przed drugimi z takimi rzeczami się odzywały, istną siałabyśmy zarazę i stałybyśmy się przyczyną wielkich spustoszeń* (Droga doskonałości, 12, 4, w: Św. Teresa od Jezusa, Dzieła, t. II, Kraków 1986, s. 62).

Bez wątplenia jest to grzech najcięższy, ponieważ czyni najwięcej szkody. Deprawuje bowiem głęboko zdolność człowieka do kontaktowania się z innymi i z Bogiem, ta zaś jest najwyższą zdolnością ducha. Duch bowiem wzrasta w miarę, jak udziela się w przyjaźni i w miłości; w miarę, jak wychodzi z siebie samego, aby dać się innym. Pycha natomiast skłania do postawy egocentrycznej i powoduje zamknięcie się w sobie samym. Traci się umiejętność służenia, a dusza pomniejsza się do wymiarówznaczonych przez wąskie horyzonty egoistycznych aspiracji.

Człowiek pyszny uważa się za samowystarczalnego i nie w smak mu prosić o cokolwiek, ani uznawać nad sobą czyjąś wyższość. Dlatego pycha jest wadą najbardziej przeciwstawną do normalnych relacji człowieka z Bogiem. *Początkiem pychy człowieka jest odstępstwo od Pana, gdy odstąpił sercem od swego Stworzyciela* (Syr 10,12). Człowiek, który nie jest gotów przyznać się do swoich słabości, a przez to i do potrzeby pomocy, z ogromną trudnością odnajduje Boga. W jego życiu nie ma dla Niego miejsca, ponieważ uwagę i miłość należną Bogu skierowuje ku

sobie samemu i jest przekonany, że dary otrzymane od Boga są jego własnością.

Bóg jest bardzo czuły na ludzką pychę: *Nie znoszę dumy, złych dróg, wyniosłości ust przewrotnych* (Prz 8,13), zna bowiem spustoszenie, które czyni w ludzkim sercu. Natomiast skłania się z miłością ku pokornemu: *Bóg bowiem pysznym się sprzeciwia, a pokornym łaskę daje* (1 P 5,5).

Jeśli pycha jest najgorszą wadą ludzką, to cecha jej przeciwna – pokora – służy za fundament wszystkich zalet. I podczas gdy pycha bierze początek z wewnętrznego zakłamania na temat samego siebie, pokora opiera się na prawdzie o sobie samym: *Zastanawiałam się któregoś dnia nad pytaniem – opowiada św. Teresa – dlaczego Pan tak bardzo kocha cnotę pokory, i nagle – bez własnego, jak mnie się zdaje, namysłu mego – stanęła mi przed oczyma ta racja, że Bóg jest Prawdą najwyższą, a pokora niczym innym nie jest, jeno chodzeniem w prawdzie* (Twierdza wewnętrzna, 6,10, w: Św. Teresa od Jezusa, op. cit., t. II, s. 404).

Najgłębszą zaś prawdę o człowieku można dojrzeć w świetle Boga. Wtedy to, oceniając miarą Bożej miłości, poznajemy, że to, co jest w nas dobre, pochodzi od Boga, natomiast nasze słabości są owocem grzechów. Ten, kto nauczy się poznawać w świetle Boga, nie będzie przeceniał swojej osoby: *Poznanie samego siebie prowadzi nas jakby za rękę do pokory*, czytamy w „Drodze” (n. 609).

Człowiek pokorny uznaje zarówno to, co jest w nim dobre, jak i złe, oceniając jedno i drugie zgodnie z prawdą. Jest świadomy swoich zdolności i darów, i dziękuje za nie Bogu. Doświadcza głęboko prawdy owych słów św. Pawła: *Cóż masz, czego byś nie otrzymał? A jeśliś otrzymał, to czemu się chęłpisz, tak jakbyś nie otrzymał* (1 Kor 4,7). A bycie świadomym darów Bożych – otrzymanych talentów – prowadzi nie do chęłpienia się nimi, lecz do poczucia odpowiedzialności za to, by wydały odpowiednie owoce. W ten sposób święci są świadomi posiadania licznych i wiel-

kich darów Bożych, lecz nie stanowi to dla nich powodu do pysznienia się, a dziękowania za nie Bogu. Ich pokora podpowiada im, że być może inni odpowiedzieliby na nie o wiele lepiej i wydaliby obfitsze owoce.

Skutki pokory są przeciwnością tego, co wywołuje pycha. Pokora prowadzi bowiem do skupienia uwagi na innych zamiast na sobie. Dla tego, kto jest pokorny, wszelkie pochwały wypowiedane pod jego adresem stają się krępujące, jako że czuje, iż są one niezasłużone i przeciwstawia im popełnione w swoim życiu błędy: *Jezu mój: im bardziej mnie chwala, tym bardziej upokorz mnie w moim sercu, dając mi poznać, jakim byłem i jakim będę, jeśli Ty mnie opuścisz* (Droga, n. 591). Nie czuje się godnym żadnej specjalnej zapłaty za spełnienie swoich obowiązków, przeżywając w ten sposób zalecenie Chrystusa: *Tak mówcie i wy, gdy uczynicie wszystko, co wam polecono: „Studzy nieużyteczni jesteśmy: wykonaliśmy to, co powinniśmy wykonać”* (Łk 17,10). Czuje, że bardziej zasługuje na wyrzuty niż na pochlebstwa: *Kiedy ujrzysz się takim, jakim jesteś, powinno wydawać ci się czymś naturalnym to, że będą cię lekceważyć* (Droga, n. 593).

Nie ulegając zaślepieniu przez własną wspaniałość, a raczej uznając się bardzo niedoskonałym, łatwiej można docenić zalety innych i od nich się uczyć: *Człowiek prawdziwie pokorny – powiada św. Teresa – wątpi we własne zalety i zazwyczaj wydają się mu pewniejsze i wartościowsze te, które widzi w swoim bliźnim* (Droga doskonałości, 38,9, w: op. cit., t. II, s. 197). A w innym miejscu dodaje: *Starajmy się zawsze zauważać zalety i przymioty w innych, a na ich braki patrzmy przez nasze ciężkie grzechy. Ten sposób postępowania, jakkolwiek nie doprowadzony do perfekcji, pozwala nam nabyć wielką zaletę, która polega na uznawaniu innych za lepszych od nas i staje się początkiem zdobywania zasług u Boga* (Księga życia, 13,6).

Taka postawa daje człowiekowi pokornemu łatwość w obcowaniu z ludźmi i zamiast być wiecznym zarzewiem niezgody, jak

to bywa w przypadku człowieka pysznego, staje się źródłem pogody ducha, zrozumienia, pokoju. Niczego nie pragnąc dla niewłaściwego współzawodnictwa ani dla próżnej chwały – radzi św. Paweł – lecz w pokorze oceniając jedni drugich za wyżej stojących od siebie. Niech każdy ma na oku nie tylko swoje własne sprawy, ale też i drugih! (Flp 2,3-4).

Charakterystyczna dla pokory jest umiejętność słuchania, nie-narzucania własnych opinii, a także bycia giętkim, ułatwiająca naprawianie własnych błędów, jeśli się takie popełniło. Człowiek pokorny ze spokojem stwierdza, że popełnia je sam i że inni je popełniają. Pokora zmierza ku wyrozumiałości i przebaczeniu błędów, popełnianych przez innych, i ku zwyczajnemu uznaniu własnych. W ten sposób unika się wszystkiego, co pozorne i kłamliwe, a dąży się do przedstawienia rzeczywistości taką, jaka jest naprawdę.

Zdobywanie pokory jest związane ze stopniowym, coraz dokładniejszym poznawaniem samego siebie; z umiejętnością podporządkowania własnego sądu i posłuszeństwem; z przestrzeganiem wymagań stawianych wszystkim, bez czynienia siebie wyjątkiem; z radosnym przyjmowaniem upokorzeń, nawet tych niesprawiedliwych, represji, obelg; z właściwą oceną zalet i zdolności innych. Postawa przepelniona pokorą nie uznaje za niestosowne obarczenia się pracą mniejszej rangi czy stanowiskiem mniej wyeksponowanym; człowiek nabiera głębokiego przekonania, że bez Boga nie może uczynić nawet jednego kroku (*beze Mnie nic nie możecie uczynić*, J 15,5).

Istnieje także pewien stopień pokory, będący darem, który Bóg daje temu, komu chce i o który powinniśmy prosić: *Tu jedna tylko pokora może coś zdziałać* – mówi św. Teresa – *i to pokora nie długimi rozmyślaniami nabyta, ale taka, która oświeca światłością z ogniska samejże Prawdy wynikającą, która zatem w jednej chwili widzi i poznaje (...), jak dalece człowiek jest niczym, a jak nieskończenie Bóg jest wszystkim* (Droga doskonałości, 32,13, w: op. cit.,

t. II, s. 163-164). Ten stopień pokory osiąga dusza, która przeczuwa bliskość Boga i wobec takiego cudu świętości i piękna czuje się niczym. Jest to reakcja, jaką możemy obserwować u wielkich proroków, kiedy doświadczali widzenia Boga. Izajasz, słysząc głos serafinów wołających: *Święty, Święty, Święty*, wykrzyknął: *Biada mi! Jestem zgubiony! Wszak jestem mężem o nieczystych wargach i mieszkam pośród ludu o nieczystych wargach* (Iz 6,5). Tak głęboka jest też pokora Najświętszej Maryi Panny, wyrażona w *Magnificat*. „*Wielbi dusza moja Pana, i raduje się duch mój w Bogu, moim Zbawcy. Bo wejrzał na uniżenie Służebnicy swojej*” (Łk 1,46-48).

Siłą napędową chrześcijańskiej pokory – jak też i całej asceptyki – jest miłość do Boga. *Tylko ten, kto kocha naprawdę* – mówi św. Grzegorz – *nie pamięta o sobie samym* (Hom. 38 super Ev.). A św. Augustyn napisze te słynne zdania, które mogą być podsumowaniem wszystkiego, o czym mówiliśmy: *Więc panowały dwa państwa: miłość własna, posunięta aż do pogardy Boga, powołała państwo ziemskie; miłość Boga zaś, posunięta aż do pogardzania sobą, powołała państwo niebiańskie. Pierwsze szuka chwały w sobie, drugie w Panu. Tamto w osobach władców swych (...) opanowane jest przez żądzę panowania, w tym wszyscy służą sobie w miłości wzajemnej* (O państwie Bożym, 14, 28, Warszawa 1977. s. 162-163).

## Prostota

Jedną z najpiękniejszych pochwał, jakie wyszły z ust Jezusa, znajdujemy w Ewangelii św. Jana: *Jezus ujrzał, jak Natanael zbliżał się do Niego, i powiedział o nim: „Patrz, to prawdziwy Izraelita, w którym nie ma podstępu”* (J 1,47). Od tej pory postać Natanaela (którego najprawdopodobniej trzeba utożsamiać ze św. Bartłomiejem) staje się jedną z najsympatyczniejszych postaci Ewangelii.

W Natanaelu *nie było podstępu*. To znaczy, że przewycięzył ową naturalną skłonność do bronienia się przed innymi, ukrywając własne zamiary, sposób bycia lub ułomności. W jego postępowaniu i w jego słowach można było odczytać to, co myślał, i jakim był. I to właśnie nadawało mu swoisty urok.

Prostota jest wartością, która ozdabia człowieka. Natomiast podstęp, zawilość, obłuda czynią go niemiłym. Niewątpliwie mamy skłonność do skrywania naszej intymności, pokazując starannie wystudiowaną fasadę, która nie zawsze zgadza się z naszym wnętrzem. Człowiek ma skłonność do ukrywania się, być może dlatego, że przeczuwa, iż niebezpieczne jest pokazywanie się takim, jakim się jest naprawdę; albo z bojaźni przed drwinami; albo i dlatego, że przekonany jest o posiadaniu przewagi wówczas, gdy inni nie będą znać jego prawdziwych reakcji. Niekiedy spowodowane jest to także przez pychę lub próżność, ponieważ pragnie, aby uważano go za lepszego, niż jest w rzeczywistości. Innym razem to wynik przebiegłości, ponieważ człowiek chce postępować tak, aby nie zostały odkryte jego prawdziwe zamiary.

Bywa też, że mamy do czynienia z zachowaniem chorobliwym. Jakie by nie były tego przyczyny, trzeba przewyciężyć tę tendencję, jako że czyni ona człowieka skomplikowanym i separuje go od innych, jak i od Boga. Bardzo trudno kochać osoby o niewyraźnej intencjonalności, bo nigdy nie wiadomo, czego pragnie ich serce.

Ci, którzy pozwalają się porwać tej skłonności, czynią ze swojego życia komedię. Nie działają w zgodzie z sobą samym, lecz według kryteriów otoczenia. Wytwarzają pewien obraz i żyją ukryci za nim. Daje to miejsce wykrzywionym osobowościom, które starają się myśleć według pewnej strategii: oceniając, jak będą odbierane ich działania, oraz studiując przez długi czas, jak przebiegły i jak zostały ocenione te, które już miały miejsce. Stają się przez to nienaturalne i nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Za każdym razem coraz bardziej oddalają się od prawdy i odczuwają niechęć do pokazania się takimi, jakimi są naprawdę.

Najbardziej wyraźnym przejawem skrajności tej właśnie postawy jest faryzeizm. Jeśli Natanael zasługuje na najlepszą pochwałę od Jezusa, to postawa hipokryty zasługuje na najostrzejsze oskarżenie, jakie wyszło z Jego ust. Chrystus uskarża się na tak powszechną obłudę: *Czyńcie więc i zachowujcie wszystko, co wam polecą, lecz uczynków ich nie naśladowcie. Mówią bowiem, ale sami nie czynią. Wiążą ciężary wielkie i nie do uniesienia i kładą je ludziom na ramiona, lecz sami palcem ruszyć ich nie chcą. Wszystkie swe uczynki spełniają w tym celu, żeby się ludziom pokazać (Mt 23,3-5). Narzeka na ich wybiegi, którymi według swych zachcianek zmieniają Prawo, i na ich nieuczciwość: *Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy! Bo dbacie o czystość zewnętrznej strony kubka i misy, a wewnątrz pełne są zdzierstwa i niepowściągliwości (Mt 23,25). Wytyka im ich obłudę i zapal w udawaniu: *Biada wam, uczeni w Piśmie i faryzeusze obłudnicy! Bo podobni jesteście do grobów pobielanych, które z zewnątrz wyglądają pięknie, lecz wewnątrz pełne są kości trupich i wszelkiego plugastwa. Tak i wy z zewnątrz wydajecie się ludziom***

sprawiedliwi, lecz wewnątrz pełni jesteście obłudy i nieprawości (Mt 23,27-28).

Pozycja owych ludzi była bardzo wysoka, jako że byli tymi, którzy zajmowali się głoszeniem słowa Bożego innym. Dlatego też wyrzut Jezusa jest tak surowy: *Biada wam, uczonym w Prawie, bo wzięliście klucze poznania; samiście nie weszli, a przeszkodziliście tym, którzy wejść chcieli* (Łk 11,52). Ta wada była zawsze dokuczliwa w oczach Boga i ludzi.

Chrystus objawia nam, jakie ma być kryterium naszego postępowania: *Strzeżcie się kwasu, to znaczy obłudy faryzeuszów. Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie wyszło na jaw, ani nic tajemnego, co by się nie stało wiadome. Dlatego wszystko, co powiedzieliście w mroku, w świetle będzie słyszane, a coście w izbie szeptali do ucha, głosić będą na dachach* (Łk 12,1-3). To znaczy, że trzeba zawsze postępować tak, jakby nasze czyny były widziane przez wszystkich.

Takie jest właśnie to kryterium: obywać się bez masek i udawania, a zaakceptować swoje położenie przed Bogiem i ludźmi, pamiętając, że nie jesteśmy ani gorsi, ani lepsi od innych i że możemy żyć pośród innych bez konieczności udawania czegokolwiek. Jeśli staramy się żyć uczciwie, nie będziemy musieli uciekać się do kamuflowania swoich myśli i czynów, pokazując się takimi, jakimi w rzeczywistości jesteśmy. Ten, kto decyduje się żyć w ten sposób, doskonale rozumie słowa Chrystusa: *prawda was wyzwoli* (J 8,32). Życie w prawdzie daje bowiem wspaniałą wolność ducha. Nie ma już zastanawiania się nad tym, co może się spodobać innym, a co nie, i żyje się naturalnie, bez zniewolenia i udręk, do czego prowadzi ciągle zważanie na to, co inni powiedzą.

Człowiek prosty to ten, kto mówi to, co myśli, czyni to, co myśli, postępuje w zgodzie z tym kim jest i wie, jakim jest. Nie oznacza to jednak, że mamy być tak prostodusznymi, żeby każdemu opowiadać o tym, co należy do sfery naszej intymności. Oznacza



natomiast, że nie powinniśmy obawiać się tego, że ci, którzy z nami przebywają, poznają nas takimi, jakimi jesteśmy: niech wiedzą, co myślimy, co się nam podoba, a co nie, niech znają najważniejsze wydarzenia naszego życia, nasze oddanie.

Jednym z głównych przejawów prostoty jest szczerość, zaliczana również do cnót: zwyczaj mówienia prawdy w sposób ukazujący to, co naprawdę myślimy. *Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie. A co nadto jest, od Złego pochodzi* (Mt 5,37). Szczerość musi być naszą normą we wszelkich kontaktach z ludźmi. Odpowiadajmy zawsze zgodnie z prawdą, bez dodawania fałszywych stwierdzeń. Jedynie w przypadku, kiedy ten, kto pyta, nie ma prawa do otrzymania odpowiedzi, nie udzielajmy mu jej albo dajmy mu odpowiedź wymijającą, gdyż nie musimy wcale zaspokajać wścibstwa ciekawskich. Zazwyczaj jednak nie powinniśmy ukrywać prawdy, nawet wówczas, kiedy nam szkodzi (jakkolwiek wcale nie musimy się bez powodu oczerniać). W tej kwestii trzeba być wobec siebie niezmiernie wymagającym: *Nie bójcie się prawdy – czytamy w „Drodze” – jeśli nawet spowodowałaby ona śmierć* (n. 34).

W sposób szczególny obowiązuje nas szczerość wobec osób bliskich: naszej rodziny i przyjaciół. Stanowi ona nieodłączną część wzajemnego porozumiewania się, która jest konieczna dla podtrzymania tych związków. Osoby, które nas kochają, mają prawo znać stan naszego ducha, zmienne koleje naszego życia, wydarzenia nas dotyczące, nasze radości i smutki. Tylko w niektórych przypadkach, powodowani roztropnością, winniśmy tego unikać, np. jeśli kogoś bardzo zasmucimy albo jeśli osoba, która nas słucha, nie jest w stanie zrozumieć tego, co się dzieje. Oczywiście są takie sfery naszej intymności, w które nikogo nie musimy wtajemniczać. Niewłaściwym byłoby, np. przekazywanie rodzinie lub przyjaciołom tajemnic zawodowych: nie byłaby to już szczerość, lecz nieroztropność i brak powściągliwości w słowach. Lecz poza tymi przypadkami ci, którzy nas kochają, powinni poznać nas dobrze.

Innym terenem, bardzo ważnym, na którym winniśmy praktykować szczerość, jest relacja z naszym kierownikiem duchowym lub stałym spowiednikiem, jeśli go posiadamy. Kierownictwo duchowe oparte jest bowiem na wzajemnym zaufaniu. Ten, kto kieruje, zobowiązuje się do poświęcenia uwagi i udzielenia pomocy kierowanemu, który ze swej strony winien z prostotą przedstawić to, co przeżywa. Jeśli przez wstyd fałszuje się prawdę, relacja ta ulega wypaczeniu i lepiej ją zakończyć. Albo ma się zaufanie i wówczas należy przewartościować wstyd przed mówieniem o wydarzeniach nieprzynoszących chwały; albo też brak tego zaufania i wtedy lepiej jest przerwać tę relację. Czymś absurdalnym jest bowiem w tej sytuacji udawanie. Skutek takiego postępowania można porównać z odwiedzinami u krawca: podczas gdy ten pobiera miarę, klient staje na palcach, aby wyglądać na wyższego, napina pierś, aby wydawać się silniejszym, i wciąga brzuch, aby sprawiać wrażenie szczuplejszego. W rezultacie jedynym poszkodowanym jest sam klient, który w nowym ubraniu wygląda dziwnie.

Innym przymiotem szczerości jest naturalność. Chodzi w tym przypadku o postępowanie zgodne z tym, kim się jest, i ze swoim sposobem myślenia, bez odgrywania komedii. Jeśli jestem przekonany, że mam iść, idę; i jeśli uważam, że powinienem wrócić, wracam; kiedy chcę się śmiać, śmieję się, a kiedy płakać, płaczę. Czasami miłość bliźniego wymaga powstrzymania trochę naszego zachowania, np. uśmiechu. Innym razem obyczaje społeczne – grzeczność, kurtuazja – doprowadzają do lekkiego udawania: np. do nieokazywania znudzenia wobec rozmówcy, czy też zniecierpliwienia podczas przedłużającego się wystąpienia itp. Lecz poza powinnościami, wypływającymi z miłości bliźniego czy grzeczności, trzeba unikać tego, by środowisko wpływało na zmianę naszego naturalnego zachowania. Nie musimy się wcale niczego wstydzić ani czuć niewygodnie w żadnym towarzystwie. Jedyne, co powinno powodować nasze zawstydzenie przed Bogiem, a niekiedy i przed ludźmi, są nasze grzechy. Nic poza tym.

Powinniśmy czuć się obywatelami świata, którzy nie proszą nikogo – poza Bogiem – o pozwolenie bycia takimi, jakimi są. Bez obrażania kogokolwiek trzeba stąpać pewnie po tej ziemi, która jest także naszą, jako że Bóg dał ją wszystkim ludziom.

Powinniśmy unikać poczucia wstydu z tych powodów, które grzechem nie są. Człowiek nie powinien wstydzić się, np. tego, że jego ojciec pochodzi z niższych warstw społecznych czy wykonuje prosty zawód. Nie powinien zawstydząć nas również kolor naszej skóry ani nasza rasa, pochodzenie, ułomności fizyczne – choroby, jąkanie się, wady itd. – ani defekty fizyczne czy wady naszych krewnych lub przyjaciół. To samo dotyczy naszych opinii, wierzeń, zwyczajów, naszej pracy. Jeśli nie obrażają Boga, nie powinny nas zawstydząć. Powinniśmy także hamować skłonność do ich ukrywania. Być może będzie roztropnym niewyjawianie ich we wszystkich środowiskach, lecz winniśmy unikać zakłopotania z ich powodu, gdyż popełnialibyśmy niesprawiedliwość wobec tych rzeczywistości, które same w sobie nie są złe, a wręcz przeciwnie: szlachetne.

We wszystkich uwarunkowaniach trzeba być wiernym więziom będącym konsekwencją pochodzenia lub wolnych wyborów: z naszą rodziną, kulturą, ojczyzną, rasą, naszymi przyjaciółmi i naszą wiarą. Nie możemy dopuścić, aby życie w innym środowisku sprawiło, by więzi te osłabły. Nie można jednak nie uznać ogromnej wagi, jakiej w naszym postępowaniu mogą nabrać względy ludzkie. „Co powiedzą” jest prawdziwym tyranem, który warunkuje nasze zachowanie, niekiedy o wiele bardziej, niż to sobie wyobrażamy. Także i tutaj trzeba walczyć o całkowitą niezależność, nie pozwolić zatrzaskać się w dyby, których nie szukaliśmy ani też nie pragnęliśmy.

„Co powiedzą” ma wielki wpływ na człowieka, zwłaszcza młodego. Wtedy gdy człowiek dojrzewa, często, poszukując kierunku swojego postępowania, ma tendencję do porównywania się z otoczeniem. Wszelkie krytyki, bezpośrednie lub pośrednie, wy-

rzządzają mu wówczas wielką szkodę. Nawet jeden sarkastyczny uśmiech jest w stanie złamać konkretny aspekt osobowości młodego człowieka, czy też spowodować pogardę i odrzucenie jakiejś części samego siebie.

Człowiek prosty musi przyzwycząić się do bycia konsekwentnym w tym, kim jest i co myśli, niezależnie od sytuacji czy środowiska. Bardzo ważne jest to w przypadku wiary. Jezus – świadomy tego, jak bardzo wpływają na nas ludzkie względy – przedstawił to bardzo klarownie: *Kto się bowiem Mnie i słów moich zawstydzi, tego Syn Człowieczy wstydzić się będzie, gdy przyjdzie w swojej chwale* (Łk 9,26). A następnie dodał: *Kto się przyzna do Mnie wobec ludzi, przyzna się i Syn Człowieczy do niego wobec aniołów Bożych; a kto się Mnie wyprze wobec ludzi, tego wyprę się i Ja wobec aniołów Bożych* (Łk 12,8-9).

Niekiedy może to oznaczać stosowanie przymusu wobec samego siebie, zanim nie przyzwyczaimy się do nie zważania na ludzkie względy. To także jest cnotą i wymaga pewnej zaprawy (treningu). W środowisku niechrześcijańskim, chrześcijanin powinien umieć zachowywać się z godnością; trzeba, np. umieć przyzwycząić własnych przyjaciół lub kolegów z pracy do respektowania naszych przekonań. Jasna postawa od samego początku niezwykle upraszcza sprawę, chociaż w pierwszym momencie może wzbudzić zdziwienie: *Twoje życie zderzy się z tym, jakie oni prowadzą* (Założyciel Opus Dei ma na myśli środowisko zdechrystianizowane); a ten kontrast, *potwierdzony twoimi czynami wynikającymi z wiary, jest właśnie tą naturalnością, o którą cię proszę* (Droga, n. 380). Nie powinno się natomiast poszukiwać rozwiązań kompromisowych, w których ustępuje się tak bardzo, że potem nigdy nie będzie już możliwe odrobienie utraconej miary.

Nasi przyjaciele i nasi koledzy z pracy powinni wiedzieć, że staramy się wypełniać nasze obowiązki wynikające z wiary (np. uczestnictwo w niedzielnej Mszy św.) i że usiłujemy dostosować nasze postępowanie do wymagań moralności chrześcijańskiej.

Jeśli od początku potrafimy czynić to z humorem i jednocześnie stanowczo, przyjdzie nam to łatwiej. A jeśli spostrzeżemy, że to niemożliwe, to być może jest to okazja do zrozumienia, że trzeba zmienić przyjaciół albo szukać nowej pracy. Niewątpliwie będzie to skrajny przypadek, ponieważ każdy chrześcijanin otrzymuje wystarczająco łaski Bożej, aby żyć zgodnie ze swoją wiarą w środowisku, w którym się porusza, a także by uczynić to środowisko chrześcijańskim: *Dziecko Boże – właśnie ty! – nie powinno się lękać życia w środowisku – zawodowym, społecznym... które jest mu właściwe, bowiem ono nigdy nie jest samo! – Bóg, Pan nasz, który zawsze ci towarzyszy, udzieli ci środków, byś był Mu wierny i byś innych prowadził do Niego* (Kuźnia, n. 224).

Jak już wspomnieliśmy, przewyciężenie względów ludzkich daje człowiekowi wolność ducha i możliwość życia zgodnie z jego sposobem myślenia i odczuwania, bez nakładania masek, oraz przepelnia całe postępowanie godnymi pozazdroszczenia przejrzyistością i blaskiem. Ponadto jest jednym z najwdzięczniejszych przejawów mocy, jaką posiada życie duchowe, zdolne do przeobrażenia życia i uczynienia go cudownie ludzkim, a jednocześnie Bożym. Nie na darmo twierdzi się, że prostota jest solą doskonałości.

## Radość

*Wykrzykujcie na cześć Pana, wszystkie ziemie;  
służcie Panu z weselem!  
Wśród okrzyków radości stawajcie przed Nim!  
Wiedźcie, że Pan jest Bogiem:  
On sam nas stworzył, my Jego własnością,  
jesteśmy Jego ludem, owcami Jego pastwiska.  
Wstępujcie w Jego bramy wśród dziękczynienia,  
wśród hymnów w Jego przedsionki:  
chwalcie Go i błogosławcie Jego imię.  
Albowiem dobry jest Pan,  
łaskawość Jego trwa na wieki,  
a wierność Jego przez pokolenia.*

Tymi argumentami zaprasza nas Psalm 100 do radowania się w Panu. Tę radość wywołuje bliskość Boga i świadomość, że kocha nas w sposób nieodwołalny.

Radość jest naturalnym poruszeniem duszy, świadomej posiadanych dóbr. Od tego, jakie będą te dobra, zależy rodzaj radości, jaką powoduje ich posiadanie. Może być więc radość pochodząca z zaspokojenia podstawowych potrzeb, takich jak jedzenie lub picie. Inna powstaje wówczas, kiedy otrzymujemy lub zdobywamy jakieś dobra materialne: dom, samochód, zapłatę za pracę, podwyżkę pensji itd. Lecz żadna nie jest tak silna i tak wielka jak ta, którą daje miłość: świadomość bycia kochanym i rozumianym. Miłość jest największym dobrem, które czło-

wiek może posiadać. Dlatego też miłość jest dobrem dostarczającym najwięcej radości.

Wśród różnych miłości – tą najtrwalszą, najmocniejszą, najwierniejszą, najpotężniejszą jest miłość Boża. My, chrześcijanie, mamy świadomość, że Bóg nas kocha, że traktuje nas jak swoje dzieci. Stąd też radość jest tym naturalnym odcieniem życia chrześcijańskiego: *Radość jest nieuniknioną konsekwencją dziecięctwa Bożego, gdyż wiemy, iż nasz Ojciec – Bóg szczególnie nas kocha, przyjmuje nas, pomaga nam i wybacza* (Kuźnia, n. 332). *Jeśli czujemy się wybranymi dziećmi naszego Ojca Niebieskiego, bo nimi jesteśmy, jakże możemy nie być zawsze radośni? – Przemyśl to sobie* (Kuźnia, n. 266).

Mając świadomość Bożej obecności, niczym nie powinniśmy się przejmować. Wiemy, że przygotował dla nas inne życie, pełne szczęścia, a jeśli w obecnym napotykamy sytuacje przykre, to dlatego, że Bóg je dla nas przewidział, dostrzegając w nich jakieś dobro: *Wiemy też, że Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra, z tymi, którzy są powołani według [Jego] zamiaru* (Rz 8,28).

W praktyce życia chrześcijańskiego radość rodzi się spontanicznie. Cechą charakterystyczną dla tej cnoty, tzn. uczynienia z radości zwyczaju, jest nauczenie się ożywiania jej, kładzenie nacisku na to, co powoduje jej wzrost, i unikanie tego, co powoduje smutek. Radość jest bowiem nieodłączną towarzyszką chrześcijanina, pomaga mu kroczyć do Boga, przezwyciężając trudności i ciężar drogi, a także dodaje otuchy innym do podążania drogą, która czyni wszystkich szczęśliwymi. Dlatego też winniśmy ją nieustannie ożywiać. Szczęściem można się zarazić i jednocześnie nie można odrzucić tego przeogromnego pragnienia ludzkiego serca. Tam, gdzie szczęście jest autentyczne, Bóg jest blisko; tam bowiem gdzie jest Bóg, tam jest i radość.

Radość posiada także naturalną podstawę, którą powinniśmy rozwijać: jest nią optymizm. Chodzi o pewien sposób widzenia rzeczy, stający się z czasem przyzwyczajeniem, cnotą, a polegają-

cy na widzeniu pozytywnych stron wszystkiego. Nie chodzi o nie-dostrzeganie negatywnych stron ludzkiego życia. Chodzi o życie zgodne z decyzją – która w przypadku chrześcijanina inspirowana jest zaufaniem Bogu – że warto jest żyć radośnie.

Wobec powyższego zjawiska możliwe są, bez mijania się z prawdą, różne podejścia. Wystarczy w tym miejscu przytoczyć klasyczny już przykład w połowie napełnionej butelki. Pesymista będzie twierdził, że zmarnowano już pół butelki; natomiast optymista zauważy, że jeszcze pół butelki pozostało do wykorzystania. W gruncie rzeczy prawda jest ta sama, lecz sposób jej przeżywania odmienny. Dla jednego prawda jest powodem zgorzknienia, a dla drugiego – zadowolenia. Możliwy jest więc wybór między tymi dwoma sposobami widzenia świata. Człowiek Boży – wiedząc, że świat jest dobry i że Bóg kryje się za wydarzeniami naszego życia – powinien wybrać ten drugi. Bylibyśmy niewdzięcznikami wobec Boga, jeślibyśmy w naszym życiu odnajdywali jedynie powody do smutku i nie umieli być wdzięcznymi za wiele pięknych rzeczy, które nas otaczają.

Chrześcijanin powinien patrzeć na świat i na historię oczyma pełnymi radości. Być może, nigdy nie przyszło nam na myśl podziękować Bogu za piękno nieba, które widzimy każdego dnia, czy też firmamentu, który podziwiamy każdej nocy. Być może nigdy nie podziękowaliśmy za cudowności naszego życia i naszego ducha. Może też nigdy nie zwróciliśmy uwagi na tysiące przepięknych i sympatycznych szczegółów, które na co dzień nas otaczają. Być może jedynie w oglądanym filmie zachwyciliśmy się urzekającym zachodem słońca, małym, serdecznym gestem jakiegoś zwierzęcia, miłą ludzką reakcją, a nie zdajemy sobie sprawy, że to wszystko dzieje się każdego dnia wokół nas. Jeśli tak jest, może być to znakiem, że nasze spojrzenie jest zbyt zaślepienne, i dlatego nasze otoczenie wydaje się nam zawsze oschłe, zimne, nudne, monotonne. Trzeba nauczyć się otwierać oczy i kontemplować piękno, które pojawia się ze wszystkich stron.



W przeciwnym razie może dojść do tego, że będziemy nadmiernie wyczuleni na rzeczy negatywne. Wówczas bardzo łatwo będzie nas ogarniać przygnębienie, smutek, zniechęcenie; wszystkie nieszczęścia, które się nam przydarzyły, będziemy bardzo szczegółowo rozpamiętywać i nieustannie narzekać na nasz los. A że jest to błąd, niewłaściwy sposób patrzenia na życie, zdamy sobie szybko sprawę, przyglądając się życiu innych.

Cały świat ucieka od człowieka smutnego, który natychmiast wykorzystuje okazję do opowiadania nam, ze wszystkimi szczegółami, o nieszczęściach, które go spotkały. Nic bardziej wyczerpującego niż słuchanie go. Tymczasem natychmiast przypada nam do gustu osoba radosna, która zawsze dostrzega pozytywną stronę rzeczy. To zaś nas ożywia, pomaga żyć, pracować, dodaje sił. Podczas gdy człowiek o smutnym usposobieniu odsuwa nas od siebie, człowiek z radosnym temperamentem przyciąga nas do siebie. W optymizmie, który powinniśmy rozwijać, kryje się coś pozytywnego.

Spotykamy też osoby skłonne do myślenia, że wszystko wychodzi im źle, że nie mają szczęścia, a nieszczęścia ich prześladowają. Kto myśli w ten sposób, zawsze znajdzie motywy do rozwijania tej legendy o sobie samym. Lecz trzeba być bardziej obiektywnym. *Bardzo wygodnie jest powiedzieć: „nie nadają się; nie wychodzi mi – nie wychodzi nam – wszystko na opak”.* Pomijając to, że nie jest to prawda, za tym pesymizmem skrywa się bardzo wielkie lenistwo... *Są rzeczy, które robisz dobrze, i rzeczy, które robisz źle. Niechaj te pierwsze napełnią cię zadowoleniem i nadzieją, tym drugim wydaj walkę – bez wytchnienia – aby się poprawić: a uda się* (Bruzda, n. 68). Założyciel Opus Dei zwykł był, w przypadkach wrażenia przegranej, precyzować: zazwyczaj nie „wszystko” wychodzi źle, lecz „pewne punkty” konkretne. Jeśli przystaniemy na to, aby je odnaleźć i rozważyć, jak je poprawić, wówczas wejdziemy na drogę ratowania całej sytuacji. Jeśli natomiast pozwolimy kierować się ogólnikowym pesymistycznym rozważaniem, nie będzie już nic do zrobienia.

Mądrym krokiem jest spojrzeć z dystansem na sprawy, które źle się toczą. Istotne jest uczynienie tego w chwili, kiedy dysponuje się większą ilością czasu potrzebną do przemyślenia, jak je rozwiązać. Nieustanne myślenie o nich jest daremne i jest tylko praktykowaniem sztuki zasmucania się, co do niczego nie prowadzi. Szczególnie trzeba unikać tego, aby smutek nie nachodził nas w czasie, który przeznaczamy na odpoczynek lub dla innych: rodziny, przyjaciół. Trzeba umieć ustalić określony i niezbędny czas na przemyślenie naszych problemów i znalezienie rozwiązania. Poza wcześniej przez nas samych ustalonym terminem, myślenie o tych sprawach jest niewskazane, nawet w celu ubolewania i dążenia w ten sposób do znalezienia ulgi. Smutek zawsze jest złym towarzyszem i nie powinniśmy go szukać, ponieważ zstrasza nas i paraliżuje naszą zdolność reagowania. Jeśli pozwolimy, aby wszedł w nasze życie, zyskamy tylko uszczerbek na naszym zdrowiu, naszej psychice i psychice innych. Z góry trzeba założyć, że napotkamy zło. Lecz nie możemy dopuścić do tego, aby nasza wyobraźnia je wyolbrzymiła, opętała nas nim i w ten sposób bezużytecznie wyczerpywała naszą życiową energię.

Przeciwnie, właśnie w tych momentach, a właściwie zawsze, winniśmy szukać w otaczającym nas świecie powodów do radości. Nie pozwólmy wyrwać sobie upodobania do rzeczy pięknych. Umiejmy odnaleźć szczęście w wielu rzeczach sympatycznych, z których składa się codzienne życie: w miłych drobiazgach, którymi obdarza nas życie rodzinne, w gestach przyjaźni, małych wydarzeniach każdego dnia, a nawet w najsympatyczniejszych wiadomościach podawanych w dziennikach. Nie bądźmy lamentującymi komentatorami nieszczęść! Bądźmy optymistami, jako że motywów ku temu nam nie braknie! Koniec końców cały problem sprowadza się do przykładu z połową butelki: trzeba dokładać starań, aby wytworzyć w sobie ową optymistyczną mentalność. Przez to uczynimy samym sobie, a także i innym, wiele dobrego. Uprawiajmy tę sztukę radości, która jest najpięk-

niejsza ze wszystkich, jakie możemy posiadać, o wiele bardziej niż sztuka elegancji, dobrego smaku czy zdolności muzycznych. Nauczmy się śmiać, wychodzić naprzeciw innym z uśmiechem, traktować ich z sympatią, odpowiadać z humorem. Przyjdzie to nam z tym większą łatwością, jeśli będziemy patrzeć na samych siebie i na nasze sprawy trochę mniej na serio.

Niekiedy dobrze jest trochę głębiej wniknąć w przyczyny naszego smutku, gdyż tu właśnie potrzebne jest zastosowanie odpowiedniego środka. Smutek pojawia się choćby w sytuacji niezaspokojonych aspiracji, a to pokazuje, gdzie znajduje się nasze serce. Wiele razy powodem smutku jest ciągle niezaspokojona pycha: nadmierne upodobanie w sobie samym: *Brak jest radości? Pomyśl: jest jakaś przeszkoda między Bogiem i mną. Prawie zawsze ją odnajdziesz* (Droga, n. 662). Być może nadmiernie pragniemy tego, czego nie mamy – dóbr, stanowisk, zaszczytów – a nie jesteśmy w stanie doceniać tego, co już posiadamy. Nic tak nie czyni szkody, jak rozwijanie bezcelowego niezadowolenia, które nie daje środków – ani nie może ich dać – zaradzających naszej sytuacji społecznej lub naszej pracy. Istnieją nieszczęścia, które nigdy się nie kończą, ponieważ nigdy nie zdołamy znaleźć się w sytuacji idealnej, która na tej ziemi nie jest możliwa. *Jeśli chodzi o sytuacje życiowe – pisze brat Ludwik z Granady – to nigdy nie zdołamy wyrazić tego niewielkiego zadowolenia, które jest w nich, i pragnienia, które każdy z nas posiada, aby zamienić swoją na obcą, wierząc, że w tej będzie czuł się mocniejszy. I tak oto ludzie żyją jak chorzy, którzy nie robią nic innego poza nieustannym przewracaniem się w łóżku z jednego boku na drugi, wierząc, że przez te zmiany staną się bardziej wypoczęci, ale tak się nie dzieje, ponieważ to w sobie noszą przyczynę owego niepokoju, który ich trapi* (Libro de la oración y meditación (Księga modlitwy i medytacji, Madryt 1979, s. 76).

Dzieje się tak, ponieważ zbyt wiele czasu poświęcamy na myślenie o sobie. Rozważanie w ujemnym świetle drobiazgów na-

szego życia staje się wówczas ciągłym powodem do niezadowolenia. Najlepszym wyjściem jest wtedy myślenie o innych. To właśnie jest najwspanialsza rada: *Szczere oddanie się innym posiada taką skuteczność, że Bóg wynagradza je pokorą pełną radości* (Kuźnia, n. 591). Jeśli przyzwyczaimy się do częstszego zajmowania się innymi, znikną prawie wszystkie nasze troski, nawet te największe. *To, co rzeczywiście unieszczęśliwia człowieka, a nawet całe społeczeństwo, to jest owo pożądlive poszukiwanie dobrobytu, usiłowanie bezwarunkowego usunięcia wszystkiego, co się temu sprzeciwia. Życie przynosi tysiące problemów, najprzeróżniejsze sytuacje, jedne cierniste, inne łatwiejsze: być może tylko pozornie. Każda z nich zawiera własną łaskę, jest prawdziwym wołaniem Stwórcy, niepowtarzalną okazją do pracy, do dania świadectwa boskiego miłosierdzia. Temu, kto odczuwa ucisk trudnej sytuacji, radziłbym, aby także postarał się trochę zapomnieć o swoich własnych problemach, ażeby zajął się sprawami innych. Czyniąc to, będzie miał więcej spokoju i, co najważniejsze, uświęci się* (Rozmowy z prałatem Escrivá, n. 97).

Czasami powody naszego smutku są rzeczywiście poważne. Czy chcemy, czy też nie, stykamy się w tym życiu z cierpieniem i śmiercią. Tutaj nasze szczęście nie może być doskonale: *Nasza radość, radość biednych istot ludzkich, nawet gdy wynika z powodów nadprzyrodzonych, zawsze pozostawia pewien posmak goryczy. A coś ty myślał? Na tym padole cierpienie jest przyprawą naszego życia* (Droga, n. 203). Trzeba być tego świadomym i gotowym do stawienia czoła naszemu krzyżowi, który w takiej czy innej postaci się pojawi. Jeśli potrafimy dźwigać go po chrześcijańsku, kochając Boga, doświadczymy radości o innym charakterze: radości ze współuczestniczenia w krzyżu Chrystusa, ze współpracy w odkupieniu, zgodnie z tym, czego naucza św. Paweł: *Teraz raduję się w cierpieniach za was i ze swej strony w moim ciele dopełniam braki udreń Chrystusa dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół* (Kol 1,24). Kiedy nadejdzie ów moment, nie uciekajmy od

krzyża. Zaakceptujmy go z życzliwością, nie wyolbrzymiając trosk, które z sobą niesie. Napelni nas to pokojem i da nam wystarczającą moc do dobrego przeżywania trudniejszych chwil: *Radujcie się zawsze w Panu: jeszcze raz powtarzam: radujcie się!* – zachęca nas św. Paweł. – *Niech będzie znana wszystkim ludziom wasza wyrozumiała łagodność: Pan jest blisko! O nic się już zbytnio nie troskajcie, ale w każdej sprawie wasze prośby przedstawiajcie Bogu w modlitwie i błaganiu z dziękczynieniem. A pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł, będzie strzegł waszych serc i myśli w Chrystusie Jezusie (Flp 4,4-7).*

Radość jest chrześcijańskim bogactwem, które powinniśmy pomnażać. Bycie radosnym – okazywanie naszej radości – jest obowiązkiem wobec Boga, który jest blisko. Jest to również nasz obowiązek wobec bliźnich, którym w ten sposób pomagamy. Fundamentem tejże radości jest wiara, jej podporą – nadzieja, zaś jej źródłem jest – jak zawsze – miłość. Miłość, która kieruje naszą uwagę na Boga i bliźniego i powoduje, że traci się własne ja, daje największą radość: *Zresztą, bracia, radujcie się, dążcie do doskonałości, pokrzepiajcie się na duchu, jedno myślcie, pokój zachowujcie, a Bóg miłości i pokoju niech będzie z wami (2 Kor 13,11).*

## Roztropność

Cechą charakterystyczną człowieka jest to, że posiada zdolność kierowania samym sobą. Nie jest bowiem uzależniony mechanicznie od zachęt otoczenia. Na bodźce z zewnątrz nie odpowiada w sposób automatyczny, lecz w jego głębi znajduje się przestrzeń, gdzie podejmuje swoje decyzje, nie tylko oceniając otrzymane bodźce, lecz także własne kryteria. Decyduje według tego, co w danym momencie uzna za stosowne, i odnosi się do samego siebie w sposób wolny. Owa wewnętrzna przestrzeń, gdzie sprawy dojrzewają, jest gwarancją wolności. Ona właśnie nadaje ludzkiemu postępowaniu tę charakterystyczną głębię i godność.

Konieczne jest jednak tworzenie i ochrona tego obszaru. Dzieci posiadają zaledwie jego zalążek. Odpowiadają na bodźce płynące z otoczenia prawie automatycznie. Mogą kierować się kaprysem (posiadają już bowiem pewien spryt i wolę), w rzeczywistości jednak prawie nie posługują się wolnością. Jeśli są głodne, jedzą; jeśli nie mogą jeść, płaczą; jeśli dokucza im pragnienie, szukają czegoś do picia itd. Ich postępowanie jest jeszcze powierzchowne. Wraz z dojrzewaniem, w miarę jak realizują dobro, przychodzi prawdziwa zdolność do kierowania samym sobą. A to jest właściwe dla cnoty roztropności, która polega na nawyku właściwego decydowania o tym, co w danym momencie należy czynić. W miarę kierowania samym sobą, nabywa się także zdolności do kierowania innymi osobami lub sprawami.

Roztropność wytwarza ów wewnętrzny obszar i nadaje człowiekowi głębię. Wszyscy ludzie posiadają ze swej natury wolną wolę, lecz nie wszyscy potrafią dobrze ją wykorzystywać. Przez to, jakkolwiek będąc z natury wolnymi, wiele razy okazuje się, że o ich postępowaniu nie decydują postanowienia, które dokonały się w owym wewnętrznym obszarze wolności, lecz zostały narzucone z zewnątrz. Są ludzie, których można by porównać do owych starych, mechanicznych pianoli, zdolnych do wykonania różnych partytur dzięki przemyślnemu systemowi rejestrów. Niektórzy nie zdają sobie sprawy, że funkcjonują w takt muzyki, która nie jest ich, lecz została im narzucona. Z zewnątrz otrzymali szablony postępowania, to co należy zrobić, co osiągnąć w życiu, co jest dobre lub złe; i być może nigdy nie zatrzymali się, aby je przemyśleć lub uczynić własnymi. Postępują oni często standardowo i żyją w rytmie konwenansów społecznych i kaprysów mody. W każdej chwili „to co trzeba zrobić” jest inne, lecz nigdy nie wyjaśnia się, dlaczego to trzeba zrobić, a czyni się tak z tego prostego względu, że cały świat to robi. Znaczna część ludzkości postępuje w ten właśnie sposób.

Oczywiście, nie jest to postawa właściwa. Człowiek nie jest bowiem automatem: posiada własny rozum i wolę i według nich powinien postępować. Rozum powinien dostarczać elementów osądu i oceniać w każdym przypadku, jak należy postępować. Wola zaś powinna przyjąć i wykonać to, co się jawi jako konieczne do zrobienia.

Chrześcijanin jest człowiekiem, który wyznaczył sobie pewien kierunek wiodący. Wie, że celem jego życia jest kochać Boga i służyć bliźnim. Dlatego też posiada w swoim umyśle pewne fundamentalne kryteria nadające kierunek jego postępowaniu. Nie może dać się ponieść jakiemuś modelowi zachowania, który został mu narzucony, lecz musi ocenić, czy jest on zgodny z zasadami jego wiary. To znaczy, winien wyrobić sobie osąd moralny w świetle zasad, jakie posiada odnośnie do tego, jak ma

postępować. Osąd taki nazywa się osądem sumienia lub po prostu sumieniem.

Aby kierować samym sobą, trzeba posiadać kryteria pozwalające oceniać podejmowane decyzje. Jeśli brak tych kryteriów, niemożliwe jest rozstrzygnięcie, co jest lepsze. Św. Paweł mówi: *A modłę się o to, aby miłość wasza doskonalita się coraz bardziej i bardziej w głębszym poznaniu i wszelkim wyczuciu dla oceny tego, co lepsze, abyście byli czyści i bez zarzutu na dzień Chrystusa, napełnieni płonem sprawiedliwości, [nabytym] przez Jezusa Chrystusa ku chwale i czci Boga (Flp 1,9-11).*

Stąd też człowiek potrzebuje gruntownej formacji. A jeśli jest chrześcijaninem, dodać trzeba do tego szerokie i pogłębione poznanie nauki moralnej Kościoła, która dostarcza mu zasad moralnych. Jeśli brak tej formacji, człowiek zmuszony jest uciekać się do improwizacji, domysłów lub nonsensownych opinii. A życie jest tak krótkie, że nie możemy tracić czasu na próby, lecz, kierując się zmysłem praktycznym, przygotować się do wykorzystania go jak najlepiej. Dlatego też tak ważne jest bardzo wczesne zebranie zasadniczych kryteriów moralnych, które potem pozwolą nam podejmować konkretne decyzje i nadadzą naszemu życiu właściwy kierunek, określą jego styl i przyniosą pożądane owoce.

Własna formacja nie może być improwizowana. Nie możemy liczyć na formację zdobywaną sporadycznie, tu i tam, z przypadku lub otarcia się o coś, co chwilowo nam zaimponuje. Koniecznym jest studiowanie, na miarę naszych możliwości, zasad wiary i moralności Kościoła, śledząc rzetelne informacje lub czytając dobrą lekturę. Trzeba pamiętać, że co roku publikuje się mnóstwo książek. Wystarczy kilka godzin spędzonych w bibliotece, aby wyleczyć się z lekkomyślnego nawyku czytania wszystkiego, co nam wpadnie do ręki. Tyle jest rzeczy do przeczytania, a my mamy tak mało czasu, że nie pozostaje nic innego jak czytać to, co najlepsze. Aby tego dokonać, musimy zasięgnąć rady kogoś obeznanego w tej dziedzinie (to samo dzieje się w obrębie in-



nych dziedzin wiedzy). W tym przypadku nie straciła wcale na ważności rada św. Teresy: *Pomnijcie, że nie żyjemy w takich czasach, by można było wierzyć każdemu, ale takim tylko, których życie zgadza się z nauką i przykładem Chrystusa. (...) Wierzcie niezachwianie we wszystko, czego naucza Kościół, święta Matka nasza, a wtedy, bądźcie pewne, że idziecie dobrą drogą* (Drogi doskonałości, 21,10, w: op. cit., t. II, s. 110). Starajmy się zasięgać rady u osób, które posiadają właściwą wiedzę i ponadto umieją zastosować ją w swoim życiu.

W ten sposób powoli zaszczepimy w sobie zasadnicze kryteria moralności chrześcijańskiej, które potem pozwolą nam właściwie ukierunkowywać nasze działanie. Niektóre bardzo ważne już znamy. Wiemy, że nasze życie powinno być nastawione na miłość do Boga i służbę bliźnim. Zapoznaliśmy się także z kryteriami, które pozwalają nam żyć w wyrzeczeniu, umiarkowaniu czy szczerości. Wiele innych poznamy poprzez lekturę albo studium nauki Kościoła.

Jeśli odkryliśmy już kryteria, które powinny kierować życiem chrześcijanina, trzeba wówczas podjąć wysiłek prowadzący ku temu, aby wywierały one wpływ na nasze decyzje. Aby tak się stało, trzeba ich użyć w momencie formowania naszych osądów. Na przykład, jeśli zamierzam kupić nowy dom, najpierw muszę zapytać siebie, czy rzeczywiście ten wydatek jest konieczny: tzn. czy jest nieodzowny ze względu na liczebność mojej rodziny, czy też będzie to tylko kaprys lub chęć zaimponowania znajomym. Jeśli mam zamiar zmienić pracę, to muszę się zastanowić, czy w ten sposób będę mógł lepiej sprostać domowym obowiązkom, lub też czy poprzez tę pracę będę służył innym mniej więcej tak, jak poprzez dotychczasową. Są to czynniki, które powinniśmy przemyśleć przy podejmowaniu decyzji. Dojdziemy w ten sposób do tego, że będą one miały faktyczny wpływ na nasze życie.

Jeśli zaś te czynniki nie wpływają na nasze decyzje, to być może rządzą nami inne, niekontrolowane. Być może nie zdajemy

sobie z tego sprawy, lecz to nasza pycha, zmysłowość, lenistwo lub nasze ambicje są tymi, które za nas decydują. Stańcie na drogach – powiada Jeremiasz – i patrzcie, zapytajcie o dawne ścieżki, gdzie jest droga najlepsza – idźcie po niej, a znajdziecie dla siebie wytchnienie (Jr 6,16). Trzeba więc wiedzieć, dlaczego postępujemy tak, a nie inaczej, aby nie żyć iluzjami. Pycha bowiem posiada osobliwą właściwość przyoblekania się i opierania na motywach z pozoru słuszych. Lenistwo zawsze znajduje wytłumaczenie, aby uniknąć wysiłku; ambicja przywołuje usprawiedliwioną konieczność do podążania za bogactwem i honorami; zmysłowość zaś, szukając wrażeń, ukrywa się pod płaszczkiem naturalności. Powinniśmy przeanalizować pobudki naszych działań, aby je oczyścić i być pewnym, że podejmujemy właściwą decyzję, opartą na zasadach, na których chcielibyśmy oprzeć nasze życie. Gdyby Bóg był zawsze jedynym celem naszych pragnień – czytamy w bardzo znanej książce z ascetyki – *nie tak łatwo oburzałoby nas sprzeciwianie się naszemu zdaniu. Często w nas kryje się coś takiego, a może też przychodzić z zewnątrz, co bardziej nas pociąga niż Bóg. Wielu w tym, co czynią, szuka samych siebie, a o tym nie wiedzą* (Św. Tomasz á Kempis, O naśladowaniu Chrystusa, Kraków 1981, I, 14, 1-2).

Wobec samego siebie trzeba umieć być kategorycznym i szczerym, unikając jednocześnie niejasności w naszym działaniu. Musimy przy tym mieć świadomość, że nie jest łatwo zachować szczerłość: *Często zmysłowością jest to, co wydaje się być miłością; albowiem naturalna skłonność, własna wola, nadzieja nagrody, przywiązanie do wygod rzadko kiedy nas opuszczają* (Św. Tomasz á Kempis, op. cit., I, 15, 2). Rzadko kiedy jesteśmy zdolni uniknąć wpływu namiętności (lenistwa, ambicji, próżności, zmysłowości), nawet wówczas, kiedy staramy się działać ze względu na Boga. Stąd też będzie dla nas bardzo korzystne podejmowanie najważniejszych decyzji naszego życia w Bożej obecności, spokojnie, bez pośpiechu, pozwalając, aby On do nas mówił, bez narzucania naszych pragnień, być może niezbyt właściwych.

Kiedy już poznaliśmy kryteria moralne, które powinny kierować naszym postępowaniem, i upewniliśmy się o słuszności naszych intencji, czas zacząć posługiwać się roztropnie sztuką dobrego decydowania. Św. Tomasz z Akwinu (S. Th., 22, q. 47, a. 8, c) zaznacza, że decyzja składa się z trzech różnych części. Najpierw mamy do czynienia z rozważaniem, które jest jakby streszczeniem osądu. Chodzi tu o moment, w którym studiuje się okoliczności towarzyszące danemu przypadkowi i kryteria konieczne do podjęcia decyzji. Następnie przychodzi decyzja lub osąd, w którym wybiera się najbardziej odpowiedni sposób działania. Wreszcie nadchodzi moment wykonania, tzn. spełnienie tego, co jawiło się jako to, co należy wykonać. Każda część charakteryzuje się swoją trudnością i roztropność nakazuje realizowanie wszystkich jak najdoskonalej.

Najdelikatniejszą fazą jest moment rozważania, gdyż dwa pozostałe bezpośrednio od niego zależą. Jest to chwila przestudiowania danego przypadku. Potrzebne jest do tego przynajmniej minimum zdolności obserwacji, aby zdać sobie sprawę, jakie okoliczności warto mieć na względzie, zanim przystąpi się do działania. Jeśli tego zabraknie, działanie nasze będzie naznaczone lekkością. Następnie trzeba połączyć kryteria i wiadomości potrzebne do tego, aby móc dokonać oceny. Jeśli się ich nie posiada, to należy je jak najszybciej zdobyć. Na przykład w życiu zawodowym mogą pojawić się problemy natury technicznej, których nie będziemy potrafili rozwiązać, jeśli wcześniej nie posiadziemy koniecznych informacji teoretycznych. Fachowiec – adwokat, inżynier, policjant itd. – musi posiadać wystarczającą wiedzę, aby mógł szybko rozwiązać najbardziej pospolite problemy. Ponadto do jego zawodowych obowiązków należy nieustanne doskonalenie swoich kwalifikacji. Byłoby zawinionym niedbalstwem podjęcie niewłaściwej decyzji z powodu braku kompetencji.

Kiedy w grę wchodzi ważne sprawy, dotyczące bezpośrednio życia naszego lub innych, wymogiem roztropności jest poprosze-

nie o radę. Sprawia to, że podejmujemy nasze decyzje, mające szerszą perspektywę, ubogaceni o punkt widzenia, który być może nam samym by się nie nasunął. Szczególnie trzeba prosić o radę w przypadku, kiedy bardzo mocno zaangażowane jest nasze „ja”, gdyż wówczas niezmiernie łatwo jest dać się zwieść lub pomylić. Bycie obiektywnym w stosunku do siebie samego jest zawsze najtrudniejsze. Tak zdarza się w przypadku rozpoznania powołania, założenia rodziny, wyboru pracy, miejsca zamieszkania, postawienia problemu, rozwiązanie niesnasek z osobami najbliższymi itd. Koniecznym jest wówczas szukanie dobrych doradców. Powinni być nimi osoby, które spełniają trzy następujące warunki: są do nas przyjaźnie nastawione, kompetentne w danej materii i są zdolne bez ogródek przedstawić nam swój punkt widzenia. Jeśli nas nie kochają, mogą wyrządzić nam szkodę; jeśli nie są kompetentne, ich rada niczemu nie służy; jeśli zaś nie są zdolne do otwartej rozmowy z nami, nigdy nie dowiemy się, czy rada, jaką nam dają, jest szczerą.

Jeśli chodzi o podejmowanie ważnych decyzji w zakresie zarządzania, zasięgnięcie rady jest nieodzowne. Oczywiście, trzeba prosić o radę osoby, które mają prawo być wysłuchane w tych okolicznościach. Ponadto trzeba będzie zwrócić się po poradę do ekspertów i osób roztropnych. Tym niemniej, trzeba umieć zachować niezależność w podejmowaniu własnych decyzji, nie pozwalając na to, by jakaś rada przerodziła się w przymus. Jeśli to my jesteśmy za coś odpowiedzialni, decyzja powinna być nasza. Musimy także bronić się przed uciekaniem ze strachu przed podejmowaniem decyzji. Trzeba umieć przyjąć na siebie odpowiedzialność.

W sprawowaniu rządów jedną z najtrafniejszych decyzji jest umiejętność otoczenia się dobrymi doradcami. Wymaga to pokory, przyjęcia do wiadomości, że my sami nie jesteśmy w stanie wiedzieć wszystkiego ani do wszystkiego dotrzeć czy zobaczyć. Dlatego też winniśmy być wdzięczni za szczerą radę tak, jakby to

był skarb. Trzeba także umieć pozostawić dostateczną wolność tym, którzy nam doradzają, aby uczciwie mogli nam powiedzieć co myślą. Jeśli bowiem gnębimy tego, kto nam doradza, ponieważ nie myśli tak jak my, lub też omijamy go, gdyż kiedyś nam się sprzeciwił, to w rezultacie zostaniemy otoczeni ludźmi schlebującymi nam i stracimy kontakt z prawdą.

Ponadto wielką pomocą we właściwym rozstrzygnięciu naszych spraw będzie zwyczaj rozważania naszych decyzji w obecności Boga, który jest naszym najlepszym doradcą.

Drugim momentem jest nasza własna decyzja. Decyzje powinno się podejmować jedynie wówczas, kiedy się już poświęciło konieczny czas na ich rozważenie. Każda decyzja wymaga odpowiedniej ilości czasu. Jeśli nie będziemy uważać, może dojść do tego, że będziemy poświęcać dużo czasu na myślenie i podejmowanie decyzji odnośnie do rzeczy bez znaczenia (zakup butów, wybór pasty do zębów, wybór koloru ubrania czy tapet do mieszkania), a z braku czasu będziemy zmuszeni pochopnie zdecydować o czymś, co ma wielkie znaczenie.

Trzeba nauczyć się szybko załatwiać sprawy małej wagi i traktować je marginalnie, przeznaczając w ten sposób więcej czasu i uwagi na sprawy poważne. Nie możemy pozwolić na to, by kwestie życiowe miały być rozstrzygane w mgnieniu oka. To, co pilne, powinno poczekać tak długo, abyśmy mogli zebrać argumenty niezbędne do wydania sądu. Ponadto decyzje winny być podejmowane wówczas, gdy zachowujemy spokój i posiadamy odpowiednie warunki do myślenia: *Mamy zachować pokój ducha, choćby tylko po to, żeby móc postępować rozumnie, gdyż człowiek spokojny potrafi rozumować, rozważać za i przeciw, oceniać rozsądnie konsekwencje swych zamierzeń, a potem rozważnie i zdecydowanie działać* (Przyjaciele Boga, n. 79).

Niewątpliwie nie wolno zapomnieć, że czasami lenistwo prowadzi do odkładania podjęcia ważnych decyzji, ponieważ rozstrzygnięcie niektórych kwestii pociąga za sobą pewne niedogod-

ności. W tych przypadkach należy się zmobilizować, ponieważ gdy w grę wchodzi lenistwo, nic się nie wygrywa, odkładając decyzję na później. Przeciwnie, wiele razy ową opieszałością sprawiamy kłopoty sobie samym i innym. Z drugiej strony powinniśmy wiedzieć, że lepsze jest wrogiem dobrego. Jeśli będziemy powstrzymywać się z decyzją, czekając na optymalne warunki, niewiele dokonamy w tym życiu. Trzeba być realistą i czynić rzeczy w jak najlepszy sposób, lecz na miarę możliwości. Wiedzieć, kiedy dane rozwiązanie jest wystarczające, to wielki dar.

Ostatnim momentem jest samo wykonanie: realizacja tego, co zostało postanowione. Jeśli decyzja została już podjęta, trzeba przystąpić do jej wykonania. Odkładanie jej realizacji bez powodu jest oznaką słabości i zazwyczaj powoduje wiele komplikacji. Nie możemy dopuścić do tego, aby coś, o czym już postanowiliśmy – na nowo, i to bez żadnej przyczyny – powróciło do fazy rozstrzygnięcia. Jeśli natychmiast wykonujemy podjętą decyzję, nasz duch dużo odpoczywa. W taki sposób jakaś kwestia rozpoczyna się i kończy, i wcale nie trzeba się nią zadręczać. *Nie myl spokoju z lenistwem, niedbalstwem, z opóźnianiem w podejmowaniu decyzji, bądź obecny w studiowaniu ważnych problemów. Spokojowi towarzyszy zawsze pilność, cnota niezbędna do niezwłocznego rozpatrywania i rozwiązywania stojących przed nami kwestii* (Kuźnia, n. 467).

Roztropność jest podstawową cnotą w życiu ludzkim. Pomaga nam zaprowadzić w naszym postępowaniu porządek rozumu. Dlatego też jest cnotą cnót: nazywano ją *auriga virtutum* albo przewodniczką cnót, ponieważ każda z cnót zmierza ku zaprowadzeniu tego porządku w jakimś aspekcie. Roztropność czyni ludzi miłymi Bogu, będąc sama darem, o który powinniśmy Boga prosić: *bo mądrość cenniejsza od pereł i żaden klejnot nie jest jej równy* (Prz 8,11).

## Prawość

Ktoś kiedyś powiedział, że każdy człowiek posiada swoją cenę. Innymi słowy można rzec, że dzięki pieniądząom można spowodować, aby ktoś uczynił to, czego inny zapragnie, nieważne, czy będzie to dobre czy złe, uczciwe czy nie. Nie jest to jednak prawda. Chociaż wielu ludzi za cel swojego życia stawia sobie zarabianie pieniędzy, i dlatego łatwo można ich kupić, to jednak są i inni. To ci, którzy są zdolni przeciwstawić się pieniądząom i przemocy wówczas, kiedy ktoś skłania ich do postępowania niezgodnego z sumieniem. Nie brak również i takich, którzy spełniając swoje obowiązki, także wtedy gdy nikt ich nie widzi, nie odnoszą z tego żadnych osobistych korzyści, a nawet ponoszą szkodę. Kiedy napotkamy kogoś takiego, czujemy urok jego postępowania i wiemy, że stoimy przed człowiekiem solidnym, prawym, uczciwym. Przebija w tych ludziach godność osoby ludzkiej, prawdziwa wartość wolności, piękno uczciwego życia. A ponieważ nigdy ich nie brakowało, dlatego też możemy mówić o człowieku jako o najwspanialszej istocie żyjącej na ziemi.

Taki sposób bycia odzwierciedla naturalną doskonałość człowieka i stanowi jego najlepszą ozdobę. Ale nie dochodzi się do tego w sposób nieświadomy, jak roślina, która dojrzewa i wydaje owoce, nie uświadamiając sobie tego ani nie wkładając w to żadnego wysiłku. W tym przypadku jest to rezultat wytrwałości w prowadzeniu uczciwego życia. Prawość czy uczciwość jest cnotą, a przez to owocem wielokrotnego powtarzania wielu dobrych zachowań, które pozostawiają nawyk dobrego postępowania.

Prawość jest cnotą, która doskonali wolę w kierunku umiłowania obowiązku, podobnie jak roztropność doskonali rozum w zakresie dobrego rozstrzygnięcia. Ze swej strony wola dąży ku dobru: spontanicznie kocha wszystko, co przedstawia się jej jako dobre. Lecz zdarza się i tak, że w naszym otoczeniu znajduje się mnóstwo rzeczy dobrych, a my nie możemy posiadać ich wszystkich jednocześnie, gdyż jedne zaprzeczają drugim lub też nie wszystkie w danym momencie są przydatne. Dlatego też jest rzeczą konieczną zbadać i rozstrzygnąć, co w danym przypadku jest najważniejsze i doprowadzić do skutku to, co wydaje się być słuszne, choć może nie być to łatwe lub też jest przeciwne naszym upodobaniom. Tak np. odpoczynek i relaks przy czytaniu dobrej książki jest czymś dobrym, lecz w tym samym czasie nie można odrabiać lekcji. Trzeba więc zdecydować o tym, co w tej chwili mam robić: czy teraz jest czas na odpoczynek, czy też jest to czas na naukę. Podejmowanie właściwych decyzji jest charakterystyczne dla cnoty roztropności, natomiast umiłowanie obowiązku dla prawości. Stąd prawość bywa nazywana „siłą woli”: a więc jest to taka cnota, która umacnia wolę w ten sposób, by człowiek był zdolny ukochać własne zobowiązania.

Cechą charakterystyczną prawości jest przyzwyczajenie do miłowania dobra uporządkowanego, zgodnie z porządkiem odkrywanym przez rozum. Znakiem prawości jest pragnienie, aby wszystko zostało ukierunkowane ku swojemu celowi; praktyczne dążenie do tego, aby wszystko było takie, jakie powinno być; umiłowanie dóbr respektujące właściwe im miejsce; a ostatecznie ukierunkowanie ich ku dobru najwyższemu, którym jest Bóg. Roztropność i prawość uzupełniają się wzajemnie i są ukoronowaniem życia moralnego, gdyż muszą być wsparte przez pozostałe cnoty. To zaś, na ile jesteśmy zdolni do stałego ukochania tego, co dobre i właściwie ukierunkowane, zależy od tego, na ile panujemy nad złymi skłonnościami: lenistwem, egoizmem itd. Jeśli nie posiadamy cnót, będą nami rządzić namiętności,



a wówczas nie jest możliwe ani odkrycie, ani też umiłowanie rzeczy ukierunkowanych na ich ostateczny cel.

Namiętności zniewalają rozum, zwłaszcza w momencie wydawania przez niego osądu odnośnie do tego, co należy czynić. Wdzieliśmy już, że rozum rozstrzyga, stosując ogólne kryteria moralne do okoliczności konkretnego przypadku. W ten sposób odkrywa zasadę naszego działania, by móc postępować uczciwie, to znaczy zachowując właściwe ukierunkowanie danego bytu ku jego celowi ostatecznemu. To właśnie jest osąd sumienia. Jeśli wola jest prawa, umiłuje go i będzie podążać za tym osądem, lecz jeśli nie jest prawa, będzie od niego uciekać i zechce go zmienić. Kiedy bowiem ktoś jest opanowany przez złe skłonności: lenistwo, ambicje, zmysłowość czy pychę, to one narzucają mu sposób postępowania i zmuszają go, aby decydował według ich pragnień; np. człowieka bardzo leniwego będzie dużo kosztować zdecydowanie się na wykonanie jakiejś pracy. Jego rozum widzi to, co powinien zrobić, lecz wola nie podąża za nim. Dąży ona raczej do szukania wymówek tak, aby zmienić osąd rozumu na korzyść lenistwa: „jestem zmęczony”, „ta praca nie jest taka ważna”, „jutro zrobię to dużo lepiej”, „przecież może to zrobić ktoś inny”... W ten sposób wola zaciemnia w końcu rozum (sumienie) i postępowanie zostaje opanowane przez namiętności. Ten, kto postępuje w ten sposób, przyzwyczajają się do oszukiwania samego siebie i do działania powodowanego fałszywymi motywami.

Prawość jest owocem wielu działań, w których na pierwszym miejscu postawiono porządek nadany przez rozum. W miarę jak działa dobro, wola przyzwyczajają się podążać za wskazaniem sumienia i za każdym razem podąża za nimi z większą łatwością i siłą. Dzięki temu rozum może działać ze spotęgowaną wolnością, bez poczucia przymusu. Szybciej też odkrywa sposób, w jaki ma działać, aby osiągnąć dobro. Dlatego prawość połączona jest z ogromną delikatnością sumienia i z głęboką wrażliwością na własne obowiązki.

Człowiek, którym rządzą namiętności, dąży do kierowania sobą według tego, na co ma ochotę lub co zaspokaja jego ambicje, natomiast człowiek prawy kieruje się poczuciem obowiązku. To ostatnie staje się bowiem dla niego zasadniczą osią jego postępowania.

Niekiedy opanowuje człowieka strach, gdy postawi sobie powyższe założenia, ponieważ wydaje się, że jeśli ktoś postępuje uczciwie, to inni go wykorzystają i będzie miał mniejsze możliwości osiągnięcia sukcesu niż ci mniej sumienni. Takie myślenie jest czymś w rodzaju posługiwania się logiką zwierzęcą. To prawda, że w pewnych okolicznościach można osiągnąć większy zysk materialny nie będąc uczciwym. Powracając do przykładu podanego na początku, zauważymy rzecz oczywistą: ktoś, kto się sprzedaje, zdobędzie więcej pieniędzy niż ten, kto tak nie czyni. Jednakże postępowanie takie byłoby logiczne tylko dla kogoś, kto w pieniądzach upatruje największą wartość tego świata. Doświadczenie bardzo szybko poucza, że szczęście ludzkie nie ma nic wspólnego z ilością dóbr materialnych, dotyczy raczej kwestii moralnych. Ten, kto posiada podwójną sumę pieniędzy, wcale nie jest przez to podwójnie szczęśliwy. Dziecko otoczone wyszukanymi zabawkami nie jest przez to szczęśliwsze od tego, które bawi się w piaskownicy. Tym, co czyni człowieka szczęśliwym, nie są dobra materialne, lecz duchowe: nie można kupić ani miłości, ani przyjaźni, ani radości czy pokoju ducha. Ich wartości nie mierzy się miarą ilości.

Niczego zaś nie można porównać z radością i pokojem sumienia, jakie przynosi uczciwe postępowanie. Kto bowiem przyzwyczaił się do postępowania polegającego na podążaniu za poczuciem obowiązku, żyje w harmonii z Bogiem, z innymi (nawet jeśli go nie rozumieją) i z sobą samym. Jego duch jest wolny od zamętu namiętności, które pozostawiają ślad niepokoju i niezadowolenia, ciemności i niesmaku wówczas, kiedy zawładną postępowaniem.

Gdy dostrzegamy w kimś ów pokój, w sposób spontaniczny czujemy się przez niego przyciągani, gdyż jesteśmy stworzeni, aby nim się radować. Jakby instynktownie doceniamy piękno takiego sposobu bycia i działania, a jednocześnie czujemy się popychani do naśladowania go. Jest to blask pełni człowieczeństwa i tego, co wyjaśnia autorytet, jakim się cieszy osoba, starająca się być uczciwą. Nic tego nie zastąpi. Obserwując postępowanie człowieka, można stwierdzić, czy jest on prawy, a instynkt nie oszuka nas w momencie oceny. Jest to bowiem sposób bycia wykluczający wszelką nieautentyczność. Nadaje on olbrzymią spójność całemu życiu, wypełnia wewnętrznym pokojem i objawia się na zewnątrz spokojnym postępowaniem, które bardzo pociąga. Ci, którzy postępują uczciwie, napełniają innych zaufaniem, gdyż ci ostatni wiedzą, że nie zostaną oszukani. Dlatego też osoby prawe posiadają zazwyczaj naturalny autorytet, a ludzie uciekają się do nich w sytuacjach, kiedy potrzebny jest ktoś jako sędzia, lub też gdy potrzebują bezstronnej porady.

Największym nieprzyjacielem prawości jest egoizm, ta nieuporządkowana miłość samego siebie. Istnieje przecież właściwa miłość samego siebie, np. zachęcająca nas do dbania o nasze zdrowie. Natomiast egoizm sprawia, że człowiek posiada zbyt wygórowane, niezgodne z rzeczywistością mniemanie o samym sobie i ukierunkowuje swoje życie na zaspokajanie jedynie własnych aspiracji. Między postawą życiową człowieka prawego i egoisty zachodzi ogromna różnica: egoista kieruje się kapryсами, zaś człowiek prawy prawdą. Ten ostatni szybko dochodzi do wniosku, iż istnieje wiele spraw, które wyrastają ponad jego osobiste ambicje czy nawet życie – jest obiektywny. Natomiast egoista skłonny jest myśleć, że życie jest po to, aby go używać jedynie dla zaspokojenia własnych korzyści. Posiada on skłonność do subiektywnego oceniania rzeczywistości. Człowiek prawy z łatwością pojmuje swoje życie jako powołanie. Rozumie, że jest na ziemi po to, aby czegoś dokonać. Troszczy się o swój wkład w do-

bro innych, swojej rodziny, społeczeństwa. Egoista zaś dąży do szukania własnej korzyści w relacjach z innymi ludźmi. Posiada bowiem mentalność pasożytnika, na początku zawsze szuka własnego dobra, zamiast przyczyniać się do dobra życia rodzinnego i społecznego. Paradoksalnie wynik takiego działania jest sprzeczny: ten, kto daje, ubogaca się jako człowiek, ten zaś, kto tylko szuka własnej korzyści, wychodzi zubożony w swoim człowieczeństwie.

Pismo Święte nazywa człowieka prawego *sprawiedliwym*. Tak np. mówi o Noem (Rdz 6,9), Symeonie (Łk 2,25) czy św. Józefie. Z tego też względu w traktatach moralnych prawość otrzymuje miano *sprawiedliwej*. Lecz w aktualnym użyciu słowo „*sprawiedliwość*” stosuje się przede wszystkim w stosunkach ekonomicznych – kontraktach, sprzedaży itd. – i nie oddaje znaczenia nadawanego mu przez Pismo Święte. Biblia rozumie *sprawiedliwość* jako wewnętrzną doskonałość człowieka i stawia ją na równi ze świętością. Jakkolwiek *prawość* obejmuje także i *sprawiedliwość* (w tym, co odnosi się do relacji ekonomicznych), to jest jednak pojęciem szerszym. Spróbujmy prześledzić teraz niektóre jej przejawy.

Mówiliśmy, że *prawość* odznacza się głębokim poczuciem obowiązku. Istnieją powinności naturalne i nabyte. Do tych pierwszych zaliczyć można obowiązki wobec Boga, własnej ojczyzny, kultury, narodu i rodziny. Natomiast wśród tych drugich znajdują się: obowiązek wierności małżeńskiej, uczciwości w przyjaźni, odpowiedzialności za dane słowo, a także *sprawiedliwość*, poczucie obowiązku za własne czyny oraz wdzięczność.

Najistotniejszymi i najważniejszymi powinnościami są te, które odnoszą się do Boga. Wyrażone zostały w przykazaniu miłości i pierwszych przykazaniach Dekalogu: *będziesz miłował Pana Boga całym swoim sercem, całym swoim umysłem, całą swoją mocą; nie będziesz brał Imienia Pana Boga nadaremno; będziesz święcił dzień święty*. W pierwszym streszcza się cała chrześcijańska moralność. Jest to punkt centralny życia i wokół niego obraca się wszystko to, co zostało przekazane w tej książce. Drugie i trzecie mówi

nam, jaka powinna być nasza postawa wobec Boga: pełna czci i szacunku.

Zapewne doświadczyliśmy w naszym życiu spotkania z kimś, kogo potem podziwialiśmy. Być może powoli, w miarę jak poznawaliśmy jego wartość, wzrastał także nasz szacunek dla niego. Coś podobnego dzieje się w naszej relacji z Bogiem. W miarę jak Go poznajemy, czujemy się skłonni do wyrażania wobec Niego głębszego uczucia, a jednocześnie rośnie nasz szacunek. Wzrasta również zaufanie i cześć, ponieważ bardziej zdajemy sobie sprawę z tego, co oznacza fakt, że jest On naszym Stwórcą i Ojcem. W sposób naturalny zauważamy nasze obowiązki względem Niego oraz to, że On, przez fakt bycia naszym Stwórcą i Ojcem, ma wobec nas prawa: może oczekiwać naszego poświęcenia, naszego uczucia, szacunku i oddania. My zaś możemy Go prosić jak dzieci, aby zaspokajał nasze pragnienia, ale nie żądać, jakby był na służbie, by spełniał nasze kaprysy. Człowiek prawy wypełnia Boże nakazy i z wielkim szacunkiem odnosi się do wszystkiego, co jest z Nim związane, jak: Jego święte Imię, przedmioty i obiekty kultu, osoby Jemu poświęcone, obrzędy. Bola go natomiast niedbalstwo i lekkomyślność i rani go wszystko, co mogłoby objawiać – w postępowaniu innych lub własnym – brak szacunku.

Trzecie przykazanie – *będiesz dzień święty święcił* – odnosi się do obowiązku oddawania kultu Bogu, czczenia Go i wysławiania. Trzeba zaznaczyć, że jest to miły obowiązek, który rozumie się dobrze wówczas, kiedy zaczyna się doceniać to, kim jest Pan Bóg. My, chrześcijanie, posiadamy uprzywilejowany sposób wysławiania Boga, co uwidacznia się podczas nabożeństw, sprawowania sakramentów, a zwłaszcza Eucharystii. Lecz poza tym powinniśmy wysławiać i oddawać cześć Panu Bogu we wszystkich naszych poczynaniach. W sposób szczególny zaś winniśmy być Mu wdzięczni za wszystko dobro, jakie dzieje się w naszym życiu: dziękować za wszelkie otrzymane łaski, rozpoczynając od daru życia. Niekiedy jesteśmy tak uzależnieni od tego, czego nie posia-

damy, że nie jesteśmy już zdolni doceniać i być wdzięcznymi za to, co mamy.

Po obowiązkach odnoszących się do Boga znajdują się te, które dotyczą relacji rodzinnych: wobec rodziców, współmałżonka i dzieci. Obowiązki te rodzą się ze związków tak silnych, że raz zaistniałe nie mogą ulec zniszczeniu: ojciec, matka, małżonek lub małżonka, dziecko... pozostają nimi na zawsze, choćby nawet nie wypełniali swoich obowiązków, czy nie okazywali wdzięczności za udzieloną im troskę, nawet jeśli nas nie kochają. W tych przypadkach wrażliwość człowieka prawego idzie o wiele dalej, niż wymaga tego sprawiedliwość i jej legalistyczne wymogi. Z moralnego punktu widzenia można poprzestać na wypełnieniu tychże wymagań, lecz zmysł obowiązku zazwyczaj prowadzi ludzi bardziej prawych do wykraczania ponad nie. Często sytuacje takie mają miejsce w zwyczajnym, codziennym życiu z innymi: w czasie małych sprzeczek, nieporozumień, stykania się z cudzymi nawykami itd., które są nie do ominięcia tam, gdzie istnieją bliskie związki. Jest rzeczą zrozumiałą, że będziemy się częściej sprzeczać z osobami, z którymi żyjemy w większej zażyłości. Lecz także jest logiczne, że te osoby obdarzone zostaną naszą większą troską, że będziemy starać się uczynić ich życie przyjemnym, że zrozumimy, iż poważna część naszego życia polega na służbie im. Pismo Święte mówi: *Kto czci ojca, zyskuje odpuszczenie grzechów, a kto szanuje matkę, jakby skarby gromadził (...). Synu, wspomogaj swojego ojca w starości, nie zasmucaj go w jego życiu. A jeśli by nawet rozum stracił, miej wyrozumiałość, nie pogardzaj nim, choć jesteś w pełni sił. Miłosierdzie względem ojca nie pójdzie w zapomnienie, w miejsce grzechów zamieszka u ciebie (...). Kto porzuca ojca swego, jest jak bluźnierca, a przeklęty przez Pana, kto pobudza do gniewu swą matkę (Syr 3,3-4.12-14.16).*

Obok spełniania obowiązków rodzinnych, osoby prawe charakteryzują się wnikliwym sumieniem społecznym. Z ochotą podejmują powinność przyczyniania się do dobra wspólnego. Ce-

chuje ich bowiem życzliwa troska, która przejawia się w konstruktywnym uczestniczeniu w działaniach, przynoszących korzyść danej społeczności, bez szukania własnych korzyści. Szukają dobra wspólnego, a nie własnego, lub grupy, do której przynależą. Powiązane jest to ze świadomością, że zadania danej społeczności mogą być rozwiązane dzięki wysiłkowi wszystkich i dlatego też należy włączyć się w nie. Przeciwna temu sposobowi myślenia jest mentalność „konika szachowego”, który wymiguje się od swoich obowiązków, mając nadzieję, że inny weźmie je na siebie.

Jeśli ktoś czuje się częścią społeczności, zrozumie, że każdy powinien obarczyć się przypadającą nań częścią obowiązków. Dotyczy to zarówno powinności wobec narodu, jak też wobec grupy przyjaciół. Każdy powinien określić swoje zobowiązania w danej sytuacji, czy będzie chodziło o płacenie podatków czy też zmywanie naczyń po kolacji wśród przyjaciół. Człowiek prawy reaguje spontanicznie, nie dopuszczając do sytuacji, w której ktoś inny musiałby wykonywać prace jemu przypadające. Ta zasada znajduje swoje zastosowanie w niezliczonych przypadkach i na wszystkich poziomach życia wspólnotowego. Dla przykładu: obliczenie, ile ktoś może sobie nałożyć z półmiska, aby wystarczyło dla wszystkich siedzących przy tym samym stole; nakładając sobie pierwszemu, nie brać najlepszej porcji; umieć przewidzieć własne wydatki tak, aby niesprawiedliwie nie obciążać nimi innych; starać się zmniejszyć innym pracę, jaką muszą wykonać, dbając np. o nasze pożywienie, ubrania itd. Również wtedy, kiedy jest się chorym i nie można się obyć bez pomocy innych, lecz trzeba ją zaakceptować z pokorą. Wypada uczynić wysiłek, aby tę ich pracę uczynić bardziej znośną, unikając obciążania ich zbędnymi zajęciami, okazując wdzięczność za drobniaki, umiając zwalczyć własne kaprysy.

Prawość jest cnotą, która prowadzi do rozpoczęcia wielu działań przynoszących korzyść innym. Nieustannie mają miejsce na świecie sytuacje, w których wyrządza się niesprawiedliwość, na

które nie można pozostać obojętnym. Niekiedy mogą to być problemy na wielką skalę i skrajnie skomplikowane, których rozwiązanie znacznie przekracza możliwości jednego człowieka. Byłoby jednak czymś niegodnym nie przejmować się nimi tylko dlatego, że ich rozwiązanie leży poza zasięgiem naszych możliwości. Oczywiście, trzeba poznać własne ograniczenia, lecz także trzeba przeżywać to napięcie dążenia ku temu, aby rzeczywistość przybliżyła się do ideału, aby sprawy stawały się takie, jakie być powinny. I trzeba czuć to zobowiązanie z tym większą siłą, im ów problem jest nam bliższy i łatwiejszy do pokonania. Być może nie będziemy mogli rozwiązać kwestii dotyczących połowy ludzkości, narodu, społeczności, lecz z pewnością możemy zająć się tą, która odnosi się do konkretnej osoby, która dzisiaj – czy też któregokolwiek dnia – przechodzi obok nas. W sprawie każdej winniśmy być gotowi uczynić to, co jest w naszej mocy, choćby to było niewiele.

Również wdzięczność to wartość, która nierozdzielnie łączy się z prawością. Człowiek prawy stara się być wdzięcznym, ponieważ nigdy nie czuje się godnym uwagi i jest zdolny zdać sobie sprawę z rzeczywistej pomocy, jakiej udzieliło i nadal udziela mu tyle osób. Warto kiedyś zastanowić się nad tym, jak koniecznym jest okazywanie wdzięczności, np. własnym rodzicom, którzy przekazali nam nieoceniony dar życia, wychowali nas i ofiarnie troszczyli się o nas przez tyle lat. Trzeba okazać wdzięczność tylu dobrym wychowawcom, którzy – wielokrotnie z autentycznym poświęceniem i osobistym zaangażowaniem – wnieśli wkład w naszą formację. Bywają też dobrodziejstwa, za które, w większości przypadków, trudno jest wynagrodzić, lecz powinny być uznane i winna być okazana za nie wdzięczność. W prawo życia wpisany jest fakt, że dorośli powinni poświęcać się formowaniu młodszych. Stąd też sposobem okazywania naszej wdzięczności będzie przekazywanie otrzymanego dobra tym, którzy idą po nas. W innej zaś perspektywie trzeba być wdzięcznym osobom, które codziennie służą nam w naszej pracy czy w domu, w han-



dlu czy służbach publicznych. Choć będą to czynić z zawodowego obowiązku (jest to przecież praca, za którą otrzymują wynagrodzenie), to winniśmy być za to wdzięczni; nie możemy doprowadzić do tego, by traktowano przejawy solidności i kompetencji jak zwykły towar, który można kupić. Jak wspomnieliśmy już wcześniej, za każdą usługą kryje się człowiek, trzeba więc okazać mu wdzięczność za jego troskę i uczynić, na ile jest to możliwe, jego pracę godną, przyjemniejszą i znośną.

Z drugiej strony prawości towarzyszy zawsze wierność, niezmiennie przyzwyczajenie bycia wiernym podjętym zobowiązaniom. Jednym słowem chodzi tu o to, aby być człowiekiem słownym, zdolnym wypełnić swoje zobowiązania. W pewnych przypadkach będzie chodziło o wypełnienie formalnie wyrażonych zobowiązań, choćby takich jak sprzedaż, umowa, uczyniona obietnica itp. Innym razem pewne ustalenia nie zostaną wyrażone, lecz uważane są za oczywiste. Na przykład gdy spontanicznie zawiąże się przyjaźń między dwoma młodymi ludźmi, to czują się oni wówczas złączeni obowiązkiem wierności, jakkolwiek nie doszło między nimi w tym względzie do żadnej umowy. Każdy będzie uważał za zdradę mówienie źle o swoim przyjacielu lub niewystąpienie w jego obronie, gdy inni będą o nim źle mówić, albo też opowiadanie osobom trzecim o wspólnych sekretach, nieudzielenie pomocy w sytuacji kryzysowej, unikanie jego towarzystwa, bo lepiej czuje się w gronie innych, poczucie wstydu przed grupą znajomych z tego powodu, że jest się czymś przyjacielem. Te wszystkie sytuacje ranią i są skierowane bezpośrednio przeciw wierności, która rodzi się w prawdziwej przyjaźni. Analogicznie rzecz się przedstawia w tym szczególnym rodzaju przyjaźni, jakim jest narzeczeństwo. Przychodzi czas, kiedy oboje czują się złączeni w sposób wyjątkowy i wiedzą, że nie są wolni do tego stopnia, aby nieskrępowanie dzielić swoje uczucia z inną osobą – zaistniała tu bowiem relacja pewnej wyłączności. Owa wyłączność może być potem potwierdzona przez małżeństwo.

Wówczas obopólna zgoda przybiera formę stałą, wyraźną i ostateczną. Oboje obdarzają się w sposób uroczysty tą częścią swojej uczuciowości, która związana jest z życiem małżeńskim, i zostają tą zgodą zobowiązani aż do chwili, kiedy śmierć ich rozdzieli. Od tej chwili już nie należą do siebie i nie mogą w sposób dowolny sobą dysponować. W tym aspekcie zostają zobowiązani do dzielenia swojego życia.

Być człowiekiem słownym to jedno z najlepszych określeń dotyczących ludzkiej godności. Jedyne człowiek jest zdolny rozporządzać sobą, gdyż nie jest podporządkowany konkretnym wydzierżawieniom i może podjąć zobowiązania tam, gdzie angażuje swoją przyszłość.

Cały wachlarz cnót, które do tej pory rozważaliśmy, związany jest z prawością i jej zazwyczaj towarzyszy. Cnoty te czynią człowieka dojrzałym, uszlachetniają go i przygotowują do bycia przyjacielem samego Boga.

## Życ dla innych

Jeśli motorem i celem całego życia moralnego jest miłość Boga, to naturalnym przejawem tego, że miłość ta wzrasta, jest miłość bliźnich: pragnienie służenia im. Św. Jan przypomina: *Jeśliby ktoś mówił: „Miłuję Boga”, a brata swego nienawidził, jest kłamcą, albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, nie może miłować Boga, którego nie widzi. Takie zaś mamy od Niego przykazanie, aby ten, kto miłuje Boga, miłował też i brata swego (1 J 4,20-21)*. Takie właśnie jest podstawowe kryterium życia moralnego. Bóg nie umieścił nas samych na tym świecie, lecz w otoczeniu innych ludzi, z których każdy jest dla nas obrazem Boga. Św. Augustyn tak to komentuje: *Pomyśl, że ty, nie widząc Boga, zasłużysz na kontemplowanie Go, jeśli będziesz miłował bliźniego. Kochając bowiem bliźniego, oczyścisz swój wzrok tak, że twoje oczy będą mogły kontemplować Boga (In Joannis Evangelium Tractatus 124, J 17,7-9)*.

Miłość bliźniego będzie także kryterium, według którego zostaniemy osądzeni. Chrystus tak nam to przedstawia: *Wtedy odezwie się Król do tych po prawej stronie: „Pójdźcie, błogosławieni Ojca mego, weźcie w posiadanie królestwo, przygotowane wam od założenia świata! Bo byłem głodny, a daliście Mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić; byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie; byłem nagi, a przyodzialiście Mnie; byłem chory, a odwiedziliście Mnie; byłem w więzieniu, a przyszliście do Mnie”*. Wówczas zapytają sprawiedliwi: *„Panie, kiedy widzieliśmy Cię głodnym i nakarmiliśmy Ciebie? spragnionym i daliśmy Ci pić? Kiedy widzieliśmy*

Cię przybyszem i przyjęliśmy Cię? lub nagim i przyodzialiśmy Cię? Kiedy widzieliśmy Cię chorym lub w więzieniu i przyszliśmy do Ciebie?” A Król im odpowie: „Zaprawdę, powiadam wam: Wszystko, co czyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25,34-40).

Ukierunkowanie naszego życia na służbę bliźnim jest kluczem życia moralnego: A kto by chciał być pierwszym między wami, niech będzie niewolnikiem wszystkich, mówi Pan (Mk 10,44). Służba jest tym, co najbardziej nobilituje człowieka. W rzeczywistości bowiem nasze życie tu, na ziemi posiada ten jeden sens: służyć innym ludziom. W ten sposób naśladujemy Jezusa, który powiedział: *Ja jestem pośród was jak ten, kto służy* (Łk 22,27) oraz *Syn Człowieczy nie przyszedł, aby Mu służyło, lecz żeby służyć* (Mk 10,45). W tym kierunku powinny podążać wszystkie nasze działania. To jest właśnie ten wielki ideał, który winien być motorem napędowym w życiu każdego chrześcijanina. Zdecydowanie się na służbę posiada też bezpośredni wpływ na życie moralne, jako że wymaga ciągłego zapierania się własnego „ja”, własnej wygody, zmysłowości, egoizmu oraz użycia wszystkich talentów, które się posiada, w służbie innym.

W miarę, jak życie moralne nabiera wolności koniecznej do przewyciężenia nakazów egoizmu, trzeba starać się narzucić naszemu umysłowi to właśnie kryterium postępowania, które jest konkretnym i właściwym przejawem naszej miłości do Boga: *Zapomnij o sobie samym. Niech twoją ambicją będzie jedynie życie dla twoich braci, dla dusz, dla Kościoła, słowem – dla Boga* (Bruzda, n. 630). W bardzo ważnych chwilach naszego życia, kiedy dokonujemy wyboru naszego zawodu i naszej pracy, a także kiedy układamy plan zagospodarowania czasu na dany dzień, podstawowym kryterium, jakie winno nam w tym towarzyszyć, jest kryterium służby.

Taki sposób działania posiada swój urok, który napelnia życie sensem i radością. W gruncie rzeczy, zapomnienie o sobie

samym, o swoich pragnieniach, o swoich słabościach oczyszcza naszego ducha ze wszystkich niewielkich powodów do smutku, które zazwyczaj pojawiają się jako skutki nadmiernej troski o siebie samego. Rodzi się zaś spontaniczna radość, która wypływa jednocześnie z miłości (która jest źródłem wszelkiej radości) i z zapomnienia o sobie samym (które jest powodem prawie wszystkich smutków): *Czy chcesz znać sekret, jak być szczęśliwym? – pyta Założyciel Opus Dei – Oddaj się i służ innym, nie oczekując od nich wdzięczności* (Kuźnia, n. 368). Taki właśnie jest sposób życia na ziemi: oświecenie ideałami możliwymi do zrealizowania. Dlatego też, w miarę zdobywania sił moralnych, kiedy jesteśmy coraz bardziej zdolni kierować sobą samym, za cel naszego życia powinniśmy postawić sobie służenie innym ze wszystkich naszych sił. Lecz jak konkretnie podolać tej służbie? Jak uczynić z tego ideału praktyczny imperatyw?

Pierwszym krokiem będzie wykształcenie postawy otwartej na innych ludzi, szeroko otwartego serca, które nikogo nie wyklucza. Trzeba więc posiadać pozytywny obraz człowieka, z sympatią traktować to, co ludzkie, pielęgnować pozytywne nastawienie, starać się zawsze przyjmować wszystkich dobrym sercem. Fundamentem takiego usposobienia musi być świadomość tego, że wszyscy ludzie są dziećmi Boga, albowiem *jeden jest Bóg i Ojciec wszystkich, który [jest i działa] ponad wszystkimi, przez wszystkich i we wszystkich* (Ef 4,6). Wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami i wśród nas istnieje fundamentalna równość. Stąd też będziemy czynić wysiłki, aby usunąć wszelkiego rodzaju dyskryminację, która opiera się na drugorzędnych różnicach takich, jak rasa, kolor skóry, kultura, praca, pozycja społeczna. Nie będziemy nigdy wynosić się ponad innych ani rościć sobie prawa do poniżania innych. *Dziecko Boże nie może być zwolennikiem jakiejś klasy, ponieważ interesują je problemy wszystkich ludzi. I stara się przyczyniać do ich rozwiązania w duchu sprawiedliwości i miłości naszego Odkupiciela. Już na to zwrócił uwagę Apostoł, kiedy nam napisał,*

że Pan nie ma względów na osoby, czego nie obawiałem się przedłożyć w ten sposób: jest tylko jedna rasa, rasa synów Bożych! (Bruzda, n. 303)

To wszystko domaga się pomocy ze strony Boga i wytrwałości. W naturze każdego człowieka obecna jest tendencja do uważania się za lepszego i poniżania innych. I w wielu przypadkach znajduje to swoje usprawiedliwienie. Widać niekiedy, że ktoś inny jest z jakiegoś powodu gorszy. Być może wywołują naszą pogardę czyjeś zwyczaje, sposób ubierania się, jego stan czy jego sposób mówienia. Bez uświadomienia sobie tego, że – nawet w tych okolicznościach – ten człowiek jest naszym bratem, trudno jest z tym żyć. Należy sobie to uświadomić i zastosować wobec siebie taki przymus, aby przewyciężyć wszelką, największą nawet niechęć. Powinniśmy być zdolni przemienić to w cnotę: umieć dojrzeć dziecko Boże, które jest ukryte pod tym, co jest – lub wydaje się nam, że jest – ludzką słabością. *Powinieneś kochać swoich braci – ludzi, do tego stopnia, żeby nawet ich wady – kiedy nie stanowią obrazy Boga – nie wydały ci się wadami. Jeśli kochasz jedynie cechy dobre, które dostrzegasz u innych, jeśli nie potrafisz zrozumieć, usprawiedliwić i przebaczyć – jesteś egoistą* (Kuźnia, n. 954).

To pozytywne nastawienie wobec każdego człowieka pomoże nam przyjąć zasady postępowania, które pozwolą nam znaleźć się w każdej sytuacji. Będziemy za wszelką cenę starać się unikać poniżania kogokolwiek z jakiegokolwiek powodu – ani słowem, ani też czynem. Doświadczenie pokazuje, że żałujemy zawsze za nasze wybryki, za to, że byliśmy zbyt surowi i że źle o kimś mówiliśmy: że szkodziliśmy komuś słowem lub czynem. Powinniśmy unikać również tendencji do złego osądzania, tak bliskiej przecież ludziom, dając raczej pierwszeństwo wybaczeniu. *Nie bądźmy sędziami. Każdy ocenia wszelkie sprawy z własnego punktu widzenia, według zrozumienia jakże często ograniczonego, a niekiedy jego spojrzenie bywa przyćmione mgłą namiętności* (Droga, n. 451). Powinniśmy być zawsze zdolni do przebaczenia, do darowania,

tym bardziej, jeśli ta osoba przeprasza nas za wyrządzone nam krzywdy. W każdym razie stosujemy się do rady św. Pawła: *Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka pokłasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego; nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma* (1 Kor 13,4-7).

Jeśli chodzi o sposób służenia i wzrastania w duchu służby, trzeba wiedzieć, że istnieją kolejne stopnie służby. Ewangelie cytują zasadę wzajemności, która rządziła stosunkami ludzkimi w klasycznej starożytności: *oko za oko, ząb za ząb*. Jakkolwiek może wydawać się to sprzeczne, chodziło o zasadę umiaru, od której możemy się już czegoś nauczyć, jeśli staramy się nią żyć, choć będzie to tak niewiele w porównaniu z tym, o co Bóg nas prosi. Ta zasada stawała na przeszkodzie nadmiernym zemstom: jeśli wybito mi jeden ząb to i ja wybiję jeden, i tylko jeden. Prawo to domagało się istnienia proporcji pomiędzy złem zaznanym, a wyrządzonym. W praktyce nie jest to takie łatwe, ponieważ kiedy doznamy czegoś, co wydaje się nam obrażą, to miłość własna w miarę myślenia wyolbrzymia to. I być może to, co stanowiło nieświadomie uczynioną uwagę ze strony drugiego człowieka, urasta do rangi nieprzebaczalnej zniewagi. A kiedy pojawia się sposobność do odegrania się, miłość własna prowadzi do obrazy w dwójnasób tego, kto nas uraził.

W rzeczywistości chodzi tu jednak o godny politowania sposób współżycia z innymi ludźmi. Pan koryguje to: *Słyszeliście, że powiedziano: „Oko za oko i ząb za ząb!” A Ja wam powiadam: Nie stawiajcie oporu złemu: lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi! (...) Słyszeliście, że powiedziano: „Będziesz miłował swego bliźniego”, a nieprzyjaciela swego będziesz nienawidził. A Ja wam powiadam: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują; tak będziecie synami Ojca*

waszego, który jest w niebie; ponieważ On sprawia, że słońce Jego wschodzi nad złymi i nad dobrymi, i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Jeśli bowiem miłujecie tych, którzy was miłują, cóż za nagrodę mieć będziecie? (...) Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski (Mt 5,38-48). Miłość Boża pozwala wznieść się, w pewnych przypadkach, ponad to, czego domaga się zwykła sprawiedliwość.

Istnieje też inny stopień służby. Jest nim miłość bliźniego, o którą Bóg prosił swój lud. Zawarta jest w drugim przykazaniu Prawa, zaraz po przykazaniu miłości Boga ponad wszystko: *będziesz miłować bliźniego jak siebie samego* (Kpł 19,18; por. Mk 12, 31). Ta wielka zasada, dająca szerokie spojrzenie, jest jednocześnie bardzo praktyczna, gdyż posiada natychmiastowe zastosowanie dydaktyczne: *Wszystko więc, co byście chcieli, żeby wam ludzie czynili, i wy im czyńcie! Albowiem na tym polega Prawo i Prorocy* (Mt 7,12).

Wraz z przykazaniem otrzymujemy również wskazówki, jak je wypełniać: należy zwracać uwagę na to, co nam się przydarza. A jest to bardzo praktyczna rada, gdyż jakże czuli jesteśmy na to, co odnosi się do nas samych! W ten sposób, gdy coś sprawia nam przyjemność lub też nas denerwuje, to zamiast czynić z tego przyczynę rozmyślań o sobie samym, winniśmy wysnuć następujący wniosek: w pierwszym przypadku starać się zawsze czynić to innym, a w drugim – unikać tego. Własne doświadczenie zamienia się w przestrzeń, na której uczymy się tego, jak powinniśmy postępować wobec innych ludzi.

Z własnego życia wiemy, że wielką wartość mają wszelkie oznaki życzliwości, bezinteresownej pomocy, sympatii, zainteresowania naszymi troskami. Wiemy, jak bardzo pomaga świadomość, że jest się kochanym, kiedy okazywane jest nam zainteresowanie, gdy słucha się tego, co mówimy. Wiemy również, jak zasmuca lekceważenie, podejrzliwość, nierozważne sądy, obojętność... Poznanie naszego wewnętrznego świata, tego, co nas



zachwyca i co nas przygnębia, co nas cieszy i co nas smuci, co nam pomaga i co komplikuje życie, daje nam mądrość niezbędną w relacjach z innymi ludźmi.

Wiele razy chodzi zwyczajnie o to, aby postawić się w sytuacji drugiej osoby po to, aby pomyśleć, co uczynilibyśmy na jej miejscu, by móc ją lepiej zrozumieć i lepiej jej pomóc. Mamy tu więc do czynienia z praktyką, którą winniśmy często powtarzać, gdyż zrozumienie bywa zazwyczaj najlepszą formą miłości. Niekiedy nam ludziom nie chodzi o rozwiązanie naszych problemów – w niektórych przypadkach są one nie do rozwiązania – lecz potrzebujemy zrozumienia, potrzebujemy świadomości, że ktoś nas rozumie i choćby czynił to w sposób nieudolny, że uczestniczy w tym, co nas trapi.

Postawienie się w sytuacji drugiego człowieka jest także kluczem do praktykowania miłosierdzia. Być miłosiernym to znaczy umieć wzruszyć się wobec cudzego nieszczęścia; postawa ta zakłada minimum ludzkiej wrażliwości. Tylko wtedy, gdy jesteśmy zdolni do postawienia się w sytuacji drugich, dostrzeżemy co znaczy cierpieć. Nasze serce musi zareagować na ból, smutek, opuszczenie i wszelkie inne formy ludzkiej biedy: *Bądźcie miłosierni, jak Ojciec wasz jest miłosierny*, prosi nas Pan (Łk 6,36). Miłosierdzie jest bowiem przejawem tego, iż posiadamy serce, któremu nieobca jest miłość Boga: *Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią* (Mt 5,7).

Postępując według tych zasad, nasz duch służby będzie otwarty na wszystkich ludzi. Tym niemniej nie będzie to skuteczne, jeśli tego nie skonkretyzujemy. To dobrze, jeśli ktoś posiada ducha altruizmu, lecz od nas wymaga się miłości bliźniego jak siebie samego. A „bliźni” oznacza to samo co „bliski”. Oznacza to, że powinniśmy zacząć od tych, których mamy najbliżej. Obowiązek służenia i kochania bliźniego jest tym większy, im ów bliźni jest nam bliższy. Pozwala to ustanowić praktyczny porządek w miłości, który nie jest absolutnie wymówką przed kochaniem

wszystkich, lecz sposobem, dzięki któremu nasza miłość staje się konkretna.

Kim są ludzie nam najbliżsi? Oczywiście, najpierw ci, którzy dzielą swoje życie razem z naszym: nasza rodzina. Na nic zda się nasza miłość do ludzkości, jeśli nie będziemy zdolni kochać – co jest równoznaczne ze służyć – tych, którzy zawsze są obok nas. A kochać oznacza dać się właśnie tu: *Kochać oznacza... żywić jedynie mądrą myśl, żyć dla osoby ukochanej, nie należeć do siebie, być podległym szczęśliwie i w sposób wolny, duszą i sercem, cudzej woli... i równocześnie własnej* (Bruzda, n. 797). Nie trzeba brać pod uwagę tylko tych okoliczności, w których miłość wypływa w sposób spontaniczny: między młodymi małżonkami, wobec małych dzieci itd., ale również wtedy, gdy „nic się nie czuje”. Potwierdzeniem i prawem miłości jest ofiara. Wiemy, że kochamy kogoś naprawdę, jeśli jesteśmy zdolni poświęcić się dla niego, służąc mu, pomagając, czyniąc mu życie przyjemniejszym, choć nie otrzymamy za to żadnego wynagrodzenia. W rodzinie wielokrotnie trzeba służyć z miłości osobom, które same z siebie na to nie zasługują albo też nie są zdolne odwdziżyć się nam za to: dzieci, chorzy, osoby starsze... Trzeba również kochać i służyć, kiedy ktoś bliski przeżywa trudny moment, i być może – mogąc odwdziżyć się – nie czyni tego, a nawet odpowiada złym traktowaniem. Poświęcenie się jest paliwem, które trzeba spalić, aby dom nappełnił się ciepłem. A wówczas, gdy miłość pochodzi od Boga, to nie tylko nie czyni ona tej osoby nieszczęśliwą, lecz nappełnia ją szczęściem.

Dalej, powinniśmy kochać naszych przyjaciół, tych, którzy dzielą się z nami swoją intymnością, swoimi żałami i radościami. A także te osoby, z którymi utrzymujemy jakieś kontakty. Tym bardziej jesteśmy zobowiązani do kochania ich i pomagania im – służenia im – im bliżej nas się znajdują: sąsiedzi, koledzy z pracy itd.

Wreszcie winniśmy kochać i służyć tym, których w jakichkolwiek okolicznościach napotyamy na drodze naszego życia.

Chrystus Pan, gdy pewien uczoney w Prawie zapytał o to, kto jest moim bliźnim, opowiedział przypowieść o dobrym Samarytaninie. Ów Samarytanin, który będąc w podróży natknął się na Żyda, którego napadli zbójcy i zranili go, pomimo różnic, jakie istniały wówczas między Żydami a Samarytanami, opatrzył go, podniósł i zabrał tam, gdzie mogli udzielić mu pomocy. Dla tego Samarytanina spotkanie to było całkiem przypadkowe, lecz w owej chwili tamten Żyd był dla niego bliźnim: tym, kogo powinien kochać, służyć mu i troszczyć się o niego. To samo przydarza się i nam w ciągu naszego życia: spotykamy ludzi, którzy obok nas przechodzą i oczekują naszej pomocy. Każdy z nich w danym momencie będzie naszym bliźnim.

Wymaga to jednak od nas pewnej wrażliwości, aby zauważyć, kto potrzebuje naszej pomocy, zaczynając od osób nam najbliższych. Zbliżenie się do cierpienia, choroby, nędzy, samotności jest zawsze dobrym doświadczeniem, pozwalającym głębiej przemyśleć nasze własne życie. Prowadzi nas do bycia bardziej umiarkowanymi, do większej bezinteresowności, do większego doceniania darów, które otrzymaliśmy od Boga, i do poczucia odpowiedzialności za ich wykorzystanie. Jest to wielkie antidotum na wszelki egoizm i lekkomyślność.

Pragnienie służby drugiemu człowiekowi prowadzi nas do wyzbycia się obojętności wobec tych, którzy żyją wokół nas. Oczywiście nie mamy możliwości, aby wszystkim okazać skuteczną pomoc, gdyż w świecie żyją miliony ludzi, a nasze życie jest krótkie. Możemy jednak okazywać naszą życzliwość tym, którzy w danej chwili są naszymi bliźnimi. A wobec tych ludzi, którzy się o nas ocierają – wiele tysięcy na przestrzeni całego naszego życia – będziemy się starać praktykować przynajmniej cnoty społeczne, które czynią życie przyjemniejszym. We wszystkich kulturach istnieją zasady postępowania i dobrego wychowania, które są owocem wiekowych doświadczeń i sposobem wyrażenia naszego szacunku i poważania wobec innych. Naprawdę warto je po-

znać i stosować. Na przykład drobiazgiem, pełnym sympatii i świadczącym o dobrym wychowaniu, jest ustąpienie miejsca w autobusie osobie starszej lub chorej, czy też matce z małym dzieckiem. Okazujemy swoją miłość innym także i wtedy, gdy jesteśmy uprzejmi, gdy grzecznie o coś prosimy i gdy wyrażamy wdzięczność za drobne oznaki szacunku, jakich doznajemy w sklepie lub innych miejscach.

Takie usposobienie czyni przyjemniejszym życie tych, którzy się z nami stykają. Klucz do tego tkwi w zdolności dojrzania w każdym człowieku dziecka Bożego, równego nam, którego trzeba tak samo szanować, rozumieć, kochać i przebaczać mu. Dlatego polecamy ci jedno krótkie zdanie – mówi św. Augustyn – *Kochaj i czyń, co chcesz! Gdy milczysz, milcz z miłością; gdy mówisz, mów z miłości; gdy karcisz, karć z miłości; gdy przebaczasz, przebaczaj z miłości. Niechaj tkwi w sercu korzeń miłości; wyrośnie z niego tylko dobro* (Św. Augustyn, Homilie na ewangelie i pierwszy list św. Jana. Część druga, w: Pisma starochrześcijańskich pisarzy, Warszawa 1977, t. II, s. 461).

## Praca

Życie ludzkie posiada czas ograniczony. Człowiek rodzi się, wzrasta, dojrzewa, wydaje owoce i kończy się. Na przestrzeni życia dokonuje się to, czym człowiek jest i czym może być. A w końcu kiedy przychodzi chwila, by stanąć przed Bogiem, każdy człowiek przynosi ze sobą swoją historię, którą pisał każdego dnia, bogatą lub biedną.

My, chrześcijanie, żyjemy tą nadzieją, że Bóg będzie czytał z radością historię naszego życia; że znajdzie w niej wiele momentów, w których staraliśmy się Go kochać i służyć bliźnim; że będzie ona dla Niego słusznym powodem do dumy jako Ojca, który z życzliwością spogląda na dzieła swoich dzieci starających się Mu podobać. To wszystko pośród tak wielu ograniczeń i błędów – grzechów, które towarzyszą naszemu życiu.

Historia jest czasem chrześcijańskim. Historia, która nie tylko zostaje w sposób niedoskonały zebrana w traktaty (mogące zajmować się jedynie niektórymi, bardziej znaczącymi wydarzeniami, zazwyczaj nie dotyczącymi zwykłych ludzi), lecz zapisuje się na wieki w oczach Boga i całej ludzkości, a pewnego dnia będziemy mogli poznać pełną jej prawdę. Takie spojrzenie winno towarzyszyć naszemu codziennemu działaniu i uczynić nas odpowiedzialnymi już teraz za wydanie owoców, za wykorzystanie czasu.

Nasza kultura prowadzi wielu ludzi do wyrobienia w sobie nawyku dobrego wykorzystania czasu. Usiłują pomnożyć swoje działania, pracując wiele i podejmując mnóstwo dodatkowych zajęć: zajmują się muzyką, gimnastyką, uprawiają sport, rozwija-

ją zdolności majsterkowania i inne zamiłowania artystyczne, wiedzę o sztuce itd. To ci, których moglibyśmy nazwać „aktywistami”. Jednych dopinguje do tego konieczność uzyskania niezbędnych środków do życia; innych ambicja w dążeniu do zaszczytów i bogactwa; jeszcze innych po prostu pasja; a są też i tacy, którzy czynią to ze względu na pragnienie stania się ludźmi doskonałymi i bardzo dobrymi...

Na przeciwległym biegunie napotkamy tych, którzy działają w sposób rutynowy. Wydaje się im, że już nic więcej od życia nie uzyskają, albo że osiągnięcie czegoś wymagałoby zbyt dużego wysiłku. W minimalnym stopniu oddają się pracy i unikają wszystkiego, co jest uciążliwe lub co powoduje zmęczenie. Uwielbiają swój wolny czas, chociaż nie mają pomysłów, jak go wykorzystać i często się nudzą. Przyzwyczajeni są do uciekania od rzeczywistości i choć wiele razy krytykują ją niemiłosiernie, to prawie zawsze bez żadnego zamiaru poprawiania jej.

Jednym brakuje czasu na przekraczającą ich możliwości działalność, inni zaś nie wiedzą, co zrobić z czasem, który mają do dyspozycji. Obie te skrajności charakteryzują życie i aktywność większości ludzi. Wszystkim zaś trzeba przypomnieć tę oczywistą prawdę, o której nie zawsze pamiętamy; *Czas tego życia nie jest niczym innym* – zauważa św. Augustyn – *jak tylko zdążaniem ku śmierci* (O Państwie Bożym, 13, w: op. cit., s. 89). W świetle tej prawdy, dobrze przemyślanej, można zastanawiać się, przy całym odniesieniu egzystencjalnym, nad pytaniem o sens życia. Dla jednych będzie to pytanie o sens owej szalonej działalności, którą trzeba będzie zakończyć; dla innych pytanie o ową rozrzutność w marnotrawieniu czasu, kiedy tyle jest do zrobienia dla dobra innych. *Naucz nas [Panie] liczyć dni nasze, abyśmy osiągnęli mądrość serca* (Ps 90,12).

Większość czasu i energii człowiek dorosły przeznaczają na swoją pracę zawodową. Jest to rzeczywistość wzniosła, zamierzona przez Boga. Od początku Bóg stworzył człowieka, aby pra-

cował (por. Rdz 2,15). Praca jest pierwszym powołaniem człowieka, jest błogosławieństwem Bożym i żałośnie myślą ci, którzy uważają ją za karę. Bóg, najlepszy ze wszystkich ojców, umieścił pierwszego człowieka w raju, „ut operatur” – aby pracował (Bruzda, n. 482). To prawda, że ta rzeczywistość, na skutek grzechu, stała się uciążliwa – w pocie więc oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie (Rdz 3,19) – lecz dalej jest wzniosła.

Praca jest działaniem, dzięki któremu zdobywamy fundusze na nasze utrzymanie; stanowi rodzaj naszego wkładu w życie społeczne i jest podstawową służbą, którą czynimy innym ludziom. W pracy ukazuje się cała nasza osobowość i w niej dojrzewa. Praca zmusza nas niejako do rozwijania cnót, mianowicie: przewycięzamy lenistwo, przyzwyczajamy się do koncentrowania naszej uwagi, zobowiązujemy się do posłuszeństwa innym, rozwijamy nasze zdolności, formujemy nasz zawód i nasze człowieczeństwo itd. Ponadto praca jest wielkim węzłem stosunków społecznych. Dzięki niej wchodzimy w społeczność i zazwyczaj jest ona okazją do zawiązywania naszych przyjaźni.

Te wszystkie naturalne cechy zostają jednak uwznioślone poprzez chrześcijański sens pracy. Dla chrześcijanina praca jest okazją do miłowania Boga, do służenia bliźniemu i do współpracowania w Bożym dziele stworzenia i odkupienia świata.

Po pierwsze, jest okazją do miłowania Boga, gdyż powinniśmy umieć odnaleźć Go wszędzie, tym bardziej więc w działaniu, na które poświęcamy większość naszego życia. Po drugie, jest okazją do służenia bliźniemu, ponieważ celem każdej pracy jest podjęcie jakiejś służby. Po trzecie, jest współpracą w dziele stworzenia, gdyż Bóg zechciał uczynić człowieka swoim współpracownikiem wówczas, gdy zlecił mu panowanie nad ziemią (Rdz 1,28) i dogłądanie jej (Rdz 2,15). Współpracujemy również w dziele odkupienia, ponieważ z tej racji, że wypełnianie naszych obowiązków często sprawia nam wiele trudu, możemy przyłączyć się do cierpień Chrystusa, dopełniając – jak mówi św. Paweł – braki

udręk Chrystusa dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół (Kol 1,24). W ten sposób realizujemy Boże zamiary odnośnie do wszystkich rzeczy: Bo stworzenie z upragnieniem oczekuje objawienia się synów Bożych. Stworzenie bowiem zostało poddane marności – nie z własnej chęci, ale ze względu na Tego, który je poddał – w nadziei, że również i ono zostanie wyzwolone z niewoli zepsucia, by uczestniczyć w wolności i chwale dzieci Bożych (Rz 8,19-21).

Ten chrześcijański sens pracy należy uobecnić w wykonywaniu naszych czynności, aby właściwie ukierunkować nasze działanie i ustrzec się zarówno przed próżnym aktywizmem, jak również marnotrawstwem i stratą czasu. W większości przypadków chodzi o nowe podejście do tego, co już się robi. To odkrycie jest jak snop światła, które może zmienić barwy naszego życia.

Odkrycie i umiłowanie Boga w pracy jest wysiłkiem, polegającym na uświadamianiu sobie Jego obecności w konkretnych warunkach naszego życia zawodowego. Jak już wspomnieliśmy, omawiając temat Bożej obecności, pomocne może się tu okazać ofiarowanie jej Bogu przed przystąpieniem do niej i po zakończeniu; odkrycie sposobu przypominania sobie o Bożej obecności, np. wznoszenie serca ku Bogu poprzez krótkie modlitwy prośby i dziękczynienia: akty strzeliste. Jeśli jest ku temu sposobność, może służyć w tym celu również umieszczenie przed naszymi oczami krzyża lub obrazka Matki Bożej. Sposób jest bardzo stary: poleca go nam, już na początku V wieku, św. Jan Chryzostom: *Kobieta, zajęta w kuchni lub przy szyciu, zawsze może wznosić swoją myśl ku niebu i żarliwie wzywać Pana. Ktoś, kto udaje się na targ lub podróżuje samemu, z łatwością może modlić się w skupieniu. Ktoś inny, kto zajęty jest w swojej piwnicy win zszywaniem bukłaków, wolny jest, aby skierować wzrok swojej duszy ku Mistrzowi. Sługa, jeśli nie może udać się do kościoła, ponieważ ma iść zrobić zakupy lub zajęty jest czymś innym, np. w kuchni, zawsze może modlić się z uwagą i zapalem. Żadne miejsce nie jest niestosowne dla Boga (Homilia o prorokini Annie).*



W przypadku pracy intelektualnej może okazać się trudniejszym wypełnienie jej obecnością Boga. Trzeba więc podjąć trud, aby chrześcijańska mentalność wycisnęła na niej swoje piętno: czy jesteśmy adwokatami, politykami, nauczycielami czy dziennikarzami, profesorami, pisarzami, naukowcami itd. Praca nasza posiada swój charakter intelektualny, który winniśmy dobrze poznać po to, aby móc nasycić nasze działanie sensem chrześcijańskiej nauki. Nasza odpowiedzialność na tym polu jest duża, a naszego chrześcijaństwa nie możemy ograniczać do wykonywania pewnych praktyk pobożnościowych, lecz poprzez lekturę i studium będziemy dążyć do chrześcijańskiego przeżywania samego sedna naszego działania: *Poprzez swoją pracę zawodową, wykonaną z możliwą perfekcją nadprzyrodzoną i ludzką, możesz – i musisz! – wprowadzać zasady chrześcijańskie wszędzie tam, gdzie wykonywać będziesz swój zawód bądź funkcje* (Kuźnia, n. 713).

Z drugiej strony powinniśmy widzieć w pracy okazję sprzyjającą słuźeniu. Większość z naszych działań jest bezpośrednią słuźbą na rzecz innych i tak również winniśmy to przeżywać, nawet wówczas, gdy odmiennie rozumie to ten, kto nam płaci. To prawda, że często musimy pracować po to, aby zarobić na utrzymanie siebie i tych, którzy są od nas zależni. Lecz nasza praca to nie kilka godzin, które komuś sprzedajemy. Niezależnie od aspektu ekonomicznego praca jest ludzkim działaniem, to znaczy działaniem człowieka, który słuźy innym ludziom. Ten duch słuźby uwzniośli naszą pracę i nada jej nowe znaczenie. Tak więc handlowiec nie jest po prostu człowiekiem, który „sprzedaje” produkt, lecz wypełnia „słuźbę” dla innych ludzi. To samo dzieje się z robotnikiem, który pracuje na linii produkcyjnej: nie „przykręca jedynie śrubek”, lecz „słuźy” ludziom, którzy nabędą dany produkt.

Sens słuźby w pracy jest istotny, zwłaszcza w przypadku obowiązków publicznych. Podstawowym kryterium uczciwości w wypełnianiu funkcji publicznej jest słuźenie dobru wspólnemu. Można to czynić zarówno przyjmując interesantów w okienku,

jak i zarządzając jakimś odcinkiem życia społecznego. Osoby publiczne muszą napęlić się duchem służby, który nadaje moc ich działaniu. Jeśli tak się nie dzieje, to wówczas bardzo trudno nie dać się ponieść fali zaszczytów, która ukierunkowuje wszystkie nasze działania na szukanie awansu. Albo też przez uwodzenie mamony, która wydaje się być tak bardzo kusząca i łatwa do zdobycia, przychodząc często drogami mało uczciwymi. Funkcja publiczna jest wielką okazją do służenia i rozwiązywania licznych i trudnych problemów, które trapią całe społeczności. Jest czymś bardzo istotnym, aby tym nastawieniem do służby innym kierowali się ci, którzy znaleźli się w momencie decydowania o swojej przyszłości zawodowej. Podczas gdy przez wieki większość ludzi już od swojego urodzenia była przeznaczona do wykonywania określonego zawodu i inni – ich rodzina, pan, społeczność, naród – decydowali za nich o tym, jaką czynność będą wykonywać, to dzisiaj znaczna większość społeczeństwa ma w swoich rękach – ogólnie rzecz biorąc – możliwość decydowania o swojej przyszłości. Należą do nich również uczniowie, a przynajmniej ich większość (bo część z nich wydaje się być wciąż uzależniona od warunków rodzinnych lub środków ekonomicznych). Mamy tutaj do czynienia z sytuacją uprzywilejowania, choć uczeń zwykle nie zdaje sobie z tego sprawy, z racji właściwej dla tego wieku braku dalekowzroczności. Bo przecież jest przywilejem możliwość rozkoszowania się przez kilka lat – niekiedy wiele – działalnością tak przyjemną, jak zdobywanie wiedzy, często z bardzo wygodnym rozkładem zajęć i dużą ilością wakacji. Lecz przede wszystkim wielkim przywilejem jest możliwość, do pewnego stopnia, wyboru własnej przyszłości. Jakże ważne jest posiadanie wówczas jasnej wizji tego, że sensem naszego działania w świecie ma być służba!

Ludzie młodzi żyją w sytuacji niepowtarzalnej, mając w rękach swoje życie, bez żadnych prawie powinności i zobowiązań, posiadając świeże jeszcze ideały i życie moralne nieskażone jesz-

cze poważnymi komplikacjami. Jakże ważne jest wówczas spojrzenie na sprawy w szerokim świetle, z wielkodusznością! A dla chrześcijanina jest to obowiązkiem: jeśli patrzy się na rzeczywistość z całą radykalnością, to może to nadać życiu bardzo owocny kierunek.

Duch służby rozjaśnia także powinność uczenia się. Uczeń jest człowiekiem, który posiada korzystne warunki do zdobywania wiedzy. Jego rodzina i społeczeństwo (które przyjmuje na siebie większą część kosztów nauki) utrzymują go, aby mógł się uczyć. A od zaangażowania i powagi, z jakimi podchodzi do nauki, zależy będzie jego późniejsza służba. Podejmowany wysiłek jest ważny nie tylko ze względu na zdobycie wiedzy, lecz również dlatego, że wkład włożony w studiowanie wytwarza pewne nawyki pracy, które pozwolą potem skutecznie służyć. Niewielki bowiem pożytek z człowieka, który ma wiedzę, a brak mu większych chęci i nawyków jej zastosowania.

Większość ludzi nie posiada jednak tego przywileju uczniów, polegającego na dysponowaniu swoim życiem: jedni nie mieli go nigdy; inni stracili go przez dobrowolnie podjęte zobowiązania (rodzina, umowa o pracę) lub przez warunki, jakie stawia życie (powinności ekonomiczne, zdrowotne itd.). Większość wykonuje bowiem normalną, zwyczajną pracę, bez szczególnej doniosłości czy znaczenia: jedni są zadowoleni, drudzy przyzwyczaili się, ale są i tacy, którzy pracują niechętnie lub też czują się źle na swoim stanowisku. Bardzo ważne jest, aby w tych okolicznościach, zwyczajnych i mało atrakcyjnych, odkryć chrześcijański sens pracy.

Bóg, który nie ma względu na osoby, nie patrzy na sprawy ludzkie tak, jak my je widzimy, i docenia każde działanie, które my, ludzie, podejmujemy: *W oczach Bożych żadne zajęcie samo z siebie nie jest ani wielkie, ani małe. Wszystkim nadaje wartość dopiero miłość, z którą się je wykonuje* (Bruzda, n. 487). Rzeczywiście, ludzie najbliżsi Bogu nie dokonywali dzieł o wielkim splendorze. Św. Józef był cieślą; Najświętsza Maryja Panna spędziła

swoje życie w mało znaczącej wiosce izraelskiej, wykonując zwykłe prace domowe; a i Jezus pracował przez trzydzieści lat – większość swojego życia na ziemi – wykonując ręczną pracę: znany był bowiem jako cieśla, syn Maryi (Mk 6,3).

Stąd też nie jest chrześcijańskim zwyczajem pomniejszanie wartości jakiegokolwiek pracy, nawet tej najprostszej. Wszystkie dają okazję do służenia innym i do odnalezienia Boga. Ten chrześcijański sens pracy – wyrażający się w powołaniu do świętości – nadaje wszystkim zajęciom godność i urok: *Piszesz do mnie w kuchni, przy piecu. Zaczyna się zmiersch. Robi się chłodno. U twojego boku mała siostra – ta, która ostatnia odkryła „boskie szaleństwo” dogłębnego życia swoim powołaniem chrześcijańskim – obiera kartofle. Pozornie – myślisz – jej praca jest taka sama jak dawniej. Ale jest bardzo wielka różnica! – To prawda: dawniej „tylko” obierała kartofle; teraz się uświęca, obierając kartofle* (Bruzda, n. 498).

Każdą pracę możemy ofiarować Bogu. Musi być jednak dobrze wykonana. Bogu nie można złożyć ofiary Kaina, który kładł na Bożym ołtarzu złe owoce ze swoich pól: byłoby to obrazą, a nie darem. Jeśli chcemy, aby nasza praca nabrała chrześcijańskiego wymiaru, trzeba czynić ją dobrze.

Na pierwszym miejscu wymagana jest zawodowa praktyka i kompetencja. Jeśli mamy ofiarować Bogu nasze dzieła i przez nie służyć innym, trzeba wykonywać je z całą możliwą doskonałością. Dlatego też będziemy się starać zebrać wszystkie potrzebne wiadomości teoretyczne i mądrze wykorzystamy posiadane już doświadczenie, zawsze pragnąc czynić wszystko najdoskonalej.

Następnie konieczne jest praktykowanie całej serii cnót, które czynią pracę skuteczną. Pierwsza z nich wymaga, aby czynić to, co do nas należy: punktualnie, bez odkładania na potem tego, co nam się nie podoba, ani nie dając pierwszeństwa temu, co nam odpowiada: tworzy się wówczas nieporządek sprawiający, że nigdy nie możemy znaleźć czasu na wykonanie czynności, do których potrzebne jest pewne wyrzeczenie się. Zawsze trzeba zaczy-

nać od rzeczy najważniejszych i nie pozwolić sobie na opieszałość. Najbardziej efektywny czas trzeba więc poświęcić na rzeczy istotne, a czas, który zostanie, na rzeczy marginalne.

Dalej wymagane jest skupienie uwagi – po prostu zaangażowanie się całym sobą, a przez to uniknięcie zajmowania się wieloma rzeczami naraz, co często staje się początkiem wielu błędów. Wypada rozpocząć i zakończyć jedną sprawę, zanim się przejdzie do następnej. Takie podejście zapewnia umysłowi odpoczynek, nie trzeba bowiem zaprzętać uwagi nieskończoną ilością nierozstrzygniętych spraw. Nie możemy pozwolić sobie na opuszczenie danej pracy tylko dlatego, że zaczęliśmy się nudzić. Trzeba dobrać do końca i zapiąć wszystko na ostatni guzik, co czyni wykonywaną pracę doskonałą.

Wypada również wypełniać dane zajęcie w pewnym porządku, gdyż przystępując do wykonywania zadań w taki sposób, stworzymy w sobie stałe nawyki, a wtedy praca stanie się łatwiejsza i efektywniejsza. Porządek jest jednym z kluczy do dobrze wykonanej pracy. Potrzebujemy go zarówno w momencie planowania naszego działania czy dnia, jak też w sposobie rozmieszczania naszych rzeczy. Porządek ducha wymaga również zewnętrznego ładunku i w nim wyraża się: każda rzecz ma swoje miejsce.

Jeśli to wszystko czynimy z miłości do Boga, to przemienimy naszą pracę w spotkanie z Nim.

CZĘŚĆ II

# TAJEMNICE

## Utożsamienie się z Chrystusem

W części pierwszej zajmowaliśmy się zagadnieniami, które wymagały od nas wysiłku: część życia ascetycznego opiera się bowiem na naszym trudzie przybliżania się krok za krokiem do Bożej miłości. Aby móc postawić te kroki prosiliśmy Boga o pomoc. Niewątpliwie postęp lub jego brak w takich kwestiach, jak męstwo, wyrzeczenie się, czystość, duch służby itd. w dużym stopniu zależy od naszej inicjatywy.

Mimo to w zasadniczych sprawach życia chrześcijańskiego inicjatywa pochodzi całkowicie od Boga. Bóg w sposób nieskrępowany działa w duszy, która jednocześnie stara się być coraz wierniejszą. Boże działanie nadaje specjalny, tajemniczy wymiar tym zagadnieniom ascetyki, które poruszamy w kolejnych rozdziałach. Stąd też nie będziemy już mogli przedstawiać ich w sposób tak jasny, gdyż tajemnice Boże są dla nas niezrozumiałe. Aby je ukazać, Bóg sam zechciał posłużyć się pięknymi obrazami, za pomocą których objawia się – i zarazem ukrywa. Rzeczą najważniejszą jednak nie jest dotarcie do ścisłego ich zrozumienia, lecz życie nimi. My, ludzie jesteśmy jedynie zdolni do doskonałego poznania rzeczy bardzo prostych. Natomiast to, co najważniejsze, a więc najgłębsze prawa natury, zawilości życia, tajniki ducha jawią się nam pod postacią tajemnicy. To samo, choć w nieporównywalnie większym stopniu, dotyczy spraw odnoszących się do Boga. Oczywiście można żyć nimi w sposób głęboki nawet wówczas, gdy nie dysponuje się wielką wiedzą, ponieważ są to rzeczywistości, które w życiu duchowym pojawiają się spontanicznie, z Bożej inicjatywy.

Jedna z nich – najważniejsza i najpiękniejsza – polega na tym, że człowiek, który zbliża się do Boga, staje się coraz bardziej podobny do Chrystusa, aż po utożsamienie się z Nim. Tajemnica ta została objawiona w Piśmie Świętym za pomocą przepięknych obrazów.

Opowiada św. Jan, że kiedy Jezus szedł ze swoimi uczniami do Jerozolimy, przechodzili przez Samarię. Jezus zmęczony drogą siedział sobie przy studni. Było to około szóstej godziny (J 4, 6). Nadeszła wówczas pewna Samarytanka, aby napełnić wodą swój dzban i rozegrała się wtedy urzekająca scena, w czasie której Chrystus sprawia nawrócenie owej kobiety. Zwróćmy uwagę na owe tajemnicze słowa, które Pan do niej kieruje: *Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody wytryskującej ku życiu wiecznemu* (J 4, 14). Cóż to za tajemnicza woda, która staje się tym wewnętrznym źródłem?

Fragment ten podobny jest do rozmowy Chrystusa z Nikodemem, owym ważnym faryzeuszem, który przyszedł nocą, aby Go zobaczyć (por. J 3, 1 n). Pan przestrzega go, że *jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do królestwa Bożego* (J 3, 5). Na ten sam związek pomiędzy wodą i Duchem Świętym zwraca uwagę św. Jan Chrzciel, mówiąc do tych, którzy przyszli prosić go o chrzest: *Ja was chrzczę wodą dla nawrócenia; lecz Ten, który idzie za mną, mocniejszy jest ode mnie; nie jestem godzien nosić Mu sandałów. On was chrzcić będzie Duchem Świętym i ogniem* (Mt 3, 11). Zostało bowiem objawione św. Janowi Chrzcielowi, że to Chrystus jest Tym, który chrzci Duchem Świętym (J 1, 33).

Tajemnica wody i Ducha Świętego zostaje wyjaśniona ostatecznie w Jerozolimie, w ostatni dzień Święta Namiotów, w czasie którego dokonywano w świątyni pewnych rytów przy użyciu wody, dla upamiętnienia przejścia Izraela przez pustynię i dla uproszenia deszczu: *W ostatnim zaś, najbardziej uroczystym dniu święta, Jezus stojąc zawołał donośnym głosem: „Jeśli ktoś jest spr-*



gniony, a wierzy we Mnie – niech przyjdzie do Mnie i pije! Jak rzekło Pismo: Strumienie wody żywej popłyną z jego wnętrza” (J 7, 37-38). Zaraz też Ewangelista wyjaśnia tę tajemnicę, dodając: A powiedział to o Duchu, którego mieli otrzymać wierzący w Niego (J 7,39).

Duch Święty jest więc owym wewnętrznym źródłem wody, która wypływa z głębi duszy wówczas, kiedy obmyją nas wody chrztu świętego. Ta wewnętrzna obecność Ducha Świętego nadaje chrześcijaninowi niespotykaną godność. Św. Paweł nie waha się tego podkreślić: Czyż nie wiecie, żeście świątynią Boga i że Duch Boży mieszka w was? (1 Kor 3, 16); My jesteśmy świątynią Boga żywego (2 Kor 6, 16); Czyż nie wiecie, że ciało wasze jest świątynią Ducha Świętego, który w was jest, a którego macie od Boga, i że już nie należycie do samych siebie? (1 Kor 6, 19); Duch Boży w was mieszka (Rz 8, 9; por. 8,11).

Życie Ducha – owo źródło wody, która prowadzi ku życiu wiecznemu – powoduje w nas szczególny skutek: Albowiem wszyscy ci, których prowadzi Duch Boży, są synami Bożymi. Nie otrzymaliście przecież ducha niewoli, by się znowu pogrążyć w bojaźni, ale otrzymaliście ducha przybrania za synów, w którym możemy wołać: „Abba, Ojcze!” Sam Duch wspiera swym świadectwem naszego ducha, że jesteśmy dziećmi Bożymi (Rz 8, 14-16). A w Liście do Galatów Apostoł podkreśla z naciskiem: Na dowód tego, że jesteście synami, Bóg wysłał do serc naszych Ducha Syna swego, który woła: Abba, Ojcze! A zatem nie jesteś już niewolnikiem, lecz synem. Jeżeli zaś synem, to i dziedzicem z woli Bożej (Ga 4, 6-7). Tę samą myśl oddaje św. Jan: Popatrzcie, jaką miłością obdarzył nas Ojciec: zostaliśmy nazwani dziećmi Bożymi: i rzeczywiście nimi jesteśmy (1 J 3,1).

Możemy nazywać Boga „Ojcem”, ponieważ posiadamy Ducha Jego Syna, przez co w jakiś sposób jesteśmy przyjęci i przekształceni w Jego Synu, Jezusie Chrystusie: Albowiem tych, których od wieków poznał, tych też przeznaczył na to, by się stali na

wzór obrazu Jego Syna, aby On był pierworodnym między wielu braćmi (Rz 8, 29). To uczestnictwo stanie się doskonale dopiero w niebie (por. Kol 1, 18), ale i tu, na ziemi ukazuje się poprzez ciągle wzrastające utożsamianie się z Nim: *Dla mnie bowiem – mówi św. Paweł – żyć – to Chrystus (Flp 1, 21). I wyjaśnia: Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus. Choć nadal prowadzę życie w ciele, jednak obecne życie moje jest życiem wiary w Syna Bożego, który umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie (Ga 2,20).*

To zaś pozwala nam wejść w nadzwyczajną zażyłość z Bogiem: *A więc nie jesteście już obcymi i przychodniami, ale jesteście współobywatelami świętych i domownikami Boga (Ef 2, 19); A zatem nie jesteś już niewolnikiem, lecz synem. Jeżeli zaś synem, to i dziedzicem z woli Bożej (Ga 4, 7). Przyjęcie tego dziedzictwa zakłada pójdzie za Chrystusem przez całe Jego życie, także i przez Krzyż: Jeżeli zaś jesteśmy dziećmi, to i dziedzicami: dziedzicami Boga, a współdziedzicami Chrystusa; skoro wspólnie z Nim cierpimy, to po to, by też wspólnie mieć udział w chwale (Rz 8,17).*

W podobny sposób zostaje objawione, w całej swojej pełni, mesjańskie imię Chrystusa: *Emmanuel*, co oznacza „Bóg z nami” (por. Iz 7, 14). Jest z nami nie tylko dlatego, że Jezus żył w konkretnym okresie historycznym, lecz także dlatego, że pozostaje w nas, obok innych sposobów, poprzez Eucharystię. Podczas Ostatniej Wieczerzy, modląc się, Pan Jezus wyraził pragnienie zjednoczenia ze swoimi uczniami (por. J 17, 23) i obiecał: *Jeśli Mnie kto miłuje, będzie zachowywał moją naukę, a Ojciec mój umiłuje go, i przyjdziemy do niego, i będziemy u niego przebywać (J 14, 23).*

Obecność Ducha Świętego w naszej duszy upodabnia nas do Syna i pozwala zwracać się do Boga jak do Ojca. W ten sposób uczestniczymy w wewnętrznym życiu Boga. Ojciec, Syn i Duch Święty są w nas obecni w sposób tajemniczy, choć zarazem realny i skuteczny. Owa obecność Trójcy Świętej osiągnie pewnego

dnia swoją pełnię – wówczas, kiedy zostaniemy doskonale utożsamieni z Chrystusem w chwale: *Umiłowani, obecnie jesteście dziećmi Bożymi, ale jeszcze się nie ujawniło, czym będziecie. Wiemy, że gdy się objawi, będziemy do Niego podobni, bo ujrzymy Go takim, jakim jest (1 J 3, 2)*. W tej tajemnicy – używając słów św. Piotra – *zostały nam udzielone drogocenne i największe obietnice, abyście się przez nie stali uczestnikami Boskiej natury (2 P 1,4)*.

Życie Boże rozwija się w nas dzięki działaniu Ducha Świętego, a efekt tego działania nazywamy łaską. Łaska upodabnia nas do Chrystusa i wprowadza w życie Trójcy Świętej. To wszystko jest Bożym darem, co zresztą oznacza samo słowo „łaska”. Nasze zaś zadanie polega jedynie na daniu odpowiedzi, na niestawianiu przeszkód, na kochaniu Boga w taki sposób, w jaki On sam nas o to prosi: *Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga (Ef 2, 8)*. Bóg w sposób całkowicie wolny zechciał nas przeznaczyć do tego życia i powinniśmy Mu być za to wdzięczni, wypełniając to, o co nas prosi.

Stajemy się podobni do Chrystusa stopniowo, w miarę jak wypełniamy Boże wymagania. Działanie Ducha Świętego w duszy pozwala nam lepiej poznać Boga (wiara), bardziej Mu ufać (nadzieja) i więcej Go kochać (miłość), miłując ze względu na Niego także wszystkich ludzi. Powoli obraz Chrystusa staje się w nas wyraźniejszy. Przejawia się to w ten sposób, że postępujemy tak, jak Chrystus by postąpił, gdyby znalazł się na naszym miejscu i w naszych warunkach.

Utożsamienie się z Chrystusem posiada też pewien tajemniczy aspekt. Całe życie Chrystusa, a zwłaszcza Jego męka, śmierć i zmartwychwstanie uobecniają się i oddziałują w nas. Jeśli bowiem staliśmy się synami Bożymi w Chrystusie, to dokonało się to przez Jego mękę, śmierć i zmartwychwstanie. Każdy z sakramentów, jako kanał łaski i działania Ducha Świętego, udziela owej tożsamości. Również i tutaj mamy do czynienia z tajemniczym sposobem działania Boga. Bóg zechciał dokonać Odkupienia –

a więc i przebaczenia naszych grzechów – poprzez konkretne działania Chrystusa, przepelnione jednocześnie głęboką symboliką. W sposób konkretny działają też w nas skutki Chrystusowych czynów, poprzez sakramentalne symbole (woda, oliwa, balsam, chleb, wino, błogosławieństwa, ryty, słowa).

Chrzest jest miejscem pierwszego utożsamienia się z Chrystusem: symboliczne obmycie wodą naszego ciała nie tylko oznacza, ale też i dokonuje przebaczenia grzechów dzięki śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa. Ochrzczony umiera dla grzechu i zaczyna żyć życiem wiecznym, które zostało nabyte Chrystusowym zmartwychwstaniem: *Czyż nie wiadomo wam, że my wszyscy, którzyśmy otrzymali chrzest zanurzający w Chrystusa Jezusa, zostaliśmy zanurzeni w Jego śmierć? Zatem przez chrzest zanurzający nas w śmierć zostaliśmy razem z Nim pogrzebani po to, abyśmy i my wkroczyli w nowe życie – jak Chrystus powstał z martwych dzięki chwale Ojca (Rz 6, 3-4); razem z Nim pogrzebani w chrzcie, w którym też razem zostaliście wskrzeszeni przez wiarę w moc Boga, który Go wskrzesił. I was, umarłych na skutek występków i „nieobrzezania” waszego [grzesznego] ciała, razem z Nim przywrócił do życia. Darował nam wszystkie występki (Kol 2, 12-13). To utożsamienie z Chrystusem osiągnie swoją pełnię w niebie, kiedy przekształci nasze ciało poniżone, na podobne do swego chwalebego ciała (Flp 3, 21); wówczas to nosić będziemy obraz [człowieka] niebieskiego (1 Kor 15, 49).*

Tymczasem w życiu ziemskim, owa tożsamość wzrasta zarówno dzięki tajemniczemu działaniu łaski, jak też dzięki świadomeму wysiłkowi, jaki wkładamy w nasze upodobnienie się do Chrystusa. Św. Paweł żywo pisze o tym do Galatów, nawiązując do swoich wysiłków zmierzających do wprowadzenia ich w życie chrześcijańskie: *Dzieci moje, oto ponownie w bólach was rodzę, aż Chrystus w was się ukształtuje (Ga 4, 19).*

My, chrześcijanie, powinniśmy postępować tak jak Chrystus, starać się Go naśladować: *To dążenie niech was ożywia; ono też*

było w Chrystusie Jezusie (Flp 2, 5). On sam prosi nas, abyśmy tak działali: *Weźcie moje jarzmo na siebie i ucztę się ode Mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem* (Mt 11, 29). A po umyciu nóg Apostołom w czasie Ostatniej Wieczerzy powiedział do nich: *Dałem wam bowiem przykład, abyście i wy tak czynili, jak Ja wam uczyniłem* (J 13,15).

Całe życie chrześcijanina polega na naśladowaniu Chrystusa, braniu Go nieustannie za wzór. W ten sposób odnawiamy w sobie obraz Boga, cechę, którą człowiek posiada od momentu stworzenia (por. Rdz 1, 27). Obraz ten, zniekształcony w dawnym człowieku przez grzech, odnowiony zostaje w sposób cudowny, poprzez utożsamienie się człowieka z Jezusem Chrystusem, nowym Człowiekiem.

Św. Paweł wyjaśnia to dokładnie Efezjanom: *Co się tyczy poprzedniego sposobu życia – trzeba porzucić dawnego człowieka, który ulega zepsuciu na skutek zwoźniczych żądz, odnawiać się duchem w waszym myśleniu i przyoblec człowieka nowego, stworzonego według Boga, w sprawiedliwości i prawdziwej świętości* (Ef 4, 22-24). Następnie tłumaczy im, w jaki sposób powinni unikać kłamstwa, oszustwa, nieczystości, grubiaństwa: *Niech zniknie spośród was wszelka gorycz, uniesienie, gniew, wrzaskliwość, znieważanie – wraz z wszelką złością. Bądźcie dla siebie nawzajem dobrzy i miłosierni! Przebaczajcie sobie, tak jak i Bóg wam przebaczył w Chrystusie* (Ef 4, 31-32); *postępujcie jak dzieci światłości! Owocem bowiem światłości jest wszelka prawość i sprawiedliwość, i prawda. Badajcie, co jest miłe Panu. (...) Baczcie więc pilnie, jak postępujecie: nie jako niemądrzy, ale jako mądrzy. Wyzyskujcie chwilę sposobną, bo dni są złe. Nie bądźcie przeto nierozsądni, lecz usiłujcie zrozumieć, co jest wola Pana* (Ef 5, 8-9. 15-17).

W podobny sposób zwraca się do Kolosan: *Jeśliście więc razem z Chrystusem powstali z martwych, szukajcie tego, co w górze (...). Zadawajcie więc śmierć temu, co jest przyziemne w [waszych] członkach: rozpuście, nieczystości, lubieżności, złej żądz i chciwo-*

ści, bo ona jest bałwochwalstwem. Z powodu nich nadchodzi gniew Boży na synów buntu. I wy niegdyś tak postępowaliście, kiedyście w tym żyli. A teraz i wy odrzucicie to wszystko: gniew, zapalczywość, złość, znieważanie, haniebną mowę od ust waszych! Nie okłamujcie się nawzajem, boście zwlekli z siebie dawnego człowieka z jego uczynkami, a przyoblekli nowego, który wciąż się odnawia ku głęszemu poznaniu [Boga], według obrazu Tego, który go stworzył. A tu już nie ma Greka ani Żyda, obrzezania ani nieobrzezania, barbarzyńcy, Scyty, niewolnika, wolnego, lecz wszystkim we wszystkich [jest] Chrystus. Jako więc wybrańcy Boży – święci i umiłowani – obleczcie się w serdeczne miłosierdzie, dobroć, pokorę, cichość, cierpliwość, znosząc jedni drugich i wybacząc sobie nawzajem, jeśliby miał ktoś zarzut przeciw drugiemu: jak Pan wybaczył wam, tak i wy! Na to zaś wszystko [przyobleczcie] miłość, która jest więzią doskonałości. A sercami waszymi niech rządzi pokój Chrystusowy (Kol 3, 1.5-15).

Dzięki walce ascetycznej pozbywamy się naszych słabości a nabywamy cech Chrystusa. Można tu mówić o pewnego rodzaju przemianie, co dobrze ilustrują słowa św. Jana Chrzciciela: *Potrzeba, by On wzrastał, a ja się umniejszał* (J 3,30). Do tego właśnie dzieła przemiany, które zawiera w sobie także zapomnienie o sobie, wydaje się nawiązywać Chrystus, kiedy prosi swoich uczniów, aby stracili życie z miłości do Niego (por. Mt 10, 39; 16, 25; Mk 8, 35; Łk 9, 24; 14 27; 17, 33; J 12, 25). Chodzi tu o pozbycie się miłości własnej, własnych korzyści i zamierzeń, tak aby kroczyć za Chrystusem, żyć jak On, razem z Nim cierpieć i upodobnić się do Niego. Nikt z nas nie żyje dla siebie i nikt nie umiera dla siebie: jeżeli bowiem żyjemy, żyjemy dla Pana; jeżeli zaś umieramy, umieramy dla Pana. I w życiu więc, i w śmierci należymy do Pana (Rz 14, 7-8).

Nie możemy jednak myśleć, że owo umieranie w Chrystusie jest czymś smutnym lub też zakłada wyrzeczenie się własnej osobowości. Przeciwnie, nie ma nic większego i bardziej ludzkiego, jak bycie podobnym do najdoskonalszego Człowieka, jaki kiedy-

kolwiek żył na ziemi. A ogromna radość, jaka temu towarzyszy, jest najczytelniejszym znakiem potwierdzającym, że to upodobnienie prowadzi nas do pełni człowieczeństwa.

Chrystus jest dla nas „bramą”, którą powinniśmy przekroczyć, aby wejść w życie z Bogiem (por. J 10, 7), oraz Drogą, i Prawdą, i Życiem (J 14, 6). Cały sens i owocność naszego życia polega na pełnym zjednoczeniu z Nim. Chrystus wyraził to w przypowieści o krzewie winnym i latoroślach: *Wytrwajcie we Mnie, a Ja [będę trwał] w was. Podobnie jak latorośl nie może przynosić owocu sama z siebie – jeśli nie trwa w winnym krzewie – tak samo i wy, jeżeli we Mnie trwać nie będziecie. Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami. Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity, ponieważ beze Mnie nic nie możecie uczynić* (J 15, 4-5). Ostatnie słowa – *beze Mnie nic nie możecie uczynić* – powinny stać się dla nas dewizą przypominającą nam, że w życiu chrześcijańskim nie możemy dokonać żadnego postępu bez Chrystusa.

Jeśli staramy się żyć jak Chrystus, to powinniśmy najpierw pełniej Go poznać. Pomoże nam w tym częsta medytacja Ewangelii, dzięki której możemy poznać Jego życie, naukę, sposób postępowania. Ponadto musimy się starać o bezpośredni kontakt z Nim i prosić Go, aby pozwolił nam ujrzeć to, czego od nas oczekuje. *Iść za Chrystusem – tu właśnie tkwi sekret* – radzi nam Założyciel Opus Dei. – *Towarzyszyć Mu z bliska, tak byśmy na podobieństwo pierwszych Dwunastu żyli wraz z Nim; byśmy z Nim się stali jedno. Jeżeli nie będziemy stawiać przeszkód łasce, wkrótce będziemy mogli powiedzieć, że przyoblekliśmy się w Pana Jezusa Chrystusa. Wówczas w naszym postępowaniu, jak w zwierciadle, będzie się odbijał Pan Jezus. Jeżeli zwierciadło będzie dobre, będzie odzwierciedlać najukochańsze oblicze naszego Zbawiciela bez zniekształceń, nie będzie Jego karykaturą i inni będą mieli możliwość podziwiania i naśladowania Go* (Przyjaciele Boga, n. 299).

Z chwilą, kiedy zaczynamy upodabniać się do Chrystusa, miłość staje się coraz bardziej siłą napędową naszego życia: synow-

ska miłość Boga i miłość do innych ludzi ze względu na Boga. Sam Bóg rozlewa swoją miłość w naszych sercach, abyśmy byli zdolni do takiej miłości (por. Rz 5, 5). W czasie Ostatniej Wieczerzy ustanowił Chrystus nowe przykazanie, nowe prawo, które winno kierować całym życiem chrześcijanina, tak jak Prawo Mojżeszowe kierowało każdą sferą życia pobożnego Żyda: *Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umilowałem; żebyście i wy tak się miłowali wzajemnie. Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali* (J 13, 34-35).

Nie chodzi tu wcale o kochanie miłością ludzką ani też miłowanie bliźniego jak siebie samego, lecz o kochanie miłością Chrystusa, która jest miłością Boga. Przepięknie mówi o tym św. Jan: *Umiłowani, jeśli Bóg tak nas umilował, to i my winniśmy się wzajemnie miłować. Nikt nigdy Boga nie oglądał. Jeżeli miłujemy się wzajemnie, Bóg trwa w nas i miłość ku Niemu jest w nas doskonała* (1J 4,11-12).

Po prostu trzeba kochać miłością Bożą, utożsamiając się z Chrystusem. A miłość Boża tym się wyróżnia, że Bóg nie miłuje dlatego, iż ktoś jest dobry. Miłość Boża poprzedza wszystko i czyni dobrym wszystko, co miłuje. Dlatego też miłowanie miłością Bożą nie może być równoznaczne z kochaniem tylko tych, którzy są dla nas dobrzy. Oznaczałoby to faworyzowanie pewnych osób. Trzeba zaś kochać wszystkich ludzi, nawet nieprzyjaciół (por. Mt 5, 44). W naszej miłości winniśmy się starać, aby doskonalilo się wszystko, co jest jej przedmiotem. W konsekwencji prowadzi to do pomagania ludziom, aby stawali się lepszymi, co ostatecznie oznacza przybliżanie ich do Boga. A jeśli nasza miłość ma obejmować nawet i nieprzyjaciół, to jak bardzo powinniśmy kochać naszych braci w wierze! Miłość braterska jest najlepszym świadectwem tego, że Chrystus obecny jest w ludziach wierzących. Trudno będzie nam to dobrze wypełnić, jeśli nie poprosimy Pana Boga, aby nam pozwolił doświadczyć swojej miłości.



---

Kochaj i czyń co chcesz – mówił św. Augustyn, jako że w miłości Boga i bliźniego mieści się wszystko. Natomiast od św. Hieronima pochodzi następująca historia: Św. Jan Ewangelista, kiedy mieszkał w Efezie i praktycznie nie mógł już chodzić do kościoła, jak tylko wspierany ramionami swoich uczniów, i nie był zdolny wyowiadać głośno i bez przerwy wielu słów, nie czynił innego napomnienia jak tylko to: *Dzieci moje, miłujcie się wzajemnie!* W końcu jego uczniowie i bracia, którzy go słuchali, zmęczeni słuchaniem ciągle tego samego, zapytali go: *Mistrzu, dlaczego zawsze powtarzasz nam to samo?* I odpowiedział im zdaniem godnym Jana: *Ponieważ to jest przykazanie Pana i wypełniając je czynicie więcej niż potrzeba* (Komentarz do Listu do Galatów, 3, 6).

## Miłość Boża

Wśród najpiękniejszych obrazów, za pomocą których Pismo Święte ukazuje Jezusa, wyróżnia się obraz światła. Obraz ten był używany w prorocत्वach mesjańskich: *Naród kroczący w ciemnościach ujrzał światłość wielką; nad mieszkańcami kraju mroków światło zabłysło* (Iz 9, 1; por. Mt 4, 16); *Ustanowię cię światłością dla pogan, aby moje zbawienie dotarło aż do krańców ziemi* (Iz 49, 6; por. Dz 13, 47; Łk 2, 32).

W prologu swojej Ewangelii św. Jan mówi o Chrystusie tymi słowami: *Była światłość prawdziwa, która oświeca każdego człowieka, gdy na świat przychodzi. Na świecie było [Słowo], a świat stał się przez Nie, lecz świat Go nie poznał. Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli. Wszystkim jednak tym, którzy Je przyjęli, dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi, tym, którzy wierzą w imię Jego – którzy ani z krwi, ani z żądzy ciała, ani z woli męża, ale z Boga się narodzili* (J 1, 9-13). Św. Jan powtarza tu słowa, które wiele razy słyszał z ust samego Jezusa: *Ja jestem światłością świata. Kto idzie za Mną, nie będzie chodził w ciemności, lecz będzie miał światło życia* (J 8, 12; por. 3, 19; 9, 5; 12, 46). Co chciał nam Chrystus przekazać, mówiąc o owym świetle?

Z pewnością chodzi tu o światło prawdy, które pozwala rozumowi wyjść z ciemności błędu. Nie jest to jakakolwiek prawda, lecz przede wszystkim prawda o Bogu, o Jego poznaniu, które zostało nam objawione przez Chrystusa: *Podczas gdy Prawo zostało nadane przez Mojżesza, łaska i prawda przysły przez Jezusa Chrystusa. Boga nikt nigdy nie widział. Jednorodzony Bóg, który jest w łonie Ojca, [o Nim] pouczył* (J 1, 17-18).

Obraz światła jest najtrafniejszym sposobem wyrażenia tej tajemniczej prawdy, która pochodzi od Boga i oświeca życie, nie

tylko w wymiarze poznania, lecz także w porządku działania. Jest to prawda, która pozwala żyć w nowy sposób, ponieważ przychodzi wspomagana przez łaskę. W ten sposób światło to nie tylko wyprowadza nas z ciemności niewiedzy, lecz także z ciemności grzechu. I kiedy zanurzymy się w Bogu, pozwala nam żyć godnością dzieci Bożych czy, mówiąc inaczej, *jak dzieci światłości* (Ef 5, 8; por. 1 Tes 5, 5).

Obraz ten przekazuje św. Jan, mówiąc iż *Bóg jest światłością* (1 J 1, 5), to znaczy pięknem, jasnością, duchem, nieskończoną prostotą, bez żadnej skazy grzechu. Również i św. Paweł mówi o tym, że *Bóg jest jedyny, mający nieśmiertelność, który zamieszkuje światłość niedostępną, którego żaden z ludzi nie widział ani nie może zobaczyć* (1 Tm 6, 16). Dzięki Chrystusowi uzyskaliśmy dostęp do owej światłości Boga, ponieważ On [o Nim] *pouczył* (J 1, 18).

Światłem, które otrzymaliśmy od Chrystusa i które pozwala nam wniknąć w Boże tajemnice oraz zachęca do działania godnego dzieci światłości, jest wiara. Dzięki wierze poznaliśmy, że Bóg jest Ojcem, że posłał nam swojego Syna i że przez Niego sprawił, iż możemy uczestniczyć w Jego życiu dzięki Jego Duchowi. Bóg zniżył się do nas. To wszystko nie pozwala nam jeszcze poznać Go w pełni, tak jak poznamy Go na końcu naszego ziemskiego życia: *Umiłowani, obecnie jesteście dziećmi Bożymi, ale jeszcze się nie ujawniło, czym będziecie. Wiemy, że gdy się objawi, będziecie do Niego podobni, bo ujrzemy Go takim, jakim jest* (1 J 3, 2). Istnieje więc różnica pomiędzy sposobem, w jaki będziemy się wówczas cieszyć ową Bożą światłością, a tym, w jaki obecnie Go poznajemy dzięki wierze. Św. Paweł tak to wyjaśnia: *Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś [zobaczymy] twarzą w twarz. Teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany* (1 Kor 13, 12); *wiemy, że jak długo pozostajemy w ciele, jesteśmy pielgrzymami, z daleka od Pana. Albowiem według wiary, a nie dzięki widzeniu postępujemy* (2 Kor 5,

6-7). Wiara bowiem dotyczy tego, czego do tej pory nie widzieliśmy, lecz w co wierzymy: *Wiara zaś jest poręką tych dóbr, których się spodziewamy, dowodem tych rzeczywistości, których nie widzimy* (Hbr 11, 1).

Wiara jest światłem, które pozwala nam kroczyć po tej ziemi, idąc pewnym szlakiem, bez zagubienia się we mgle; tłumaczy nam, kim jest Bóg i czego od nas oczekuje. Ponieważ wiara jest Bożym darem, winniśmy więc prosić Go, aby nam jej udzielał i ją pomnażał. Wiara pozwala nam zaakceptować wszystkie prawdy, które otrzymaliśmy od Boga i według nich postępować. Sami możemy starać się poznać lepiej te prawdy, poprzez ich studiowanie i medytowanie. Lecz tylko z Bożą pomocą jesteśmy zdolni zaakceptować je do tego stopnia, że staną się podstawą naszego życia i przenikną nasze myślenie i całe nasze postępowanie.

Wraz ze wzrostem życia chrześcijańskiego, dzięki przeobrażającemu działaniu Ducha Świętego, wzrasta również i nasza wiara. Ów wpływ Ducha Świętego na wiarę posiada różne formy: nazywamy je darami Ducha Świętego (por. Iz 63, 11). W pełni zostały one udzielone Chrystusowi, a my posiadamy je jako pewnego rodzaju uczestnictwo w Duchu Chrystusa, gdyż z *Jego pełni* wszyscyśmy otrzymali – *łaskę po łasce* (J 1, 16). Jeśli jesteśmy wierni Bogu, nasza wiara dostępuje szczególnego zagłębienia się w Boże tajemnice, dzięki czemu lepiej je poznajemy (dar rozumu); nabieramy wrażliwości w poszczególnych sytuacjach, odkrywając właściwy sposób zachowania się (dar mądrości); stajemy się zdolni do ukierunkowania ku Bogu wszelkiego poznania rzeczy (dar wiedzy) i roztropnego kierowania naszym i innych postępowaniem (dar rady).

Wiara jest pierwszym krokiem chrześcijańskiego życia. Najpierw pojawia się bowiem wiara w Boga, a wraz z nią poznanie Jego i tego, czego od nas oczekuje, a potem dopiero przychodzi wszystko pozostałe. W miarę, jak staramy się, aby wiara oświecała nasze życie, i jak Duch Święty w nas działa, wzrasta nasze po-

znanie Boga, nie tylko teoretyczne, lecz także praktyczne. Przyzwyczajamy się do spotykania się z Nim i w sposób naturalny Go poznajemy, tak jak poznaje się osoby i rzeczy, z którymi jesteśmy w bliskim kontakcie.

Uświadomienie sobie miłości Boga prowadzi nas do coraz większej miłości do Niego, nie ma bowiem nic godniejszego niż być kochanym. Dzieje się to jednak powoli, kiedy człowiek zaczyna rozumieć – w sposób praktyczny i intuicyjny – kim jest Bóg. Poprzez uporządkowanie życia moralnego nabywamy większej zdolności poznania i ukochania Pana Boga i zaczynamy przeczuwać, jak cudownym jest poznanie Boga twarzą w twarz. Dlatego też doświadczamy prawdy owych słów psalmisty: *Jak łania pragnie wody ze strumieni, tak dusza moja pragnie Ciebie, Boże! Dusza moja pragnie Boga, Boga żywego: kiedyż więc przyjdę i ujrzę oblicze Boże?* (Ps 42, 2-3). W ten sposób człowiek zaczyna budować sobie horyzont życia: *O Tobie mówi moje serce: „Szukaj Jego oblicza!” Szukam, o Panie, Twojego oblicza* (Ps 27, 8). Św. Jan od Krzyża tak o tym mówi: *Dusza bowiem prawdziwie kochająca Boga nie może znaleźć zadowolenia i zaspokojenia, dopóki Go rzeczywiście nie posiadzie. I wszystkie stworzenia, jak to już zaznaczyliśmy, nie tylko jej nie zaspokajają, lecz podniecają jeszcze głód i pożądanie ujrzenia Jego istoty* (Pieśń duchowa, 6,4, w: Św. Jan od Krzyża, Dzieła, Kraków 1986, s. 556-557).

Poznanie prowadzi do miłości. Dzieje się tak zawsze, ponieważ jest to prawo ludzkiego ducha: nie możemy kochać tego, czego nie znamy. Kiedy więc odkrywamy duchowo doskonałości Boga, czujemy się skłonni do miłowania Go z coraz większą siłą. *Im bardziej się Go poznaje – mówi św. Katarzyna ze Sieny – tym bardziej się kocha i im bardziej się kocha, tym bardziej się poznaje. Miłość i poznanie żywią się wzajemnie* (Św. Katarzyna ze Sieny, Księga Miłosierdzia Bożego, czyli Dialog, t. I, Kielce 1948, s. 232). Wchodzimy wówczas w prawdziwą relację z Nim, jako Jego dzieci: On staje się dla nas Kimś bardzo bliskim, a jednocześnie

pozbywamy się anonimowości. Uświadamiamy sobie, że Bóg jest naszym Ojcem, nie wszystkich w ogólności, ale konkretnie każdego z nas. Kiedy ta prawda wiary staje się naszą prawdą, zaczynamy żyć jako dzieci Boże.

Odkrywamy wówczas, że sensem naszego życia nie może być nic innego, jak czynić to, co chce Bóg. Naśladujemy w tym Chrystusa, który powtarzał: *Moim pokarmem jest wypełnić wolę Tego, który Mnie posłał, i wykonać Jego dzieło* (J 4, 34; por. 5, 30; 6, 38; Łk 22, 42). Taką również odpowiedź dał Maryi i Józefowi, kiedy miał dwanaście lat i pozostał w świątyni: *Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?* (Łk 2, 49). W tym kontekście należy też rozumieć następujące słowa: *Bo kto pełni wolę Ojca mego, który jest w niebie, ten Mi jest bratem, siostrą i matką* (Mt 12, 50). Wola Boża powinna stanowić nić przewodnią również naszego życia. O to prosimy przecież w modlitwie „Ojcze nasz”: *niech Twoja wola spełnia się na ziemi, tak jak i w niebie* (Mt 6,10).

Nie szukamy już własnych korzyści, lecz tego, co znajduje uznanie Boga, co służy Bożym zamiarom wobec świata, które są planami pokoju i zbawienia. Wówczas doświadczymy pragnienia kierowania wszystkiego ku Niemu, co jest najpiękniejszym przejawem oderwania się od świata i najbardziej autentycznym znakiem tego, że nasza miłość Boga jest prawdziwa. Zaczynamy kochać sprawy Boże bardziej niż nasze własne, a mówiąc precyzyjniej, zaczynamy kochać sprawy Boże jak nasze własne. Szukamy wtedy jedynie Bożej chwały, a nie naszej własnej: *Nie nam, Jahwe, nie nam, lecz Twemu imieniu daj chwałę* (Ps 115, 1). A św. Paweł radzi: *wszystko na chwałę Bożą czyńcie* (1 Kor 10, 31). Wszystko to, co nie jest Boże, schodzi wtedy na drugi plan, jak pięknie wyraził to św. Grzegorz z Nyssy: *Ten, kto spojrzenie swoje mocno utkwiał w Bogu, jest ślepy na wszystko pozostałe* (In canticum, 8,4,9). Pragniemy realizować zalecenie Chrystusa: *Starajcie się naprzód o królestwo [Boga] i o Jego sprawiedliwość, a to wszystko będzie wam dodane* (Mt 6,33).

Wielkie umiłowanie Boga rozciąga się na wszystkie rzeczy. Kto bardziej poznaje Boga, ten odczuwa wielki szacunek dla Niego samego i wszystkiego, co od Niego pochodzi. Na tym polega właśnie „bojaźń Boża”, o której tak często mówi Pismo Święte. Chodzi tu o zmysł głębokiej czci wobec Boga, która wzrasta w miarę naszego przybliżania się do Niego. W odróżnieniu od stosunków między ludźmi, gdzie przy wielkim zaufaniu respekt może zaniknąć, w relacji do Pana Boga dzieje się na odwrót: w miarę jak Bóg staje się nam bliższy i lepiej Go poznajemy, czujemy się skłonni do oddawania Mu większej czci. Uczucie szacunku dla Pana Boga nazywane bywa też pobożnością. Ci, którzy są bliżej Niego i lepiej Go poznali – przede wszystkim święci – skłonni są do oddawania Mu większej czci. Natomiast ci, którzy mało z Nim przebywają, ledwo zdają sobie sprawę, kim On jest. Pismo Święte naucza, że bojaźń Boża jest początkiem, źródłem, koroną i pełnią mądrości (Syr 1,14-20). Mądrość – jak już wspomnieliśmy – jest darem Ducha Świętego, który umożliwia widzenie wszystkich rzeczy stworzonych w świetle wyższych prawd. Także i bojaźń Boża – lub inaczej pobożność – jest darem Ducha Świętego (skutkiem Jego działania w nas), darem, który wynika z mądrości, ponieważ jest praktycznym zastosowaniem świadomości tego, jak wielki jest Bóg. Stąd też bojaźń Boża jest jednocześnie pierwszym krokiem i pierwszym owocem mądrości.

Szacunek obejmuje wszystko, co związane jest z Panem Bogiem: Jego święte Imię (treść drugiego przykazania), Jego kult i osoby, które go spełniają, Pismo Święte, świątynie, itd. Pomocą w tym jest zasada, zawarta w klasycznej formule: *sancta sancte tractanda* – rzeczy święte należy traktować ze świętością. Miłość do Boga udziela wielkiej wrażliwości w realizacji tej zasady. *Początkiem prawdziwej religijności* – mawiał św. Augustyn – *jest wysokie wyobrażenie o Bogu* (O wolnej woli, 1 w: Św. Augustyn, Dialogi filozoficzne, t. 3, Warszawa 1953, s. 80). Podobnie jak w życiu ascetycznym, tak również i tutaj mamy do czynienia z dwoma

kierunkami: jeśli staramy się odnosić do spraw Bożych z wielkim szacunkiem, lepiej pojmimy intuicyjnie wielkość Pana Boga; w miarę jak będziemy myśleć o Bogu, i będzie wzrastać nasza miłość ku Niemu, będziemy odnosić się z większą życzliwością i szacunkiem do wszystkiego, co jest z Nim związane.

Miłość prowadzi z konieczności do umiłowania wszystkiego, co jest związane z ukochaną osobą. Tę właśnie miłość, kiedy przybiera formę pasji, czyli sprężyny naszej uczuciowości, nazywa się żarliwością. Dzieje się tak wówczas, kiedy zanikają wszelkie przeszkody stawiane miłości i zaczyna ona działać z całą swą mocą. Miłość jest rzeczywistością, która zawsze może i powinna wzrastać. Miłość, która rodzi się jedynie po to, aby pozostać karłowatą, w rzeczywistości nie jest miłością, lecz jedynie odrobiną zainteresowania, zamiłowaniem lub sentymentalizmem. Dlatego też żarliwość staje się czymś naturalnym dla osób miłujących Boga. Żarliwość prowadzi do ofiarowania wszystkich sił, a nawet całego życia, na służbę Bogu.

Wszyscy Ewangelisci przekazali nam scenę wyrzucenia handlujących ze świątyni. Z całą pewnością zrobiło na uczniach wielkie wrażenie to, że Pan, zawsze bardzo spokojny, *sporządziwszy sobie bicz ze sznurków, powypędzał wszystkich ze świątyni, także aranki i woły, porzrzucał monety bankierów, a stoły powywracał* (J 2, 15). Lecz jedynie św. Jan zachował dla nas ten cenny szczegół: *Uczniowie Jego przypomnieli sobie, że napisano: „gorliwość dom Twój pochłonie Mnie”* (J 2, 17; por. Ps 69, 10)

Chrystusa oburzyło to, że świątynia, dom Boży, była pełna ludzi, którzy – być może nieświadomie – zachowywali się bez najmniejszego szacunku dla tego wszystkiego, co ona reprezentowała, bez najmniejszego śladu miłości Boga. Powiedział im: *Napisane jest: „Mój dom ma być domem modlitwy, a wy czynicie z niego skaznię zbójców”* (Mt 21, 13). Nie byli oni wielkimi grzesznikami, lecz jedynie ludźmi prostymi, bez wrażliwości, żyjącymi dzięki świątyni, starającymi się każdego dnia zarobić jak najwięcej. Jezus nie



był porywczy ani zagorzały: tym czynem chciał jedynie pomóc zrozumieć swoim uczniom – a więc i nam – kim jest Bóg i na jaki szacunek i miłość zasługuje.

Miłość Boga, jak każda miłość – choć w dużo większym wymiarze, ponieważ jest lepsza i nieskalana – upaja. Wspomnieliśmy już, że nie można kochać, stawiając miłości granice. Miłość zawsze pędzi szalona, spalając się. Ukazał to szczególnie pięknie Raimundo Lull, w swojej książce o Przyjaciółce (dusza) i Umiłowanym (Jezus Chrystus): *Szła Przyjaciółka przez pewne miasto jak zwariowana, śpiewając o swoim Umiłowanym, i zapytali ją ludzie, czy przypadkiem nie postradała zmysłów. Na to rzekła, że jej Umiłowany zabrał jej wolność, a podarował swój rozum. Stąd też pozostała jej tylko pamięć, która przypominała jej o Umiłowanym* (Libro del Amigo y del Amado, 54).

Niekiedy miłość potrzebuje małych „wyskoków” i wariactw, aby mogła się objawić. Widać to również w ludzkiej miłości, co potwierdza grecko-rzymskie powiedzenie: *ama tamquam ossorus* – kochaj tak jak ten, kto ma śmiałość. Te drobne gesty przerywają codzienną monotonię, są drobnymi przejawami siły, jaką posiada miłość. I nie ma prawdziwej miłości, która by ich nie posiadała. *Sza-leńcze! Sądziłeś, że jesteś w kaplicy biskupiej sam jeden, widziałem, jak składałeś pocałunki na każdym kielichu i na każdej patenie, poświęconej przed chwilą, aby On znalazł twe pocałunki, gdy po raz pierwszy zejdzie do Naczyń Eucharystycznych* (Droga, n. 438).

Nie chodzi tu wcale o jakieś gesty pompatyczne, lecz o rzeczy niewielkie, ale czynione z miłości. Są to małe oznaki czci, sprawujące jednocześnie wzrost miłości. Chodzi o uczynienie każdego dnia czegoś niezwyčajnego (jeszcze jedno nawiedzenie Najświętszego Sakramentu, drobne wyrzeczenie, ukłęknięcie, małe słowo zwariowanej miłości...).

A jednak nie wszystko w miłości jest blaskiem. Także miłość Boga posiada swoje cienie. Bóg chce poddać próbie naszą miłość w celu oczyszczenia jej z różnych przejściowych wrażeń

i uniesień. Chodzi bowiem o to, abyśmy doszli do takiego stanu, kiedy będziemy miłować Boga tylko ze względu na Niego samego, a nie dlatego, że miłowanie Go sprawia nam przyjemność. Czasami Bóg chce, aby zniknęła radość (przynajmniej w jej zewnętrznych przejawach) spowodowana przebywaniem z Nim. Wówczas wszystko staje się trudniejsze. Trudniejsza jest relacja z Bogiem, trudniej być Mu wiernym, trudniej się modlić czy też wypełniać nasze obowiązki. Być może to wówczas namiętności odzywają się ze zdwojoną siłą, doświadczają się więcej trudności w ich przewycięzaniu, w wykonywaniu normalnej pracy. Nasza uczuciowość zostaje podrażniona, gdyż nie jesteśmy przyzwyczajeni do oschłości – w sumie czujemy ogólne niezadowolenie.

Możliwe, że Bóg pragnie przez to oczyścić naszą miłość. A nie ma lepszego sposobu dokonania tego, jak przez ofiarę. Jeśli mimo odczuwanych oschłości staramy się wiernie wypełnić nasze obowiązki, jest to znakiem, że prawdziwie kochamy Pana Boga.

Kiedy nadchodzą takie sytuacje, trzeba oprzeć się na innej z podstaw naszego życia wewnętrznego: obok wiary i miłości znajduje się nadzieja. Nadzieja jest także Bożym darem. Polega ona na zaufaniu Bogu. Dlatego też doskonali się w trudnościach. Jeśli chcemy kochać Boga, musimy już w tym życiu przejść przez to oczyszczenie. Nasze utożsamianie się z Chrystusem wiedzie bowiem przez Krzyż. Zazwyczaj nie chodzi wcale o wielkie cierpienia, tak srogie jak Krzyż Chrystusa, lecz o trudności w przewycięzaniu własnych namiętności. Będzie to więc naturalny opór, jaki stawiają nam rzeczy, jak również opór stawiany przez innych ludzi wobec spraw, które chcemy uczynić dla Boga.

Nadzieja uczy nas pokładać naszą ufność w Bogu: *Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia* (Flp 4, 13). Daje nam pewność, że Bóg nigdy nas nie opuszcza: *U was zaś nawet włosy na głowie wszystkie są policzone* (Mt 10, 30). Zachęca nas do oparcia się na mocy Bożej, która przemoże wszystko: *Nie! Ręka Pana nie jest tak krótka, żeby nie mogła ocalić* (Iz 59, 1). Pozwala nam również się-

gać myślą do miłości Boga, który oczekuje na nas w niebie. Otrzymanej od Boga cnoty nadziei towarzyszy dar Ducha Świętego – męstwo, które uzdalnia nas do znoszenia przeciwności i podejmowania najtrudniejszych zadań z miłości do Boga.

Może się jednak zdarzyć, że stan oschłości nie jest spowodowany tym, iż Bóg chce nas wypróbować, lecz jest skutkiem naszego braku uwagi w odnoszeniu się do Niego. Jeśli zaczynamy odczuwać jakąś trudność i brak nam odwagi, wycofujemy się; jeśli nasza miłość jest tak mała, że niezdolna do ofiary, nabieramy ciągle rosnącego wstrętu do wysiłku, jakiego wymaga miłowanie Boga. Dojdziemy wówczas do stanu niezadowolenia, w którym źle i bez ochoty wypełnia się obowiązki względem Pana Boga i wobec ludzi. Sytuację taką nazywamy letniością. Dochodzi do niej wtedy, gdy choć trochę zaniedbujemy nasze życie ascetyczne.

Przyczyna tego tkwi w owym braku uwagi – co jest brakiem miłości – i prowadzi do gnuśności, do zaniedbywania jednej rzeczy po drugiej (modlitwa, wyrzeczenia, wysiłek w pracy, świadomość obecności Boga), do lekceważenia spraw Bożych i ponownego skoncentrowania życia na sobie. To jakby stok wiodący w dół. Wiele rzeczy robi się byle jak, bo kosztują, a ponieważ wykonuje się je byle jak, zamiast przynosić miłość i radość, budzą niesmak i wstręt. Obowiązki względem Boga i bliźniego stają się przez to trudniejsze: rzeczy wykonane niepunktualnie, w złych warunkach, po tym jak przez lenistwo się je odkładało, bardziej wyczerpują i wszystko wydaje się komplikować, zwiększając tym samym ogólne pragnienie ucieczki. W ten oto sposób powoli zaczyna się spadać w dół.

Wyjście z tej sytuacji polega na rozpoczęciu od nowa, na odnowieniu miłości. Trzeba zapomnieć o sobie, nie myśleć tylko o własnych sprawach, mocniej zabrać się do pracy, starać się być punktualnym, czasami wykonać coś nadzwyczajnego, jakiś znak miłości. Pomocna jest również praktyka rachunku sumienia, aby odzyskać, od podstaw, energię potrzebną do walki duchowej.

---

Letniość jest bowiem chorobą, którą da się pokonać. Kluczem do tego jest miłość Boga, utożsamianie się z Chrystusem.

Miłość Boga jest streszczeniem życia chrześcijańskiego. A widząc w naszym życiu tyle słabości, trzeba prosić o nią z większą jeszcze siłą i pokorą. Może nam być w tym pomocna piękna modlitwa z XXI niedzieli zwykłej w ciągu roku: *Boże, Ty jednoczysz serca Twoich wiernych w dążeniu do Ciebie: daj swojemu ludowi miłować to, co nakazujesz, i pragnąć tego, co obiecujesz, abyśmy wśród zmienności świata tam wznieśli nasze serca, gdzie są prawdziwe radości.*

## Modlitwa

Księga Powtórzonego Prawa, jedna z pierwszych pięciu w Piśmie Świętym, kończy się wspaniałą pochwałą Mojżesza: *Nie powstał więcej w Izraelu prorok podobny do Mojżesza, który by poznał Pana twarzą w twarz* (Pwt 34, 10). Ta sama myśl pojawia się w innej z ksiąg Tory: *A Pan rozmawiał z Mojżeszem twarzą w twarz, jak się rozmawia z przyjacielem* (Wj 33, 11). Natomiast Księga Liczb podaje słowa wypowiedziane przez Boga: *Lecz nie tak jest ze sługą moim, Mojżeszem. Uznany jest za wiernego w całym moim domu. Twarzą w twarz mówię do niego – w sposób jawny, a nie przez wyrazy ukryte. On też postać Pana ogląda* (Lb 12, 7-8).

Wszyscy chrześcijanie wezwani są do tego osobistego kontaktu z Bogiem. On wszystkich nas uczynił swoimi dziećmi i powinniśmy żyć z Nim w wielkiej zażyłości. Nie możemy zachowywać się jak ludzie obcy, lecz winniśmy dążyć do nawiązania z Nim relacji synowskiej, którą cechuje stałość i miłość. To właśnie jest cechą charakterystyczną prawidłowego życia chrześcijańskiego. A do owej serdecznej i pełnej zaufania relacji z Bogiem dochodzi się przez modlitwę.

Św. Łukasz wiele razy opowiada, jak Jezus pośród wielu wydarzeń, które wypełniały Jego życie publiczne – nauczanie, uzdrażnianie, pouczanie Apostołów, podróże, *usuwał się na miejsca pustynne i modlił się* (Łk 5, 16). Miało to miejsce zwłaszcza przed uroczystymi lub ważnymi wydarzeniami: jak choćby na początku Jego działalności publicznej, kiedy czterdzieści dni spędził na pustyni. Później postępuje podobnie: *W tym czasie Jezus wyszedł na*

górze, aby się modlić, i całą noc spędził na modlitwie do Boga. Z nastaniem dnia przywołał swoich uczniów i wybrał spośród nich dwunastu (Łk 6, 12-13). To samo powtórzy się w pełnej trwogi i zarazem uroczystej scenie modlitwy w Ogrójcu (por. Łk 22, 41): Chrystus pragnął usunąć się na miejsce ustronne, aby przez modlitwę przygotować się na mękę i śmierć. Św. Łukasz opowiada również, jak w czasie jednej z owych modlitewnych chwil uczniowie, którzy z całą pewnością czuli się poruszeni, widząc modlącego się swojego Mistrza, prosili Go, aby nauczył ich modlić się: *Gdy Jezus przebywał w jakimś miejscu na modlitwie i skończył ją, rzekł jeden z uczniów do Niego: „Panie, naucz nas się modlić”* (Łk 11, 1).

Zazwyczaj Pan Jezus modlił się sam. Tym razem to św. Mateusz przekazuje, jak Jezus, po odprawieniu tłumów, *wyszedł sam jeden na górę, aby się modlić. Wieczór zapadł, a On sam tam przebywał* (Mt 14, 23). Niekiedy towarzyszyli Mu uczniowie, ale zawsze Jego modlitwa była osobista: *Gdy raz modlił się na osobności, a byli z Nim Jego uczniowie* (Łk 9, 18). Innym razem zabrał tylko niektórych ze sobą: *wziął z sobą Piotra, Jana i Jakuba i wyszedł na górę, aby się modlić* (Łk 9, 28). Podobnie było w Getsemani, lecz gdy On się modlił, Jego uczniowie usnęli: *Gdy wstał od modlitwy i przyszedł do uczniów, zastał ich śpiących ze smutku. Rzekł do nich: „Czemu śpicie? Wstańcie i módlcie się, abyście nie ulegli pokusie”* (Łk 22, 45-46).

Również i my powinniśmy poświęcić nasz czas na modlitwę, jeśli chcemy żyć, naśladując Chrystusa w synowskiej relacji z Bogiem Ojcem. Od chwili, kiedy otrzymaliśmy łaskę wiary, modlitwa jest dla nas jedynym sposobem zagłębienia się w wewnętrzne życie Boga. Jest tym, co pozwala dojrzewać życiu chrześcijańskiemu. Na modlitwie rozpalają się w nas Boże pragnienia, uczymy się Go kochać i poznajemy to, czego On od nas oczekuje. Na modlitwie krzepnie wiara, umacnia się nadzieja i rozpala miłość. Przechodzimy od stanu nieodpowiedzialnych dzieci do stanu do-

rosłych synów, którzy mogą podjąć ciężar odpowiedzialności i zajęć w rodzinnym domu. Bez modlitwy nie jest możliwy rozwój w sprawach odnoszących się do Boga. *Modlitwa jest fundamentem życia duchowego* (Droga, n. 83).

Św. Teresa powtarzała, że *ten, kto się nie modli, nie potrzebuje diabła, który by go kusił, nie jest bowiem możliwe zrobienie żadnego kroku w życiu duchowym, jeśli nie jest ono oparte na modlitwie: bez tego fundamentu budynek jest niekompletny* (Droga doskonałości, 4,5, w: Św. Teresa od Jezusa, Dzieła, t. II, Kraków 1987). Potrzebujemy modlitwy jako stałego przyzwyczajenia, jako trwałego zwyczaju w naszym życiu. Tak jak ciało nie może przeżyć bez pokarmu, stąd jest rzeczą roztropną spożywać posiłki regularnie, tak również i dusza nie może rozwijać się, jeśli pozbawiona jest modlitwy. Dla zdrowego życia duchowego wymagana jest regularność. Rzeczywistość duchowa jest co prawda niewidzialna, ale wcale nie oznacza to, że jest mniej realna niż cielesna: byle jaka, niestała modlitwa prowadzi do osłabienia życia duchowego, do takiej nędzy, że nawet brak jej świadomości; podobnie dzieje się z ciałem, kiedy jego osłabienie jest tak wielkie, że traci się świadomość własnego położenia.

Każdy człowiek, który pragnie poważnie traktować Pana Boga, powinien zrobić postanowienie stałej modlitwy, a nie tylko wtedy, kiedy ma natchnienie. Natchnienie pochodzi bowiem niejednokrotnie od czynników niezależnych od naszej woli (środowisko, pokarmy i napoje, lektury, itd.). My zaś powinniśmy kochać Pana Boga całą wolą, kierującą naszym postępowaniem. *Niechaj w ciągu naszego dnia nie brakuje chwil poświęconych w sposób specjalny zwróceniu się ku Bogu, wzniesieniu ku Niemu naszych myśli, kiedy na naszych ustach nie muszą nawet pojawiać się słowa, ponieważ wyśpiewuje je nasze serce. Poświęćmy tej pobożnej praktyce dostateczną ilość czasu; jeżeli jest to możliwe, o stałej godzinie w ciągu dnia – przed Tabernakulum, blisko Tego, który w nim zamknął się dla nas z miłości, a jeśli to nie jest możliwe, możemy*

modlić się wszędzie, ponieważ Bóg jest w sposób niewystłowny obecny w duszy pozostającej w łasce (Przyjaciele Boga, n. 249).

Winniśmy włożyć wiele wysiłku, aby zachować wierność postanowieniu codziennej modlitwy o stałej porze, nie pozwalając sobie na uleganie pierwszym lepszym wymówkom. Chodzi tu bowiem o powagę naszego odniesienia do Boga. Jak zakochany nie przestaje widywać swojej ukochanej tylko dlatego, że ma dużo pracy, lecz stara się lepiej zaplanować dzień, tak również, i to z większą jeszcze konsekwencją, trzeba postępować wobec Pana Boga: *Modlitwa, jeszcze więcej modlitwy! – Wydaje ci się to jakoś niestosowne właśnie teraz, w czasie egzaminów, wielkich prac... A przecież jej potrzebujesz* (Bruzda, n. 449). *Modlitwa winna poprzedzać wszystko. Jeżeli tak to rozumiesz, a mimo to nie postępujesz tak, nie mów mi, że brakuje ci czasu: Po prostu, nie chcesz tego czynić* (Bruzda, n. 448). To postanowienie musi stawać się w naszym życiu coraz bardziej nieugięte. Rzeczywiście, w miarę jak modlimy się, zdajemy sobie sprawę, że faktycznie jest ona koniecznością. W ten sposób pojmowali ją zawsze ci, którzy potrafili kochać Pana Boga.

Jak się modlić? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba wiedzieć, czym jest modlitwa: *Modlitwa – powiada św. Grzegorz z Nyssy – jest rozmową i dialogiem z Bogiem* (De orationis Domini. Oratio I), a św. Teresa pisze: *Modlitwa bowiem wewnętrzna nie jest to, zdaniem moim, nic innego, jeno poufne i przyjacielskie z Bogiem obcowanie i wylewna, po wiele razy powtarzana rozmowa z Tym, o którym wiemy, że nas miłuje* (Księga życia, 8,5, w: op. cit., t. I, s. 168). Modlitwa będzie więc rozmową z Bogiem o naszych życiowych sprawach, z jednoczesnym wysiłkiem lepszego poznania Jego życia. Założyciel Opus Dei napisał doskonale streszczenie tego, czym jest modlitwa: *Piszesz do mnie: „Modlić się to rozmawiać z Bogiem. Ale o czym?” O czym? O Nim, o tobie. O twoich radościach i smutkach, zdobyczach i niepowodzeniach, o szlachetnych ambicjach i codziennych kłopotach. O twoich słabościach*



i prośbach o łaskę, o miłość i skruchę. Jednym słowem: poznać Boga i poznać siebie – zaprzyjaźnić się (Droga, n. 91).

Modlitwa myślna, owe chwile, w czasie których staramy się rozmawiać na osobności z Panem Bogiem, wymaga pewnych warunków. W rzeczywistości są to te same warunki, jakich potrzebują dwie kochające się osoby, aby mogły ze sobą rozmawiać. Można „wyczuwać” miłość osoby, która idzie obok nas, kiedy spacerujemy. W ten sam sposób powinniśmy również „wyczuwać” obecność Boga. Jeśli jednak chcemy rozmawiać w zażyłości, potrzebujemy odpowiednich warunków. Wielką pomocą jest znalezienie spokojnego miejsca, gdzie nikt nie będzie nam przerywać ani przeszkadzać (jeśli to możliwe w kościele lub kaplicy, gdzie w Tabernakulum jest obecny Pan Jezus). Potrzebujemy samotności i ciszy: *Gdy chcesz się modlić, wejdź do swojej izdebki, zamknij drzwi i módl się do Ojca twego, który jest w ukryciu. A Ojciec twój, który widzi w ukryciu, odda tobie* (Mt 6, 6). Jeszcze ważniejszą niż cisza zewnętrzna jest cisza wewnętrzna: *Mało przydaje się samotność ciała – mówi św. Grzegorz Wielki – jeśli nie ma skupienia i samotności w sercu* (Moralia, 30). A św. Jan Chryzostom doda: *Kiedy się modlisz, wejdź do swojego mieszkania. Dobrze będzie, jeśli zamkniesz drzwi pokoju, lecz Bóg pragnie wpierv czegoś innego, abyś zamknął także drzwi twojej duszy* (Homilie o Ewangelii św. Mateusza, 19, 3).

Jeśli chcemy się modlić, musimy się skoncentrować: skupić uwagę na Bożych sprawach, zapominając o tym, co do tej pory robiliśmy. Konieczne jest bowiem zapanowanie nad naszą wyobraźnią, by nie wymykała się nam ku innym sprawom i wyciszenie owego zgiełku, który niekiedy nosimy w sobie: nasz wewnętrzny monolog, gdzie miesza się ze sobą to, co zrobiliśmy, to, co mogliśmy zrobić, wszystkie plany, wspomnienia i dążenia... Ten hałas trzeba wyciszyć: *Nasz umysł potrzebuje spokoju – komentuje św. Augustyn. – Bóg pozwala się bowiem widzieć w wewnętrznej samotności* (Homiletyczny wykład Ewangelii św. Jana,

17). Natomiast od św. Jana od Krzyża pochodzą następujące słowa: *Dusza zatem, która pragnie Go znaleźć, musi wyjść ze wszystkich rzeczy odnośnie do przywiązań i woli. Musi wejść w siebie przez głębokie skupienie tak, aby wszystkie rzeczy uważała jakoby nie istniały* (Pieśń duchowa, 1,6, w: op. cit., s. 534).

Owa wewnętrzna cisza pojawia się wówczas, kiedy nie zwracamy uwagi na nasz zewnętrzny świat, nie ulegamy mu, jakby go wygaszamy. Jest to wspaniale doświadczenie, które napelnia naszą duszę pokojem. A kiedy już wszystko się wyciszyło, nadchodzi odpowiednia chwila, abyśmy uświadomili sobie, że znajdujemy się w obecności Boga, że On nas kocha, widzi to, co czynimy, interesuje się nami i naszymi sprawami. Wówczas możemy zacząć rozmowę.

Kiedy uczymy się modlitwy, trudność może stanowić ustalenie treści naszej rozmowy. Chodzi po prostu o poruszanie tych spraw, o których rozmawialibyśmy z przyjacielem: opowiadanie w szczególności o tym, co przeżywamy w naszej duszy: *Skierujmy uwagę na Niego i otwórzmy naszą duszę w pokornej rozmowie, mówmy Mu w zaufaniu wszystko, co mamy i w myślach, i w sercu: o naszych radościach, smutkach, nadziejach, rozczarowaniach, sukcesach i porażkach, a także o naszych najdrobniejszych sprawach codziennych. Doświadczylismy bowiem, że wszystko to interesuje naszego Ojca Niebieskiego* (Przyjaciele Boga, n. 245). Nie trzeba wcale szukać specjalnych formuł czy używać wyszukanego języka, lecz takiego, jakim posługivalibyśmy się z pełnym zaufaniem wobec osoby, która nas kocha: *Na modlitwie nie bądźcie gadatliwi jak poganie. Oni myślą, że przez wzgląd na swe wielomówstwo będą wysłuchani. Nie bądźcie podobni do nich. Albowiem wie Ojciec wasz, czego wam potrzeba* (Mt 6, 7-8). Nasza modlitwa ma być naturalna i prosta: *On bynajmniej nie żąda, byśmy sobie głowę suszyli, sadząc się na długie mowy – zauważa św. Teresa* (Droga doskonałości, 29, 6, w: op. cit., t. II, s. 143).

Na początku będziemy odczuwali potrzebę proszenia za nas i w naszych sprawach. Powoli jednak zdamy sobie sprawę, że

Bóg wie, czego nam potrzeba i mniej już będziemy zwracać się do Niego w naszych prywatnych intencjach. Przeciwnie, stanie się dla nas czymś oczywistym, że winniśmy prosić Go o przebaczenie tylu rzeczy, które czynimy źle, dziękować za otrzymywane dary i uwielbiać Go.

Dużą pomocą może być dla nas książka, która ułatwi skoncentrowanie naszej modlitwy na wybranym temacie. Możemy posługiwać się Pismem Świętym – w szczególności Psalmami i Ewangelią, modlitwą liturgiczną Kościoła, żywotami świętych, książkami poświęconymi życiu duchowemu, jak również książkami z zakresu teologii, napisanymi prostym, dostępnym językiem i skłaniającymi do miłowania Boga. Na początku pożyteczne jest wybierać tematy o treści ascetycznej. Chodzi z jednej strony o rozbudzenie naszej miłości do Pana Boga, a z drugiej o zobaczenie tego, w czym powinniśmy się poprawić. Św. Teresa opowiada: *Nigdy, z wyjątkiem dziękczynienia po Komunii, nie śmiałam przystąpić do modlitwy bez książki. Sama myśl zaczęcia modlitwy, nie mając książki przy sobie, tak mnie do głębi duszy przerażała, jak gdybym sama jedna miała wyjść na spotkanie całej gromady czyhających nieprzyjaciół. Mając pod ręką tę pomoc, która mi była jakby towarzystwem i puklerzem do odbijania pocisków nastających na mnie myśli obcych, uspokajałam się* (Księga życia, 4, 9, w: op. cit., t. I, s. 130).

Czytajmy powoli i kiedy coś przykuje naszą uwagę, zatrzymajmy się, aby to przemyśleć. Wykorzystując czytane teksty, starajmy się przede wszystkim o zrobienie przed Panem Bogiem rachunku sumienia. W ten sposób odkryjemy miejsca, w których winniśmy się poprawić, poprosimy Boga o przebaczenie uchybień, które zauważyliśmy, i uczynimy postanowienie poprawy. Trochę może nas to kosztować, lecz nie możemy tego zaniechać tylko dlatego, że wymaga to od nas wysiłku: *Bardzo często, przez kilka lat – opowiada św. Teresa – więcej byłam zajęta pragnieniem, by prędzej skończyła się godzina przeznaczona na rozmyślanie i nadśluchiwa-*

niem rychło zegar wybije, niż dobrymi i pobożnymi myślami. I nie-raz ochotniej byłabym podjęła nie wiem jak surową pokutę, którą by mi wyznaczono, niż to, że miałam skupić się w duchu dla odpra-wienia modlitwy wewnętrznej (Księga życia, 8, 7, w: op. cit., t. I, s. 169). Modlitwa szybko przynosi owoce: uczymy się prawdy o samych sobie, zaczynamy lepiej znać Pana i odnosić się do Nie-go z większą powagą.

Niekiedy wielką pomocą będzie skupienie naszej wyobraźni na scenach z Ewangelii: *Radzę ci, abys w swojej modlitwie włączał samego siebie do scen Ewangelii jako jeszcze jednego z uczestników wydarzeń – radzi Założyciel Opus Dei. – Najpierw wyobraź sobie daną scenę lub tajemnicę, która posłuży ci, aby się skupić i rozwa-żać. Następnie przemyśl jakiś szczególny rys w życiu Nauczyciela. Myśl o Jego miłosiernym Sercu, Jego pokorze, Jego czystości, o tym, jak pełni wolę Ojca. Potem opowiedz Mu, co się z tobą dzie-je, o tych problemach, co cię nurtują w tej chwili, jakie masz trud-ności. Bądź uważny, gdyż może Pan chce ci coś powiedzieć i odczu-jesz wewnętrzne poruszenie, uświadomisz sobie pewne rzeczy, a może też usłyszysz upomnienie (Przyjaciele Boga, n. 253).*

Modlitwa jest rzeczywiście dialogiem. Dlatego też będziemy odczuwać, że Bóg prosi nas o pewne rzeczy. W miarę jak wzra-stać będzie nasza wrażliwość i będziemy bliżej Niego, stanie się to dla nas czymś oczywistym. Zazwyczaj nie chodzi o jakieś spe-cjalne olśnienie, lecz zwykłe uświadomienie sobie czegoś, co czy-ni nas bardziej wrażliwymi w jakiejś konkretnej dziedzinie: *Czy sądzicie, że On milczy, choć głosu Jego nie słyszymy? – pyta św. Te-resa. – Mówi, owszem, i bardzo wyraźnie, do serca, gdy my z ser-ca się modlimy (Droga doskonałości, 24, 5, w: op. cit., t. II, s. 121).* Powoli nauczymy się omawiać z Panem Bogiem decyzje, które mamy podjąć i w coraz większym stopniu tematem modli-twy będzie to, co mamy czynić, aby lepiej Mu służyć. Z większą jasnością zaczniemy wówczas dostrzegać to, o co Pan Bóg nas prosi, to co każdego dnia mamy spełniać, aby Mu służyć, głosić

Jego naukę i przybliżać Go osobom, wśród których żyjemy. W takich sytuacjach modlitwa staje się motorem napędowym naszego życia i w niej przybiera konkretną formę nasze pragnienie wypełnienia woli Bożej.

Modlitwa wzrasta i doskonali się wraz z dojrzewaniem życia ascetycznego. Równocześnie jest impulsem, który powoduje wzrost owego życia, gdyż skłania nas do walki z naszymi słabościami, do rozmilowania się w Panu Bogu i poświęcenia naszego życia w sposób konkretny wypełnieniu woli Bożej. Coraz bardziej uświadamiamy sobie, jak niewiele znaczymy i uczymy się doceniać i miłować cudowne rzeczy, które Bóg czyni: *Rodzi się w nas pragnienie Boga, usilna wola zrozumienia Jego tezy; widzenia Jego uśmiechu, Jego oblicza. (...) I dusza pogrążona w Bogu wznosi się ubóstwiona: chrześcijanin stał się spragnionym podróżnym i otwiera swe usta na źródlaną wodę* (Przyjaciele Boga, n. 310).

Ten postęp w modlitwie nie zawsze jest stały. Jedne dni mogą być lepsze, inne gorsze. Zawsze trzeba podejmować wysiłek kontrolowania wyobraźni, zapobiegania zasypianiu, co i nam może się przydarzyć, tak jak Apostołom (por. Łk 22,45). Wysiłek ten winien być skierowany również na usunięcie rozproszeń i to z taką samą żarliwością, jak Pan wyrzucił kupców ze świątyni. Św. Teresa opowiada także i o swoich trudnościach: *Modlitwa kosztowała mnie wiele wysiłku, aby duch mój nie był panem, lecz sługą. W ten sposób nie mógł mnie zamknąć we mnie samej, a był to dla mnie jedyny sposób, jaki stosowałam w modlitwie, aby nie pogrążyć się w rozpamiętywaniu tysiąca próżnych rzeczy* (Księga życia, 7,6).

Często będziemy odczuwać oschłość, nie wiedząc, co mówić, ani też nie mając zbyt wielkiej ochoty na rozpoczęcie czy podejmowanie wysiłku w czasie medytacji. Nie możemy jednak pozwolić sobie na modlitwę niedbałą, gdyż byłby to brak delikatności wobec Pana Boga. W owych chwilach możemy sobie pomóc modlitwami ustnymi (Ojcze nasz, Zdrowaś Maryjo, hymny lub psalmy, akty strzeliste, itd.), wymawiając je bardzo powoli i me-

dytując je. Niekiedy może nam pomóc jakaś prosta książka, która szczególnie nam odpowiada – żywot świętego, modlitewnik. Niewskazane jest także nieustanne czytanie, gdyż w ten sposób zaniedbuje się dialog. Jeśli powodem naszej oschłości jest wielkie zmęczenie, przyda się nam rada z „Drogi”: *Umysł masz otepiały, nieruchliwy; nadaremnie usiłujesz skupić myśli w obliczu Pana. Cóż to za nedorzeczność! Nie wysilaj się i nie przejmuj. Zrozum: oto jest chwila, która należy do twego serca* (Droga, n. 102). Jest to dobry moment, aby skierować do Boga słowa pełne ciepła, okazać Mu intensywność naszej miłości.

Kiedy już uczyniliśmy postęp w walce ascetycznej, czujemy potrzebę większego zgłębienia i przemodlenia tajemnic Bożych: tajemnicy Trójcy Świętej, Odkupienia, życia łaski, itd. Wzrasta również zażyłość z tymi, którzy są blisko Pana Boga, a w sposób szczególny z Najświętszą Maryją Panną, św. Józefem i aniołami. Wprawiamy się w naszej wierze i Pan dodaje nam nowych świateł: lepiej rozumiemy wewnętrzne życie Boga, które staje się nam bliższe i bardziej rodzinne, gdyż i my pragniemy nim żyć: *Serce wymaga wtedy, by poznawać i uwielbiać każdą z trzech Osób Boskich. Jest to w jakiś sposób odkrycie, którego dokonuje dusza w życiu nadprzyrodzonym, na podobieństwo małego dziecka otwierającego stopniowo oczy na otaczający je świat* (Przyjaciele Boga, n. 306).

W miłości ludzkiej stałe przebywanie ze sobą sprawia, że rozmowa staje się bardzo prosta. Nie czuje się już potrzeby mówienia dużo, po części i dlatego, że nie ma już nic nowego do powiedzenia. Ludzie zakochani czują się wspaniale przebywając ze sobą. Coś podobnego dzieje się na modlitwie. Opowiada święty proboszcz z Ars, Jan Vianney, że pewnego dnia zapytał poczciwego wieśniaka, jaka jest jego modlitwa. A ten mu odpowiedział: *Patrzę na naszego Pana, który jest w Tabernakulum, a On patrzy na mnie. Taka właśnie jest spokojna modlitwa, będąca początkiem kontemplacji. Kochając przebywa się w obecności Boga: Zbyteczne stają się słowa, tym bardziej że język nie potrafi się wy-*

sławić; umysł się uspokaja. Tu się już nie docieka, tu się kontempluje! I z duszy raz jeszcze płynie pieśń nowa, ponieważ czuje ona i wie, że patrzy na nią nieustannie z miłością sam Bóg (Przyjaciele Boga, n. 307).

Kontemplacja bowiem jest jak wzgórze wyniosłe – pisze św. Jan od Krzyża – gdzie Bóg zaczyna się ukazywać i udzielać duszy już w tym życiu, lecz jeszcze nie całkowicie (...) nawet najwyższe bowiem poznanie Boga, jakie dusza może otrzymać w tym życiu, są to jakby bardzo dalekie zjawy (Pieśń duchowa, 13,10, w: op. cit., s. 586). Nie myślmymy jednak, że na ów szczyt, będący zwieńczeniem ascetyki, dociera się natychmiast. Potrzeba cierpliwego podejmowania wysiłku, co zakłada również odpowiednią ilość czasu, a nie zawsze Bóg udziela nam tego najwyższego poznania Siebie. Czasami pozostawia to na czas nieba, kiedy w pełni będziemy się Nim radować. *To przeżycie spotyka się czasem u dusz, które są już na wyższym stopniu doskonałości. Bóg daje im łaskę wzniosłego poznania w chwili, gdy słuchają, patrzą lub rozważają o Nim, a czasem i bez tego wszystkiego. W Nim poznają lub odczuwają ogrom i potęgę Boga. A w tym odczuwaniu tak wzniosłe odczuwają Boga, że jasno rozumieją, iż wszystko jeszcze zostaje do zrozumienia* (Pieśń duchowa, 7, 9, w: op. cit., s. 561).

Modlitwa jest drogą, po której trzeba kroczyć ku pełnemu utożsamieniu się z Chrystusem.

## Eucharystia

Eucharystia jest w pełnym tego słowa znaczeniu *mysterium fidei*: tajemnicą wiary. Jak wszystkie działania Pana Boga wobec ludzi, tak również i ta tajemnica przeniknięta jest głęboką symboliką. Eucharystia to tajemnica Ciała i Krwi Chrystusa, tajemnica ofiary na Kalwarii, tajemnica Odkupienia, tajemnica pokarmu przynoszącego nieśmiertelność i obecność Boga pośród ludzi. Te wszystkie aspekty wyrażone są w symbolicznych działaniach, ustanowionych przez Chrystusa.

Najważniejszym symbolem jest tu krew. Krew jest nośnikiem życia i dla wszystkich ludów w starożytności była rzeczywistością tajemniczą. Dlatego też krew stanowi centrum kultu, który judaizm (i wiele innych religii) składał Bogu. Kult ma na celu ukazanie szacunku dla Boga, uznanie Go za Pana wszystkich rzeczy, wypraszenie przebaczenia grzechów i pomocy w naszych potrzebach. W kulcie izraelskim to wszystko wyrażało się poprzez krew. Śmierć ofiar – byków, kozłat, baranów, gołębi – ku czci Boga oznaczała panowanie Pana Boga nad wszystkim i miała być zaślubieniem za grzechy ludzi ją składających. Żydzi stosowali wiele rodzajów ofiar całopalnych: jedne przynależały do kultu publicznego, inne składano z inicjatywy wiernych. Od śmierci Chrystusa na Krzyżu chrześcijaństwo zna tylko jedną jedyną ofiarę – ofiarę Chrystusa.

Św. Jan Ewangelista wprowadza nas w tę tajemnicę, opisując jak Jan Chrzciciel, widząc nadchodzącego Pana, zawołał: *Oto Baranek Boży, który gładzi grzech świata* (J 1, 29, por. 1, 36). Zna-



czenie tego nietypowego określenia wyjaśni się znacznie później, kiedy na końcu działalności publicznej Chrystus będzie sprawował Paschę razem ze swoimi uczniami. Ze słów przekazanych nam przez św. Łukasza przebija głębokie wzruszenie, z jakim Jezus oczekiwał tej chwili: *Gorąco pragnąłem spożyć tę Paschę z wami, zanim będę cierpiał* (Łk 22, 15).

Pascha była wielkim świętem żydowskim. Przygotowywano ją przez obrzędy pokuty i oczyszczenia (por. J 11, 55), a głównym jej punktem była wieczerza, którą spożywano w przeddzień. Była to uczta obrzędowa, posiadająca dokładnie ustalony porządek obejmujący zarówno wypowiedane błogosławieństwa i modlitwy, śpiewane psalmy, jak i spożywane potrawy. Podstawowe pożywienie stanowił baranek paschalny, który nazywany był po prostu paschą. Był to baranek jednoroczny, bez żadnej skazy. W Jerozolimie składano go w ofierze w świątyni, zaraz po południu, oddzielnie za każdego człowieka, a kapłani rozlewali krew baranka na ołtarzu. Następnie zabierano go do domu i przygotowywano do spożycia, tak aby rozpocząć wieczerzę po zapadnięciu zmroku. Trzeba było zjeść całego baranka, niczego nie pozostawiając. Zabronione też było łamanie mu kości.

Przed spożyciem baranka, po rozpoczęciu wieczerzy, najmłodszy ze zgromadzonych pytał najstarszego o okazję tej tak nadzwyczajnej uczty. Wówczas to najstarszy opowiadał, jak Pan Bóg wyprowadził naród izraelski z niewoli egipskiej za pomocą wielkich cudów: jak pozwolił mu przejść przez Morze Czerwone, żywił go na pustyni manną (pokarmem, który zsyłał im z nieba) i jak zawarł ze swoim ludem przymierze na górze Synaj, przypieczętowane krwią ofiary, którą Mojżesz wylał na ołtarzu i pokropił lud mówiąc: *Oto krew przymierza, które Pan zawarł z wami na podstawie wszystkich tych słów* (Wj 24, 8). Wyjaśniano także wydarzenia, które pozwoliły Izraelitom wyjść z Egiptu: plagi, jakimi Bóg ukarał Egipcjan za to, że nie zezwalali im opuścić kraju, a zwłaszcza tę ostatnią, w której zginęli pierworodni we wszyst-

kich domach w Egipcie. Aby uchronić się przed tą właśnie plagą, Izraelici naznaczyli progi i odrzwia swoich domów, tak jak im Pan nakazał (por. Wj 11 i 12). W ten sposób krew baranka uwolniła naród wybrany od śmierci pierworodnych, którą Bóg ukarał Egipt.

W czasach Jezusa na pamiątkę tamtych wydarzeń oznaczano domy izraelskie krwią baranka i wypełniano obrzędy zawarte w Księdze Wyjścia (rozdz. 12) oraz te, które dodała tradycja. Według tych przepisów odbyła się Ostatnia Wieczerza Jezusa z uczniami, w Wielki Czwartek. Z pewnymi jednak istotnymi zmianami. Św. Jan opowiada, że *Jezus wiedząc, że nadeszła Jego godzina przejścia z tego świata do Ojca, umiłowaławszy swoich na świecie, do końca ich umiłował* (J 13, 1). Najpierw umył nogi swoim uczniom, co było grzecznościową przysługą, spełnianą przez sługi. W ten sposób Jezus nauczył swoich uczniów, że celem ich życia winna być służba. Następnie ustanowił nowe przykazanie: *abyście się wzajemnie miłowali, tak jak Ja was umiłowalem*, a potem, w czasie obrzędowej wieczerzy paschalnej, ustanowił Eucharystię.

Żaden z Ewangelistów nie mówi nic o baranku paschalnym, być może chcąc przez to zwrócić uwagę, że był nim symbolicznie sam Chrystus. Natomiast przekazują nam błogosławieństwa, które Pan wypowiedział nad chlebem i kolejnymi kielichami wina, spożywanymi zgodnie z rytuałem (por. Łk 22, 14-20). Jezus umyślnie zmienił dwa błogosławieństwa: chleba i jednego z kielichów wina. Jeśli chodzi o chleb, to był to prawdopodobnie ten, który nazywał się „chlebem błogosławieństwa” i symbolizował jedność i przyjaźń. Po odmówieniu błogosławieństwa rozdawano go obecnym. Pan Jezus *wziął chleb i dzięki uczyniwszy, połamał i rzekł: „To jest Ciało moje za was [wydane]”* (1 Kor 11, 23n; por. Łk 22, 19). *Tak samo i kielich po wieczerzy, mówiąc: „Ten kielich to Nowe Przymierze we Krwi mojej, która za was będzie wylana”* (Łk 22, 20).

Nowe Przymierze, przypieczętowane Jego własną krwią, wyraźnie odnosiło się do gestu Mojżesza na Synaju (por. Wj 24,

3-8). Bez wątplenia Jezus nawiązuje do swojej bliskiej męki, w czasie której Jego ciało miało być wydane poganom (por. Mt 17, 22), a Jego krew wylana (por. J 19, 34; 1 J 5, 6-8). Symbolika Paschy żydowskiej uległa w ten sposób przemianie. Wyraża to z całą precyzją św. Paweł, kiedy mówi: *Chrystus bowiem został złożony w ofierze jako nasza Pascha* (1 Kor 5,7).

Chrystus jest Barankiem paschalnym, który swoją krwią zbawia nas od śmierci grzechu, tak jak krew baranka wybawiła pierworodnych w domach Izraelitów. To ofiara złożona za nasze grzechy i pokarm, który pozwala nam wejść na drogę życia, tak jak Izraelici dzięki barankowi mogli wyjść na pustynię.

Ponadto jest to krew, przez którą dokonuje się Nowe Przymierze: to znaczy umowa pomiędzy Panem Bogiem i ludem. Podobnie jak w Starym Przymierzu, Bóg zobowiązuje się opiekować swoim nowym ludem – Kościołem, a my ludzie zobowiązujemy się służyć Mu wiernie. Nowe Przymierze wprowadza nowy kult Boga, tak jak Stare wprowadziło kult żydowski.

Św. Jan kładzie nacisk na podobieństwo śmierci Chrystusa i baranka paschalnego, podkreślając, że kiedy Chrystus został skazany, *był to dzień Przygotowania Paschy, około godziny szóstej* (J 19, 14). Dzień Przygotowania był czasem, kiedy składano ofiarę z baranka paschalnego. Ten sam Ewangelista pisze trochę dalej, że widząc, iż Jezus już umarł na Krzyżu, nie łamano Mu kości. I dodaje: *Stało się to bowiem, aby się wypełniło Pismo: „Kość Jego nie będzie złamana”* (J 19, 36; por. Wj 12, 46). Słowa te przypominają zakaz zabraniający łamania kości baranka paschalnego.

To mistyczne utożsamienie Chrystusa z barankiem paschalnym wyjaśnione jest w Apokalipsie: *przez swą krew uwolnił nas od naszych grzechów* (Ap 1,5); *nabyłeś Bogu krwią swoją [ludzi] z każdego pokolenia, języka, ludu i narodu* (Ap 5, 9). Słowa te podkreślają ofiarę złożoną przez Chrystusa za nasze grzechy. To samo czyni św. Piotr: *Wiecie bowiem, że z waszego, odziedziczonego po przodkach złego postępowania zostaliście wykupieni nie czymś*

przemijającym, srebrem lub złotem, ale drogocenną krwią Chrystusa, jako baranka niepokalanego i bez zmazy (1 P 1,18n).

Pan Bóg posłużył się wymownym symbolem krwi, aby udzielić ludziom swojego przebaczenia i zawrzeć z nimi Nowe Przymierze. Przez krew, a ściślej przez śmierć ofiarniczą Chrystusa, otrzymujemy Boże przebaczenie i Jego nową przyjaźń (por. Ef 1, 7; Rz 8, 23-25). Ten czyn pociąga za sobą niewyobrażalne skutki! Bóg posłużył się ofiarą swojego Syna, aby objawić bezmiar swojej miłości do ludzi. Chrystus objawił nam, że jedyną przyczyną Jego ofiary była miłość Boga do ludzi: *A jak Mojżesz wywyższył węża na pustyni, tak potrzeba, by wywyższono Syna Człowieczego, aby każdy, kto w Niego wierzy, miał życie wieczne. Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne (J 3, 14-16). Mówiąc o wywyższeniu, odnosił się – jak wyjaśnia to św. Jan – do sposobu, w jaki miał umrzeć (por. J 8, 28; 12,33). Sam Chrystus zapowiedział to bardzo dokładnie (por. Mt 12, 40; 16, 21; 17, 12; J 18, 4-32).*

W tym kontekście zostaje objawione znaczenie imienia Jezus: „Zbawiciel”. Zostało Mu nadane, *On bowiem zbawi swój lud od jego grzechów (Mt 1,21; por. Łk 1, 31).*

List do Hebrajczyków dogłębnie tłumaczy sens ofiary Chrystusa, porównując ją ze starożytnym kultem Izraela, który był jedynie cieniem przyszłego kultu (por. Hbr 9, 8n; 10, 1). Chrystus jest bowiem nowym najwyższym Kapłanem tej wiary, którą wyznajemy, i jest świętym kapłanem: *Takiego bowiem potrzeba nam było arcykapłana: świętego, niewinnego, nieskalanego, oddzielonego od grzeszników, wywyższonego ponad niebiosa, takiego, który nie jest obowiązany, jak inni arcykapłani, do składania codziennej ofiary najpierw za swoje grzechy, a potem za grzechy ludu. To bowiem uczynił raz na zawsze, ofiarując samego siebie (Hbr 7, 26-27).* Ofiara Chrystusa dokonała się w Jego własnym ciele (por. Hbr 10, 7-10), przez Jego własną krew, a nie krew zwierząt: *O ile bar-*

dziej krew Chrystusa, który przez Ducha wiecznego złożył Bogu samego siebie jako nieskalaną ofiarę, oczyści wasze sumienia z martwych uczynków, abyście służyć mogli Bogu żywemu (Hbr 9, 14) i to raz na zawsze (Hbr 10, 10). W ten sposób otrzymaliśmy Nowe Przymierze, nową ofiarę i nowe kapłaństwo.

Od tego czasu rozpoczyna się nowy kult oddawany Bogu, którego jedyną ofiarą jest ofiara Jezusa Chrystusa na Krzyżu i którego kapłaństwo polega na uczestnictwie w jedynym kapłaństwie Chrystusa. Św. Marek opisuje w swojej Ewangelii wydarzenie pełne znaczenia, kiedy to w chwili śmierci Chrystusa zasłona przybytku rozdarła się na dwoje, z góry na dół (Mk 15, 38). Zasłona ta wydzielała w świątyni część najświętszą, którą uważano za uprzywilejowane miejsce przebywania Boga i która zawsze była zasłonięta przed wzrokiem ludzi. Jedynie arcykapłan wchodził tam jeden raz w roku, po wcześniejszym oczyszczeniu się i złożeniu ofiar za swoje grzechy. Rozdarcie zasłony przybytku oznacza, że Bóg nie mieszka już w tej świątyni i że cały kult żydowski przestał obowiązywać (por. Hbr 9,1-14).

Po zmartwychwstaniu Chrystusa Kościół powtarza ze czcią Jego czyny z Ostatniej Wieczerzy. Sam Chrystus prosił bowiem: *To czyńcie na moją pamiątkę* (Łk 22, 19; por. 1 Kor 11, 24-25) oraz: *Ilekroć bowiem spożywacie ten chleb albo pijecie kielich, śmierć Pana głosicie, aż przyjdzie* (1 Kor 11, 26). Kościół mocno wierzy, że poprzez te gesty rzeczywiście stają się obecne Ciało i Krew Chrystusa, Jego męka i śmierć na Krzyżu.

Jedyna ofiara chrześcijan uobecnia się mistycznie za każdym razem, kiedy kapłan Jezusa Chrystusa w czasie czynności liturgicznych powtarza w Jego imieniu Jego słowa. *Sama ofiara, niezależnie od ofiarującego, czy będzie to Piotr, czy Paweł – pisze św. Jan Chryzostom (V w.) – jest tą samą ofiarą, którą Chrystus powierzył swoim uczniom i którą teraz składają Jego kapłani (...), jako że tak, jak słowa, które Bóg wypowiedział, są tymi samymi, które kapłan teraz wypowiada, tak również i ofiara jest ta sama* (Homilia

do 2 Listu do Tymoteusza). Chrystus nadal jest kapłanem i ofiarą tego jedyne go zadośćuczynienia: *Chrystus jest jednocześnie ofiarą i kapłanem* – pisał w III w. Orygenes. – *Ten bowiem, który składa Ojcu ofiarę na ołtarzu Krzyża, jest tym samym, który daje swoje własne Ciało na ofiarę* (Homilia do Księgi Rodzaju, 8). A św. Jan Chryzostom, na początku V w., wyjaśnia: *To nie człowiek przemienia ofiarowane rzeczy w Ciało i Krew Chrystusa, lecz sam Chrystus, który został za nas ukrzyżowany. Kapłan, będąc figurą Chrystusa, wypowiada owe słowa, lecz ich moc i łaska pochodzą od Boga. Mówi: „To jest moje Ciało” i słowa te przemieniają ofiarowane rzeczy* (Homilia o zdradzie Judasza, 1).

Te wyjaśnienia uświadamiają nam, w jaki sposób powinniśmy uczestniczyć w sprawowaniu Eucharystii. Jest to najświętsza czynność, jaką Kościół w ogóle sprawuje, gdyż to, co ma w swoich rękach jest ofiarą i śmiercią Syna Bożego. Eucharystia, będąca uobecnieniem ofiary śmierci Chrystusa, jest ofiarą kultu chrześcijańskiego, czynnością, poprzez którą oddajemy Bogu cześć, na jaką zasługuje: uznajemy Go Panem wszelkiego stworzenia, składamy Mu dziękczynienie, wypraszamy przebaczenie za nasze grzechy, prosimy Go, aby wspomagał cały Kościół i każdego z nas w naszych potrzebach.

Eucharystia jest jednocześnie wielkim znakiem miłości Boga do ludzi. Uczestnicząc w jej sprawowaniu, winniśmy być tego świadomi i poprzez nasz czynny udział odwdziżyć się za ten Boży znak. Nasze uczestnictwo jest wyrazem czci, jaką oddajemy Bogu, jednocząc się w uwielbieniu i dziękczynieniu – co właśnie Eucharystia oznacza – całego Kościoła. Cały Kościół, ten który pielgrzymuje na ziemi, i ten, który jest w niebie, zjednoczony w każdej Eucharystii oddaje cześć Bogu. Czujemy się również zjednoczeni z chórami aniołów, uwielbiającymi Boga, kiedy mówimy: „Święty, Święty, Święty...”. Warto, byśmy poznali, co oznacza każda część akcji liturgicznej, by dzięki temu móc uczestniczyć w niej z większą uwagą i pożytkiem. Spróbujmy pokrótce je opisać.

Celebrowanie, które nadal zachowuje znaki obrzędów paschalnych, rozpoczyna się od prośby o przebaczenie grzechów. Po niej ma miejsce lektura słowa Bożego i jego objaśnienie. Następuje wyznanie wiary. W czasie ofiarowania dziękujemy Panu, używając formuł paschalnych, za otrzymane dary i ofiarujemy chleb i wino, które staną się Ciałem Chrystusa, oraz wszystko to, co my, ludzie, jesteśmy w stanie Bogu ofiarować: naszą pracę, nasze marzenia, nasz ból... Prefacja, która jest śpiewem uwielbienia Boga, rozpoczyna najważniejszą część Mszy świętej: modlitwę eucharystyczną. W niej prosimy o Bożą pomoc, modlimy się za cały Kościół (możemy włączyć także nasze intencje), wspominamy starożytne ofiary Izraela, a w czasie konsekracji kapłan powtarza, w pierwszej osobie, słowa i gesty Jezusa. Od tej chwili Chrystus jest obecny na ołtarzu i w jakiś sposób staje się obecna także Jego ofiara: *Mocą przeistoczenia chleba w ciało a wina w krew Chrystusa jak rzeczywiście jest obecne Jego ciało, tak i Jego krew* – pisze Pius XII. – *Postacie eucharystyczne, pod którymi jest obecny, symbolizują krwawe oddzielenie ciała od krwi. W poszczególnych ofiarach ołtarza ponawia się przeto pamiątkowe uprzytomnienie tej śmierci, która nastąpiła na Kalwarii, ponieważ oddzielne symbole ukazują i przedstawiają Jezusa Chrystusa w stanie ofiarniczej Żertwy* (Pius XII, Encyklika *Mediator Dei*, w: *Breviarium fidei*. Wybór doktrynalnych wypowiedzi Kościoła, Poznań 1988, s. 419). Prawda ta winna przepelnić nas czcią i miłością do tego, co się realizuje na ołtarzu, choć nie możemy śledzić tego naszymi oczami.

Nadchodzi moment Komunii świętej i stajemy przed kolejną tajemnicą: Ciało Chrystusa staje się naszym pokarmem. Opowiada św. Jan, że Chrystus, po cudownym rozmnożeniu chleba, kiedy zbliżała się Pascha, obiecał Żydom swoje ciało na pokarm, posługując się obrazem manny, którą Bóg nakarmił naród na pustyni: *Jam jest chleb życia. Ojcowie wasi jedli mannę na pustyni i pomarli. To jest chleb, który z nieba zstępuje (...). Jeśli kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki. Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało*

za życie świata (J 6, 48-51). A ponieważ słuchający Go zaczęli się niepokoić, dodał: *Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie. Kto spożywa moje Ciało i pije moją Krew, ma życie wieczne, a Ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym. Ciało moje jest prawdziwym pokarmem, a krew moja jest prawdziwym napojem. Kto spożywa moje Ciało i Krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim* (J 6, 53-56). W ten oto sposób Chrystus mówi o tym, co dzieje się w rzeczywistości: spożywając ten święty chleb, spożywamy Jego Ciało. Pokarm ten udziela nam Jego szczególnej obecności – utożsamia nas z Nim. Otrzymujemy przez to moc, aby żyć po chrześcijańsku na ziemi i przygotowujemy się do zmartwychwstania.

Prawda o rzeczywistej obecności Chrystusa w Eucharystii – nie jest to już zwykły chleb i wino – podkreślona została mocno przez św. Pawła: *Kielich błogosławieństwa, który błogosławimy, czyż nie jest udziałem we Krwi Chrystusa? Chleb, który łamiemy, czyż nie jest udziałem w Ciele Chrystusa?* (1 Kor 10, 16) Kościół zawsze mocno bronił tej prawdy. Św. Ignacy z Antiochii pisał ok. roku 107: *Eucharystia jest Ciałem naszego Pana Jezusa Chrystusa, tym samym, które cierpiało za nasze grzechy, tym samym, które Ojciec w swojej dobroci wskrzesił* (Do Smyrnian, 7, 1). Tym też tłumaczy się najwyższą ostrożność, z jaką zawsze się z nią obchodzono: *Cierpimy wielce* – powiada św. Tertulian przy końcu II w. – *jeśli upadnie kropla z kielicha lub odrobina chleba na ziemię* (O wieńcu, 3).

Największą jednak troską jest godne przyjęcie Eucharystii, tzn. bez grzechu śmiertelnego, obciążającego sumienie. Św. Paweł wyraźnie o tym przypomina: *Dlatego też kto spożywa chleb lub pije kielich Pański niegodnie, winny będzie Ciała i Krwi Pańskiej. Niech przeto człowiek baczy na siebie samego, spożywając ten chleb i pijąc z tego kielicha. Kto bowiem spożywa i pije nie zważając na Ciało [Pańskie], wyrok sobie spożywa i pije* (1 Kor 11, 27-29).

Msza święta i Komunia święta wymagają odpowiedniego przygotowania. Bardzo ważne jest, abyśmy uczestniczyli w spra-



wowaniu Eucharystii świadomie i uważnie. Starajmy się więc skupić, skoncentrować, włączyć się w poszczególne części Mszy świętej i z godnością przyjąć Komunię świętą. Po zakończeniu Mszy św. starajmy się przez kilka minut trwać w dziękczynieniu, nie wychodząc na ulicę, kiedy Pan jest w naszym sercu. Są to najlepsze chwile do modlitwy, kiedy możemy być z Nim bardzo blisko: *Nie przegapcie – mówi św. Teresa – tak doskonałej chwili do trwania przy Nim, jaką jest czas po przyjęciu Komunii świętej* (Droga doskonałości, 34,10).

Jeśli zdamy sobie sprawę z tego, czym jest Eucharystia, będziemy w niej częściej uczestniczyć i przyjmować Komunię świętą nawet codziennie: *Jeśli jest to chleb powszedni – argumentuje św. Ambroży z Mediolanu przy końcu IV w. – to dlaczego przyjmujesz go po roku, podobnie jak to zazwyczaj Grecy robią na Wschodzie? Przyjmuj go codziennie, gdyż codziennie może ci udzielić pomocy! Tak żyj, abyś mógł przyjmować każdego dnia* (O sakramentach, V, 25, w: Św. Ambroży, Wybór pism dogmatycznych, Pisma Ojców Kościoła, t. XXVI, Poznań 1970, s. 84-85).

Zauważyliśmy już, że jednym z przejawów żarliwości w sprawach Bożych jest ostrożność, z jaką obchodzimy się ze wszystkim, co ma związek z kultem. Wszyscy święci odznaczali się wielką wrażliwością, zwłaszcza wobec Eucharystii. Przepięknym jej świadectwem są pełne troski słowa św. Franciszka z Asyżu: *Niech więc wszyscy szafarze tych najświętszych tajemnic, zwłaszcza ci, którzy to czynią bez szacunku, zastanowią się, jak liche są kielichy, korporaty i obrusy, które służą do ofiary Ciała i Krwi Pana naszego Jezusa Chrystusa. Jest wielu takich, którzy przechowują Eucharystię w miejscach niewłaściwych, niosą ją ulicami w sposób oplakania godny, przyjmują niegodnie i udzielają innym bez szacunku (...). Czyż to wszystko nie przejmuje nas troską, chociaż sam Pan w swojej łaskawości oddaje się w nasze ręce i codziennie Go dotykamy, i przyjmujemy naszymi ustami? Czyżbyśmy zapomnieli, że musimy wpaść w Jego ręce? Poprawmy się bez zwlekania i zdecy-*

dowanie z tych i innych błędów. Gdziekolwiek Najświętsze Ciało Pana naszego Jezusa Chrystusa jest niegodnie umieszczone i zostawione, należy je z takiego miejsca zabrać i złożyć w miejscu godnym i zabezpieczonym (Św. Franciszek z Asyżu, List do wszystkich kleryków o czci dla Ciała Pańskiego i czystości ołtarzy, w: Pisma św. Franciszka z Asyżu, Warszawa 1976, s. 128-129).

Ze wszystkim, co ma związek z Eucharystią, powinniśmy obchodzić się z wielką delikatnością. I nie powinno zabraknąć naszego trwania przy Panu, który prawdziwie jest obecny w Tabernakulach naszych kościołów. Wspaniałą jest zwyczaj codziennego nawiedzania Go o ustalonej porze dnia. Wówczas całkiem naturalnie nasze życie chrześcijańskie zacznie koncentrować się coraz bardziej wokół Eucharystii. W miarę jak pogłębia się nasza wiara i żarliwsza staje się nasza miłość, odkrywamy konieczność życia w łączności z Chrystusem eucharystycznym, który staje się centrum naszego życia. To zaś jest jakby preludium do tego, czym będzie życie wieczne. Św. Jan opisuje w Apokalipsie, że w niebieskim Jeruzalem, które jest obrazem nieba, nie będzie potrzebne słońce, gdyż Bóg będzie pośrodku i całe je oświeci (por. Ap 22, 5n).

## Poczucie grzechu

Chrześcijaństwo jest religią, w której centrum stoi Krzyż Chrystusa. Od wieków Kościół nieprzerwanie sprawując Eucharystię, uobecnia Jego śmierć i zmartwychwstanie, łącząc się z samym Chrystusem, aby złożyć Ojcu dobrowolną ofiarę Jego Syna. Ukrzyżowany Jezus z Nazaretu jest centrum historii zbawienia, która jest prawdziwą historią ludzkości: historią relacji między Bogiem a człowiekiem, począwszy od jego stworzenia aż do przyjęcia go w domu niebieskim, który jest domem Ojca.

Krzyż stanowi niezgłębianą tajemnicę. Jest środkiem, którym Bóg się posłużył, aby naprawić grzechy wszystkich ludzi wszystkich czasów. Jest znakiem pojednania, poprzez który Bóg przebacza: *Zechciał bowiem [Bóg], aby w Nim zamieszkała cała Pełnia, i aby przez Niego znów pojednać wszystko z sobą: przez Niego – i to, co na ziemi, i to, co w niebiosach, wprowadziwszy pokój przez krew Jego krzyża (Kol 1,19-20); Albowiem w Chrystusie Bóg jednał z sobą świat, nie poczytując ludziom ich grzechów, nam zaś przekazując słowo jednania (2 Kor 5,19).*

Zadziwiająca jest to, że Bóg mógł przecież przebaczyć nam na wiele innych, prostszych sposobów. Dlaczego więc wybrał sposób tak bolesny? Co chciał nam powiedzieć przez Krzyż?

Krzyż wzniesiony w centrum ludzkiej historii jest wymownym świadectwem Bożej miłości do ludzi: *Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne (J 3,16); Po tym poznaliśmy miłość, że On oddał za nas życie swoje (1 J 3,16); W tym prze-*

jawia się miłość, że nie my umiłowaliśmy Boga, ale że On sam nas umiłował i posłał Syna swojego jako ofiarę przebłagalną za nasze grzechy (1 J 4, 10).

Bóg zechciał przebaczyć ludziom ich grzechy, sam stając się człowiekiem i przyjmując na siebie ból i śmierć, które są konsekwencją grzechu. W tej sytuacji klęski nie pozostawił człowieka samego, lecz dzielił z nim to, co najcięższe w ludzkiej niedoli, tak abyśmy mieli w Nim oparcie i pociechę: *On, istniejąc w postaci Bożej, (...) ogołocił samego siebie, przyjmawszy postać sługi, stawszy się podobnym do ludzi. A w zewnętrznym przejawie, uznany za człowieka, uniżył samego siebie, stawszy się posłusznym aż do śmierci – i to śmierci krzyżowej (Flp 2, 6-8); Nie takiego bowiem mamy arcykapłana, który by nie mógł współczuć naszym słabościom, lecz doświadczonego we wszystkim na nasze podobieństwo, z wyjątkiem grzechu (Hbr 4, 15); W czym bowiem sam cierpiał, będąc doświadczany, w tym może przyjść z pomocą tym, którzy są poddani próbom (Hbr 2, 18).*

Odtąd mamy w Chrystusie wzór do naśladowania we wszystkich sytuacjach życiowych, tych trudnych i tych łatwiejszych. On nadał całkiem nowy sens bólowi, cierpieniu i śmierci: *Za wszystkich umarł Chrystus po to, aby ci, co żyją, już nie żyli dla siebie, lecz dla Tego, który za nich umarł i zmartwychwstał (2 Kor 5, 15) – powie św. Paweł. Dlatego też, gdy doświadcza życiowych trudności, może dodać: Nosimy nieustannie w ciele naszym konanie Jezusa, aby życie Jezusa objawiło się w naszym ciele (2 Kor 4, 10). Nasze życie ukierunkowane jest więc na osiągnięcie pełnego utożsamienia się z Chrystusem, co nie jest możliwe bez Krzyża: Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus. Choć nadal prowadzę życie w ciele, jednak obecne życie moje jest życiem wiary w Syna Bożego, który umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie (Ga 2, 20).*

W tym świetle o wiele lepiej możemy zrozumieć słowa Chrystusa: *Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie,*

niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladowuje (Mt 16, 24). On pierwszy przeszedł tę drogę, która wiedzie przez ból i śmierć, ale w ostateczności prowadzi do Jego królestwa.

W życiu, śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa odkrywamy cudowne świadectwo Bożej miłości. Nadal jednak nie znamy odpowiedzi na nasze pytanie, Bóg bowiem mógł okazać swoją miłość w inny sposób. Dlaczego Bóg przebaczył właśnie przez Krzyż? Co chciał nam przez to powiedzieć?

Nie można zrozumieć tajemnicy Krzyża bez odniesienia jej do innej tajemnicy: tajemnicy grzechu. Tradycja chrześcijańska mówi nam o tajemniczej zależności między grzechem ludzi a śmiercią Chrystusa na Krzyżu. *Lecz On był przebity za nasze grzechy, zdruzgotany za nasze winy. Spadła Nań chłosta zbawienna dla nas, a w Jego ranach jest nasze zdrowie* (Iz 53, 5). Słowa św. Pawła wydają się brzmieć z niestychanym okrucieństwem: *On to dla nas grzechem uczynił Tego, który nie znał grzechu, abyśmy się stali w Nim sprawiedliwością Bożą* (2 Kor 5, 21). Ukrzyżowany Chrystus staje się znakiem tego, do czego prowadzi grzech człowieka. Spróbujmy teraz rozważyć trzy aspekty grzechu, jakie ukazuje nam Krzyż Chrystusa.

1. Z całą pewnością śmierć Jezusa na Krzyżu, która miała miejsce w danym momencie historii, była grzechem, czy – mówiąc bardziej precyzyjnie – rezultatem grzechów wielu ludzi. Chrystus umarł przez nienawiść i brak tolerancji wielu faryzeuszy i uczonych w Piśmie, którzy dążyli do unicestwienia Go; przez słabość tych, którzy sprawowali sądy; przez strach tych, którzy powinni byli Go bronić; przez obojętność tych, którzy mieli powody, aby Go kochać. W sumie zbiór ludzkich słabości zaprowadził Syna Bożego na Krzyż.

Nie trzeba wcale myśleć o jakiś strasznych ludziach przepelnionych nienawiścią, aby wytłumaczyć to, co się zdarzyło. Przynajmniej w większości przypadków nie były to żadne potwory ani też specjalnie nie pragnęli czynić zła. Czasami wyobrażamy sobie

mękę i śmierć Pana jakby to była jakaś sztuka teatralna, w której aktorzy przedstawiają wielkie namiętności, nieobecne w naszym życiu. W rzeczywistości zwykle grzechy zaprowadziły Chrystusa na Krzyż: zwykła zazdrość, słabość, zwykłe tchórzostwo, zwykła obojętność. Znamy tyle podobnych wydarzeń z historii i mamy wystarczająco dużo doświadczenia, aby stwierdzić, że nie jest wcale konieczne nadzwyczajne zło. Ci, którzy brali udział w największych potwornościach, jakie zna ludzkość, usprawiedliwiają się twierdząc, że oni nie wiedzieli, że to inni im rozkazali, że wszyscy robili tak samo, że w rzeczywistości nie chcieli uczynić tak wielkiej krzywdy, że czynili to powodowani szlachetnymi motywami lub że nie było innego wyjścia.

Czymś naprawdę przerażającym jest stanąć samemu pośród tych wydarzeń, w ich centrum, i pomyśleć: co my byśmy uczynili, jaka byłaby nasza reakcja, gdyby wszyscy sądzili, że On powinien umrzeć, jeśli czulibyśmy wielki nacisk otoczenia, gdybyśmy słyszeli krzyki, jeśli nie mielibyśmy wiarygodnych danych do osądzenia Go, jeśliby się nam wydało, że tak naprawdę Jezus był dziwnym człowiekiem; jeśli balibyśmy się konsekwencji...

Jeśli bylibyśmy gorliwymi i zadowolonymi z siebie faryzeuszami albo sędziami przyzwyczajonymi do dostosowywania się do warunków, lub mieszkańcami Jerozolimy zatroskanymi o to, by przejść przez życie w sposób jak najmniej bolesny, albo też mało gorliwymi uczniami, to wynik byłby taki sam: nienawiść doprowadziłaby nas do prześladowania Jezusa, słabość do skazania Go, a obojętność do ciekawskiego i obojętnego przyglądania się przybitemu do Krzyża. W najlepszym wypadku, jeśli rzeczywiście bylibyśmy Jego uczniami, sparaliżowałby nas strach i szukalibyśmy schronienia, myśląc jednocześnie, że tyle cudownych rzeczy, które w Jego obecności przeżyliśmy, było tylko snem.

To prawda, że było kilka osób, które nie uciekły i potrafiły trwać przy Nim w najtrudniejszych chwilach: wiemy, że Maryja wraz z innymi niewiastami i Jan stali pod Krzyżem. Lecz byli to

tylko ci, którzy kochali Go ponad wszystko. Jeśli my dzisiaj nie kochamy Jezusa tak, jak Go kochali Maryja, niewiasty i Jan, to nie mamy prawa wyobrażać sobie nas w ich roli.

Bóg zechciał przyjść, aby zamieszkać pośród ludzi, a skończył na Krzyżu. Jezusa ukrzyżowali ludzie Mu współcześni, lecz równie dobrze i my moglibyśmy uczynić to samo. W rzeczywistości Bóg zawsze pragnie przybliżyć się do nas, a my Go lekceważymy. Wiemy, że Pan Bóg szuka nas w każdej sytuacji naszego życia, a my często Go odrzucamy. Czynimy to, gdy nie wypełniamy naszych obowiązków, kiedy ulegamy naszym słabościom, kiedy jesteśmy egoistami, ponieważ każde z tych zaniedbań oddala nas od Niego.

Dlatego też Krzyż wznosi się jako symbol szorstkości, z jaką my, ludzie – wszyscy ludzie – traktujemy Pana Boga. Męka Chrystusa wyraża każde nasze odrzucenie, każdą naszą słabość, każdą naszą obojętność, każde nasze tchórzostwo. *Dla Ciebie bowiem znoszę urąganie i hańba twarz mi okrywa. Dla braci moich stałem się obcym i cudzoziemcem dla synów mej matki. Bo gorliwość o dom Twój mnie pożera i spadły na mnie obelgi uwłaczających Tobie* (Ps 69, 8-10).

Krzyż wskazuje nam na obrazę Boga, jaką jest każdy nasz grzech. Taki jest pierwszy aspekt tajemnicy grzechu: obraza, pogarda, jaką okazujemy Bogu, który pragnie nas kochać.

2. Krzyż wyraża również inny głęboki wymiar grzechu: sponiewieraną prawdę. Nie możemy zapomnieć, że Chrystus jest Prawdą, którą Bóg posłał na świat (por. J 14, 6): prawdą o Bogu i prawdą o człowieku. Kiedy ówczesni ludzie ukrzyżowali Jezusa, ukrzyżowali również prawdę, a przez to ukazali właśnie ten wymiar grzechu.

Każdy grzech polega na zagłuszeniu prawdy. Kiedy grzeszymy, odrzucamy światło sumienia: prawdę pochodzącą od Boga, ignorujemy i pogardzamy Jego głosem rozbrzmiewającym w naszym wnętrzu. Wiemy, co powinniśmy czynić, a nie czynimy tego; wiemy, czego nie powinniśmy czynić, a jednak to czynimy.

Grzech niesie z sobą oszustwo i ucieczkę. Oszustwo, ponieważ jakaś mizerna wartość ziemską (dobro, lecz nieuporządkowane) jawi się nam przyozdobiona dobrocią. W głębi naszego jestestwa uznajemy, że to nie jest w porządku, że winniśmy działać w inny sposób, mimo to uspokajamy ten protest, przymuszając sumienie i dając się coraz bardziej oszukiwać fałszywym argumentom. Ucieczka od sumienia (od osądu rozumu, który wskazuje nam to, co powinniśmy zrobić) jest ucieczką od klarowności prawdy, a w ostateczności ucieczką od Boga. Księga Rodzaju opowiada nam, że pierwsi rodzice – Adam i Ewa – po tym, jak dali się oszukać i zjedli owoc zakazany, odczuli konieczność ukrycia się przed Bogiem, któremu do tej pory ufali (por. Rdz 3, 8). Ten sam impuls skłaniający do ucieczki i ukrycia się odczuwa małe dziecko, kiedy wie, że zrobiło coś złego. Nie chodzi tu tylko o strach przed karą, lecz jest to ucieczka od rzeczywistości: strach przed uznaniem faktów, przed prawdą.

Wiele naszych grzechów wynika z naszej słabości. Czynimy coś złego nie ze względu na złą wolę, lecz dlatego, że pokusa nas zwycięża i do pewnego stopnia nas oszukuje: uświadamiamy sobie, że źle czynimy, a w głębi duszy chcielibyśmy działać właściwie. Przypominamy uczniów, którzy rzeczywiście kochali Jezusa, lecz nie potrafili przezwyciężyć strachu i opuścili Go pod Krzyżem. Światło sumienia jednak pozostaje, choć słabnie w miarę jak nie daje się mu posłuchu. Kiedy jednak człowiek przyzwyczaja się żyć bez sumienia, wówczas traci je. Grzech zostaje wtedy zaakceptowany bez żadnego oporu, jak stary znajomy: brak jest reakcji i nie można już powiedzieć, że tak naprawdę nie chcemy grzeszyć, ponieważ nasze sumienie zamilkło. Podobni jesteśmy do widzów, którzy przyglądali się obojętnie scenie ukrzyżowania, lub do Pilata, który skazał Jezusa, wątpiąc przy tym, czy prawda rzeczywiście istnieje. W tej sytuacji nie tylko mamy do czynienia ze słabością, lecz ze sceptycznym zaślepieniem, które jest skutkiem przyzwyczajania się do gwałtu zadawanego sumieniu.



Jeśli do zaślepionego sumienia dodamy jeszcze miłość własną, sytuacja komplikuje się. W najcięższych przypadkach nie tylko nie uznaje się grzechu, lecz także atakuje się prawdę. Powstaje specyficzne zwątpienie i antypatia do właściwego postępowania innych ludzi, ponieważ staje się ono wyrzutem. W mniejszym lub większym stopniu – w zależności od wielkości miłości własnej – wewnętrzny niesmak i złe samopoczucie spowodowane nieuporządkowanym postępowaniem uwidaczniają się w goryczy, z jaką się osądza innych ludzi. Nie toleruje się światła i dąży się, nieświadomie, niemal automatycznie do prześladowania i ukarania go. Kiedy już sumienie zostaje uśpione, człowiek prześladowuje światło na jedynej drodze, po której ono do niego dociera, tzn. w postępowaniu innych. W skrajniejszych przypadkach usiłuje się zburzyć fundamenty ich postępowania i zmienić ich, aby w ten sposób usprawiedliwić własne życie. Ale Pan przestrzega nas: *Każdy bowiem, kto się dopuszcza nieprawości, nienawidzi światła i nie zbliża się do światła, aby nie potępiono jego uczynków* (J 3, 20).

Tu nie chodzi już tylko o słabość czy zaślepienie, lecz o przewrotność i perwersję. Przyzwyczajenie się do grzechu powoduje ślepotę i sceptycyzm, natomiast przewrotność prowadzi do nietolerancji i znienawidzenia prawdy. Ślady przewrotności możemy odnaleźć np. w drwinie, przez którą koledzy starają się upokorzyć tego, kto jest lepszy od nich. Podobnie dzieje się, gdy grupa mało zaangażowana śmieje się z kogoś, kto sumiennie pracuje, lub występuje z krytyką kogoś, kto ich przewyższa. Pycha sprawia, że widzi się w krzywym zwierciadle to, co jest dobre. Jest w tym coś ze zboczenia, gdyż zmienia się naturalne nastawienie woli: zamiast kochać dobro, czuje się do niego wstręt; spogląda się na dobro jak na zło.

Ten, kto popełnia zło ze zwykłej słabości, zazdrości temu, kto czyni dobro, i chciałby być do niego podobnym. Porównywanie doprowadza go do ubolewania nad własnym położeniem i do

skruchy, z mniejszym lub większym skutkiem. Natomiast kiedy miłość własna jest wielka, wówczas spontaniczną reakcją, powstającą po porównaniu się, będzie niechęć i złość na tego, kto dobrze postępuje. Św. Jan przestrzega nas: *Taka bowiem jest wola Boża, którą objawiono wam od początku, abyśmy się wzajemnie miłowali. Nie tak, jak Kain, który pochodził od Złego i zabił swego brata. A dlaczego go zabił? Ponieważ czyny jego były złe, brata zaś sprawiedliwe. Nie dziwcie się bracia, jeśli świat was nienawidzi* (1 J 3, 11-13).

Przewrotność w skrajnej postaci objawia się w nienawiści do ludzi żyjących w duchu błogosławieństw, co jest najklarowniejszym znakiem perwersji zła. Jest to jakby zwierzęca nietolerancja wobec postępowania właściwego dziecku Bożemu: nienawidzi się bez żadnego motywu jego łagodności, prostoty, radości, dobroduszości. Wiele z prześladowań, które cierpią ludzie wierzący da się tylko tak wytłumaczyć. Postępowanie chrześcijan, w którym odbija się światło Boże, zostaje znienawidzone, gdyż odbierane jest jako wyrzut przez tych, którzy nie chcą zbliżyć się do światła. *Jeżeli was świat nienawidzi, wiedzcie, że Mnie pierwiej znienawidził. Gdybyście byli ze świata, świat by was kochał jako swoją własność. Ale ponieważ nie jesteście ze świata, bo Ja was wybrałem sobie ze świata, dlatego was świat nienawidzi* (J 15, 18-19).

Na tym właśnie polega – według Ewangelii – grzech faryzeuszy. Nie tylko nie uznali oni Chrystusa, lecz również, w miarę jak objawiał się poprzez swoje dzieła, bardziej jeszcze się zamykali i w końcu znienawidzili Go, doprowadzając do Jego śmierci. Grzech zatwardziały nie usuwa światła prawdy: chce ją widzieć ukrzyżowaną.

Przewrotność sprawia, że grzech staje się coraz cięższy. Choć grzechy popełnione ze słabości oddzielają od Boga i również mogą być ciężkie (grzechy przeciwko czystości, pijaństwo, itd.), to zazwyczaj towarzyszy im natychmiastowy żal. Kiedy jednak człowiek przyzwyczai się do całkowitego lekceważenia światła Boże-

go, a więc i swojego sumienia, to zaciemnia się ono i staje się obojętne. Wówczas nie czuje on pilnej konieczności skruchy, gdyż wydaje się mu ona bez sensu. A nawet kiedy odczuwa coś w rodzaju skruchy, to jest to tylko puste i mało skuteczne uczucie. Kiedy bowiem pojawiają się przejawy przewrotności, skrucha staje się niemożliwa, ponieważ brakuje dobrej woli, a dobro, w które powinna się przekształcić, uznaje za zło. Człowiek załamuje się wewnątrz, doprowadzając do zachowań, które często są patologiczne.

Ukrzyżowana prawda – zlekceważenie i zaciemnienie prawdy – jest drugim aspektem tajemnicy grzechu.

3. W śmierci Chrystusa zostaje symbolicznie przedstawiona szkoda, jaką grzech wyrządza człowiekowi. Pismo Święte naucza nas, że każdy człowiek jest obrazem Boga (por. Rdz 1, 26). Oznacza to, że życie ludzkie powinno odzwierciedlać życie Boże. Dzieje się tak z postanowienia Boga, aby człowiek Go poznał i pokochał, a ostatecznie, aby miał udział w Jego życiu. W miarę jak człowiek zbliża się do Boga, staje się bardziej do Niego podobny.

Doskonałość ludzka zakłada również – zważywszy na to, że Bóg zechciał udzielić nam tego daru poprzez łaskę – możliwość uczestniczenia w życiu Bożym. Są to dwa nierozdzielne aspekty: w miarę jak wzrasta w nas obraz Boży, wzrasta również doskonałość ludzka – prawość z jej przejawami wewnętrznej harmonii, pokoju, radości, itd. – i zdolność życia życiem Bożym. Już na ziemi rozpoczyna się pełny udział w życiu Bożym, które osiągniemy w niebie.

Natomiast przeciwny skutek powoduje każdy grzech, który wypacza obraz Boży, jaki posiadamy, niszczy doskonałość człowieka i czyni go niezdolnym do udziału w życiu Bożym. Grzech wprowadza zawsze nieporządek w człowieku, burzy jego harmonię. Widzieliśmy już, że każdy grzech wprowadza wewnętrzny rozłam i oszustwo. Słabnie głos sumienia, osłabia się wola, potęgają się namiętności. Pozostaje ślad niezadowolenia, które jest

najczytelniejszym znakiem zranienia, jakie dokonało się w ludzkiej naturze. Jeśli bowiem właściwe postępowanie przynosi radość, to po złym postępowaniu, kiedy już minie zadowolenie, którego w nim szukaliśmy, pozostaje jedynie rozgoryczenie. To wewnętrzne rozbicie czyni nas niezdolnymi do miłowania Boga ponad wszystko: tracimy motywację do szukania i wrażliwość konieczną do odnalezienia Go; trudniej dawać świadectwo naszemu podobieństwu do Niego.

Ciało Chrystusa, doskonały obraz Ojca, zniekształcone przez uderzenia, biczowanie i złe traktowanie, jest jakby plastycznym wyobrażeniem tego, jaką szkodę wyrządza grzech człowiekowi: *Tak nieludzko został oszpecony Jego wygląd i postać Jego była niepodobna do ludzi. (...) Nie miał On wdzięku ani też blasku, aby na Niego popatrzeć, ani wyglądu, by się nam podobał. Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi, Mąż boleści, oswojony z cierpieniem, jak ktoś, przed kim się twarze zakrywa, wzgardzony tak, że mieliśmy Go za nic...* (Iz 52, 14; 53, 2-3). Każdy nasz grzech psuje i zniekształca obraz Boży, który w sobie nosimy, tak jak ciosy, biczowanie i złe traktowanie zniekształciły ciało Jezusa.

Chrystus przybity do Krzyża wyobraża człowieka umarłego przez grzech. Grzechy, które powodują w nas utratę życia Bożego – utratę obecności Ducha Świętego i Jego łaski – nazywamy grzechami ciężkimi, a inne lekkimi. Grzechy ciężkie nazywane bywają także grzechami śmiertelnymi, ponieważ zabijają w nas życie Boże i przez to pozbawiają udziału w królestwie przygotowanym przez Boga dla tych, którzy Go miłują. Tradycja Kościoła widziała w różnych cierpieniach Chrystusa – biczowaniu, uderzeniach, obelgach – skutek naszych grzechów lekkich, natomiast w Jego śmierci skutek naszych grzechów ciężkich.

Możemy rozpoznać, które grzechy są ciężkie, gdyż dostrzegamy wielką szkodę, jaką powodują (np. niektóre grzechy niesprawiedliwości). Lecz nie zawsze jest to łatwe, gdyż nie dostrzegamy, jaki jest ten obraz Boży w nas, podobnie jak nie zawsze możemy

określić konsekwencje, jakie nasze grzechy spowodują w życiu innych ludzi i całej społeczności. Aby ułatwić człowiekowi poznanie moralności jego postępowania, Bóg objawił ciężar niektórych grzechów. Tak na przykład naucza św. Paweł: *Nie ludźcie się! Ani rozpustnicy, ani bałwochwalcy, ani cudzołożnicy, ani rozwięzli, ani mężczyźni współżyjący ze sobą, ani złodzieje, ani chciwi, ani pijacy, ani oszczercy, ani zdziercy nie odziedziczą królestwa Bożego* (1 Kor 6, 9-10). W ten sposób wiemy, że są grzechami ciężkimi również i te, których konsekwencje trudno byłoby zmierzyć (jak grzechy przeciwko czystości, chciwość czy oszczerstwo). Bóg, który wie, jakim jest człowiek naprawdę, pomaga nam.

Krzyż Chrystusa pozwolił nam zilustrować trzy najbardziej wybijające się aspekty tajemnicy grzechu: złe postępowanie wobec Pana Boga – pogardzanie Nim; zaciemnienie prawdy – osłabienie światła sumienia; i zburzenie doskonałości człowieka – obrazu Boga, co uniemożliwia nam życie życiem w Bogu już tu na ziemi, a dopiero po zmartwychwstaniu, w niebie.

W miarę wzrostu życia chrześcijańskiego, pogłębia się poczucie grzechu, a traci się je, kiedy maleje owo życie. Poczucie grzechu jest bowiem bardzo ściśle związane z tajemnicą Boga. Kto broni się przed uznaniem własnych grzechów, kto nie okazuje skruchy, kto nie stawia czoła życiu, kto ucieka od niego, nie chcąc uznać jego realizmu, ten oddala się od Boga. Nadchodzi chwila, kiedy Bóg nic praktycznie już dla niego nie oznacza. Człowiek zmysłowy bowiem nie pojmuje tego, co jest z Bożego Ducha. Głupstwem mu się to wydaje i nie może tego poznać, bo tylko duchem można to rozsądzić – powie św. Paweł (1 Kor 2,14).

Wszyscy ludzie są grzeszni: *Nigdy nie brakuje czegoś do przebaczenia – zauważa św. Augustyn – jesteśmy przecież ludźmi. Za dużo mówiłem; powiedziałem coś niepotrzebnie; za dużo się śmiałem; za dużo wypilem; jadłem bez umiaru; chętnie słuchałem tego, czego nie powinno się słuchać; przypatrywałem się chętnie temu, czego nie powinno się oglądać; myślałem z rozkoszą o tym, o czym nie powinno*

się myśleć... (Kazanie 57). Św. Jan pisze: *Jeśli mówimy, że nie mamy grzechu, to samych siebie oszukujemy i nie ma w nas prawdy. Jeżeli wyznajemy nasze grzechy, [Bóg] jako wierny i sprawiedliwy odpuści je nam i oczyści nas z wszelkiej nieprawości* (1 J 1, 8-9).

Powinniśmy się starać, aby nasze serce zachowało wrażliwość, bez przyzwyczajania się do tego, co oddala nas od Boga: *Jeśli ktoś posiada zdrowy zmysł węchu, poczuje w duszy jak cuchną grzechy – stwierdza św. Augustyn (Komentarz do Psalmu 37). A w innym miejscu dodaje: Nie lekceważcie tych grzechów, do których już się przyzwyczailiście. Przyzwyczajenie sprawia, że nie docenia się ciężaru grzechu. To, co staje się twarde, traci wrażliwość. Natomiast to, co znajduje się w stanie zepsucia, nie boli – nie dlatego, że jest zdrowe, lecz ponieważ jest martwe. Jeśli uktujemy się w jakimś miejscu i nas boli, to oznacza, że owo miejsce jest zdrowe lub też możliwe do uzdrowienia. Jeśli zaś nie boli nas, to dlatego, że jest już martwe: trzeba je amputować* (Kazanie 17).

Jeszcze przed publicznym wystąpieniem Jezusa, z Bożego postanowienia Jan Chrzciciel wzywał do nawrócenia z grzechów i pokuty jako właściwego przygotowania na spotkanie z Jezusem (por. Mt 3, 1). Zawsze jest tak samo: każde nowe spotkanie z Bogiem wymaga z naszej strony nawrócenia. Nasze życie powinno być historią nawróceń, skruchy, poprawy: historią, w której coraz wyraźniej odkrywamy, jakie zaniedbania zniekształcają obraz Boga w nas, i decydujemy się na ich usunięcie. Św. Augustyn radzi nam: *Naśladujcie żeglarzy: ich ręce nie spoczną, zanim nie wysuszą dna łodzi; podobnie też niech i wasze ręce nie przestają czynić dobra. Pomimo to na nowo napelni się wodą dno łodzi, jako że pozostają szczeliny ludzkiej słabości. Stąd na nowo trzeba będzie wylać wodę* (Kazanie 16).

Na początku większą uwagę będzie zwracać sama brzydota grzechu, ponieważ widać, jak niszczy on człowieka. Niepokoi również świadomość, że nasze grzechy mogą nas uczynić niezdolnymi do radowania się Bogiem: pojmujemy wówczas, że nie ma nic strasniejszego niż zostać na zawsze odsuniętym od miło-

ści Boga. Najgorszą jednak w grzechu jest obraza Pana Boga. To zaś daje się zobaczyć z całą jasnością tylko wtedy, gdy życie chrześcijańskie rozwija się, gdyż wówczas wszystkie jego chwile ocenia się w odniesieniu do Boga.

Prawdziwe umiłowanie Pana Boga prowadzi do tego, że możemy słyszeć Jego głos w każdym momencie naszego życia, i rozumiemy, że posłuszeństwo sumieniu jest oddaniem Mu chwały, a nieposłuszeństwo sprzeniewierzeniem się Bogu. Staje się wówczas czymś oczywistym, że każde, a tym bardziej poważne uchybienie jest rzeczywiście brakiem wierności, odrzuceniem i obrażą Jego miłości względem nas. Powinniśmy podejść do tego poważnie, jeśli naprawdę chcemy Go kochać, ponieważ to my sami – a nie „coś” w nas – odrzucamy Pana Boga. Miłość wymaga naszej osobistej skruchy przed Bogiem. Pięknie wyraża to psalm 51, który oddaje ból Dawida. Król zdaje sobie sprawę z ciężaru popełnionego grzechu: *Uznaję bowiem moją nieprawość, a grzech mój jest zawsze przede mną. Tylko przeciw Tobie zgrzeszyłem i uczyniłem, co złe jest przed Tobą* (Ps 51, 5-6). Błędy naszego życia, pomyłki w naszym postępowaniu są nie tylko błędami strategii czy pomyłkami technicznymi, lecz prawdziwą obrażą Pana Boga. Są naszym osobistym wkładem w tragedię Krzyża: *I czuje się, że grzech nie sprowadza się do małego „błędu ortograficznego”: oznacza krzyżowanie, rozrywanie uderzeniami młota rąk i nóg Syna Bożego i pęknięcie Jego serca* (Bruzda, n. 993).

Nasze grzechy przynależą w ten sposób do tajemnicy Krzyża Chrystusa. On zechciał umrzeć na Krzyżu, abyśmy wiedzieli, czym jest grzech. Jeśli potrafimy uznać nasze grzechy i walczyć z nimi, miłość Boga rozleje się w naszych sercach i napelni nas swoim pokojem i radością. Odczuwamy wówczas prawdę słów Jezusa: *Pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam. Nie tak jak daję świat, Ja wam daję* (J 14, 27). Wtedy to pokój Boży, który przewyższa wszelki umysł, będzie strzegł waszych serc i myśli w Chrystusie Jezusie (Flp 4, 7).

## Spowiedź

Gdzie jednak wzmógł się grzech, tam jeszcze obficie rozlała się łaska (Rz 5, 20). Krzyż Chrystusa jest gwarancją Bożego przebaczenia. Nie ma grzechu, którego Bóg nie chciałby przebaczyć poprzez Krzyż swojego Syna. Z naszej strony konieczna jest skrucha, czyli uznanie grzechu i żal za niego. Skrucha jest bramą przebaczenia.

Chrystus przyszedł do grzeszników: *Nie potrzebują lekarza zdrowi, ale ci, którzy się źle mają. Nie przyszedłem wezwać do nawrócenia sprawiedliwych, lecz grzeszników* (Łk 5, 31-32). I wytłumaczył nam, na czym polega miłość, którą obdarza człowieka: w przypowieściach o zaginionej owcy, o zagubionej drachmie i o synu marnotrawnym, które św. Łukasz zebrał razem w 15 rozdziale swojej Ewangelii. Pierwsza przypowieść opowiada o pasterczu, który ma sto owiec, a idzie na poszukiwanie tej, która zaginęła, i gdy ją znajdzie, bierze z radością na ramiona i wraca do domu (Łk 15, 5-6). I Chrystus tak to komentuje: *Tak samo w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia* (Łk 15,7). Druga jest opowieścią o kobiecie, która posiada dziesięć monet i gubi jedną z nich. Szuka jej dokładnie, a kiedy ją znajdzie, napełnia się wielką radością. I znowu Jezus podkreśla: *Tak samo, powiadam wam, radość powstaje u aniołów Bożych z jednego grzesznika, który się nawraca* (Łk 15,10).

Ostatnia przypowieść jest najdłuższa i zarazem najpiękniejsza. Mówi o synu, któremu udaje się namówić swojego ojca, aby dał



mu tę część majątku, która przypada mu w udziale. Wówczas odjeżdża z domu i trwoni majątek, żyjąc rozrzutnie. Kiedy wszystko układa się już bardzo źle, decyduje się powrócić do domu, aby przynajmniej najeść się do syta. Myśli wówczas: *Pójdę do mojego ojca i powiem mu: Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem ciebie; już nie jestem godzien nazywać się twoim synem: uczyni mnie choćby jednym z najemników*. Jego rozumowanie nie jest powodowane zbyt szlachetnymi motywami, jako że decyduje się powrócić do swojego domu ze względu na głód, który cierpi. Najważniejsze jednak, że wraca. I Chrystus podkreśla ten wspaniały szczegół, który jest jednocześnie istotą tej przypowieści: *A gdy był jeszcze daleko, ujrzał go jego ojciec i wzruszył się głęboko; wybiegł naprzeciw niego, rzucił mu się na szyję i ucałował go* (Łk 15, 20). Nie dał mu nawet dojść do słowa i wypowiedzieć tego, co sobie przygotował. Gdy tylko powraca, zostaje natychmiast przyjęty z radością i to nie jako służący, lecz jako syn.

Taki sam jest Pan Bóg: zawsze gotów nam przebaczyć i traktować nas jako dzieci, które ponownie nawiązują z Nim przyjaźń. Dlatego w swoim miłosierdziu ustanowił specjalny sposób, poprzez który możemy wyrazić skruchę i uzyskać pewność Jego przebaczenia. Tym sposobem jest spowiedź sakramentalna. Bóg zechciał, aby Kościół w Jego imieniu przebaczał grzechy. Jezus Chrystus po zmartwychwstaniu udzielił tej władzy swoim Apostołom: *Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuscicie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie, są im zatrzymane* (J 20, 22-23). Od tej pory Kościół, w imieniu Chrystusa, odpuszcza grzechy, powtarzając w ten sposób to, co On czynił w czasie swojego życia (por. Mt 9, 2). Dlatego też spowiedź jest sakramentem Bożego miłosierdzia, Bożym przebaczeniem.

Z Bożego ustanowienia sakrament ten jest zwyczajnym sposobem powrotu ze śmierci grzechu do życia łaski. Bóg posługuje się swoją łaską na różne sposoby. Zechciał jednak, abyśmy przystępowali do tego sakramentu zawsze, kiedy nasze sumienie wyrzu-

ca nam popełniony grzech. Bóg pragnie, abyśmy naszą skruchę wobec Niego wyrażali właśnie w ten sposób: wyznając nasze grzechy i nasz ból przed kapłanem, który w Jego imieniu udziela nam rozgrzeszenia, jeśli widzi, że okazujemy skruchę.

Kapłan winien mieć świadomość, jakie są nasze grzechy. Ma osądzić, czy może nam je odpuścić czy też nie. Do odpuszczenia wystarcza pewność, iż penitent szczerze wyznał swoje grzechy i wyraża skruchę.

Natomiast ten, kto przystępuje do spowiedzi, powinien wyznać w prosty i jasny sposób, jakie grzechy popełnił wobec Pana Boga: o jaki typ działań chodzi, ich częstotliwość i, jeśli istnieją, specjalne okoliczności, które czynią je jeszcze cięższymi, wymienić je (dla przykładu: czym innym jest zwymyślać kolegę, czym innym własnego ojca; ukraść coś z bronią w ręku na ulicy, czy z szafy przyjaciela). Natomiast zbędnym jest wchodzenie w szczegóły osobiste, takie jak imię penitenta lub imię współnika, nazwa zakładu, w którym się pracuje, itd.

Aby zachęcić wiernych do korzystania z tego sakramentu, Kościół ustanowił, przed wielu już wiekami, obowiązek spowiadania się przynajmniej raz w roku z grzechów ciężkich lub śmiertelnych. Tradycyjnie czyni się to w okresie Świąt Wielkanocnych, kiedy to mają zwyczaj przystępować do spowiedzi i Komunii świętej ci, którzy nie czynią tego w innym czasie. Również konieczne jest wyspowiadanie się z grzechów ciężkich, jeśli takie popełniliśmy, zawsze kiedy mamy zamiar przystąpić do Komunii świętej, aby nie przyjąć niegodnie Chrystusa. Oczywiście trzeba, jeśli popełniło się grzech ciężki, wyspowiadać się z niego jak najszybciej, aby odzyskać życie łaski (ten intymny kontakt z Bogiem, którego udziela nam obecność Ducha Świętego).

Spowiedź służy również do proszenia Boga o przebaczenie wszystkich naszych grzechów i słabości, nie tylko tych ciężkich. Grzechy powszednie czy lekkie nie pozbawiają łaski i nie wymagają przebaczenia w spowiedzi, lecz ci, którzy starali się być za-

wsze blisko Boga, czuli konieczność okazania tego znaku skruchy. Bez wątpienia jest to miłe Panu Bogu, jako że jest to jeden z najklatrowniejszych sposobów, aby Go coraz bardziej umiłowac. Zawsze uważano za coś dobrego starać się spowiadać co tydzień lub przynajmniej co dwa tygodnie z tych grzechów powszednich i ze wszystkiego, co jest brakiem naszej miłości wobec Pana Boga.

Aby dobrze przeżyć sakrament pokuty, nazywany zazwyczaj po prostu spowiedzią, trzeba zdać sobie sprawę, że chodzi w niej o prośbę, wyrażoną przed kapłanem, o Boże przebaczenie grzechów i uchybień, które popełniliśmy. Najpierw trzeba zdać sobie sprawę, jakie są to grzechy. Powinniśmy spowiadać się ze wszystkich grzechów ciężkich, natomiast co do grzechów lekkich wystarczy, jeśli wyznamy te, które wydają się nam najistotniejsze, lub te, które przypomnieliśmy sobie w rachunku sumienia.

Najważniejsza jest jednak skrucha: ból, jaki powodują w nas popełnione grzechy. Bóg nie wymaga od nas głębokiego żywego bólu, gdyż nie zawsze jesteśmy do tego zdolni. Wystarczy niezadowolenie z samego faktu ich popełnienia i zauważenie, że są obrażą Pana Boga i szkodzą naszej z Nim relacji. Z żalu wypłynie postanowienie niepopelniania tych samych grzechów. Natomiast nie będzie prawdziwej skruchy, jeśli nie uczynimy wszystkiego co możliwe z naszej strony, aby znowu nie obrazić Pana Boga.

Trzeba bardzo dobrze wypełnić te warunki: rachunek sumienia, żal za grzechy, postanowienie poprawy, zwłaszcza wtedy gdy mamy zwyczaj częstego spowiadania się. Św. Franciszek Salezy tak radzi: *Miej zawsze szczery żal za grzechy, z których się spowiadasz, choćby najdrobniejsze były, i silne postanowienie, by się z nich w przyszłości poprawić. Wielu spowiada się z grzechów powszednich dla zwyczaju i jakby dla otrząśnięcia się z nich, lecz wcale nie myślą o poprawie* (Św. Franciszek Salezy, Filotea, czyli droga do życia pobożnego, Olsztyn 1985, s. 108).

Następnie przychodzi moment wyznania naszych grzechów spowiednikowi. Powinno się to uczynić z całą prostotą, starając

się być zwięzłym i mówić tylko to, co konieczne. Trzeba bronić się przed opowiadaniem zbytecznych rzeczy lub czegoś o innych ludziach, dołożyć jednak starań, aby wyznanie było kompletne.

Należy wyznawać nasze grzechy nie pozwalając na przemilczenie czegoś ze wstydu czy ozdabianie wieloma wyjaśnieniami lub przemykanie między innymi przewinieniami, które łatwiej nam wypowiedzieć. Nie powinniśmy osłaniać ich, by nie wydawały się takimi złymi, gdyż spowiedź ich jest wtedy raczej usprawiedliwieniem się niż oskarżaniem, powie św. Jan od Krzyża (Noc ciemna, I, 2, 4, w: op. cit., s. 407). Nie możemy zapominać, że chodzi tu o prośbę o Boże przebaczenie, a nie sprawienie dobrego wrażenia na księdzu. Przeżyjemy ją bardzo dobrze, mając świadomość, że rzeczywiście stajemy przed samym Chrystusem.

Św. Franciszek Salezy tak nam radzi: *Nie oskarżaj się na spowiedzi ogólnikowo, jak to wielu czyni z przyzwyczajenia, gdy mówią: Nie kochałem tyle Boga, ilem był powinien, nie modliłem się dość pobożnie, nie przyjmowałem sakramentów z takim uszanowaniem, jak należało itp. Takie bowiem zbyteczne ogólniki nie objaśniają spowiednika o stanie twego sumienia, albowiem wszyscy święci w niebie i wszyscy ludzie na ziemi mogliby powiedzieć to samo o sobie, gdyby się spowiadali* (Filotea, II, 19, w: op. cit., s. 108-109). Powinniśmy np. wyjaśnić, że rozproszyliśmy się przez myślenie o nas samych, że nie pomogliśmy tamtej osobie, ponieważ nam nie odpowiada, itd. *I tak np. nie zadowolaj się wyznaniem, że kłamiesz, nie szkodząc przy tym nikomu, lecz dodaj, że to pochodziło z próżności, by się pochwalić lub uniewinnić, albo z próżnej wesołości, albo z uporu* (Filotea, II, 19, w: op. cit., s. 109). Wypada także dodać, czy często nam się to zdarza albo od jak dawna.

Nie należy jednak popadać w panikę, jeśli zdarzyło się nam coś niechcący zapomnieć na spowiedzi. Nawet gdyby to był grzech ciężki: wystarczy wyznać go na najbliższej spowiedzi. Aby uniknąć skrupułów, niewskazane jest robić szczegółowych list

grzechów powszednich. Wystarczy szczerze wyznać spowiednikowi to, co w danej chwili pamiętamy. Jeśli zaś zdenerwujemy się, to możemy go poprosić, aby nam dopomógł poprzez stawianie pytań. Czasami pomaga przyzwyczajenie się do spowiadania według ustalonego porządku: dziesięć przykazań, grzechy główne, obowiązki wobec Boga, wobec bliźniego i siebie samego, itp.

Ostatnim warunkiem sakramentu pojednania jest wypełnienie pokuty, którą kapłan nam nałoży za nasze grzechy. Zazwyczaj jest to modlitwa lub jakaś prosta czynność i dobrze jest wykonać ją jak najszybciej, aby nie zapomnieć. Te modlitwy lub czynności mają przed Bogiem szczególną wartość.

Częsta spowiedź jest solidnym fundamentem życia wewnętrznego i jednym ze sposobów czynienia postępów w walce z własnymi wadami i w miłości do Boga. Dobrze, gdy mamy stałego spowiednika. To o wiele lepsze niż spowiadanie się przed przypadkowym księdzem, gdyż w ten sposób spowiednik poznając nas, lepiej będzie mógł nam pomóc, a nasza spowiedź nabierze prostoty i skuteczności.

Wybór stałego spowiednika jest czymś bardzo ważnym. Naprawdę opłaca się to uczynić. Szukajmy człowieka, który kocha Pana Boga, zna tajniki życia ascetycznego, jest roztropny i wymagający. Te wszystkie przymioty są bardzo istotne. Jeśli nie kocha dostatecznie Pana Boga i nie zna życia ascetycznego, nie będzie mógł nam pomóc. Jeśli nie jest roztropny, będzie kierował nami źle, a jeśli nie potrafi choć trochę od nas wymagać, nie ukáže nam wymówek, których używamy niekiedy bez zastanowienia, aby uciec od wierności Panu Bogu.

W tym momencie spowiednik staje się naszym kierownikiem duchowym. Tak określa się osobę, która doradza nam, jak poprawić nasze życie chrześcijańskie. Jej misją jest kierowanie, tzn. korygowanie, pomoc w rozpoznaniu tego, czego Bóg od nas oczekuje. Nie zastępuje przy tym wcale naszej inicjatywy, którą zawsze winniśmy posiadać, jako że miłość do Pana Boga, jak każda

miłość, ma charakter personalny. Misja kierownika duchowego jest podobna do roli przyjaciela, który lojalnie doradza nam w sprawach ziemskich. Niekiedy będzie musiał nas „popchnąć”, lecz nie powinno zabraknąć naszej osobistej inicjatywy ku lepszemu miłowaniu Pana Boga.

Posiadanie kierownika duchowego jest czymś wręcz niezbędnym dla postępu w miłości Boga. Co do tego święci są całkowicie zgodni. Czasami Bóg bezpośrednio daje zwykłym ludziom nadzwyczajne światło. Lecz nie udziela go komuś, kto może kroczyć po tej zwyczajnej drodze życia chrześcijańskiego. Św. Wincenty Ferreriusz tak pisze: *Nasz Pan, bez którego nic nie możemy uczynić, nigdy nie udziela swojej łaski komuś, kto mając do swojej dyspozycji człowieka zdolnego do pouczenia go i pokierowania nim, pogardza tym bardzo skutecznym środkiem uświęcenia się, myśląc, że sam sobie poradzi, i że o własnych siłach może szukać i znaleźć to, co jest konieczne do zbawienia (...). Ten zaś, kto ma kierownika i jest mu posłuszny bezgranicznie i we wszystkich sprawach, dojdzie do celu o wiele łatwiej i szybciej niż gdyby był sam, jakkolwiek posiadałby wnikliwy umysł i najmądrzejsze książki o sprawach duchowych (De vita spirituali, II, 1).*

Kierownik duchowy doradza przy wyborze właściwej metody, która ma nam pomóc zbliżyć się do Boga, przy wyborze właściwych postanowień, w pracy nad brakiem umiaru, przewyciężaniem zniechęcenia, zachęca do dalszej walki, rozwiązuje wątpliwości, pomaga wybrać najlepsze środki (lektury, itp.). Osoba doświadczona i kochająca Pana Boga będzie nami kierować o wiele lepiej niż uczynilibyśmy to my sami, jako że bardzo trudno być obiektywnym w tym, co odnosi się do nas samych: *Nie masz bowiem nikogo, kto by tak dobrze znał sam siebie, jak znają ci, którzy nań patrzą, jeśli jeno czynią to z miłości i szczerą o postęp jego troskliwością – zauważa św. Teresa (Księga życia, 16, 4, w: op. cit., t. I, s. 238-239).*

Skuteczność kierownictwa duchowego zależy w dużej mierze od szczerości przyjmującego to kierownictwo. Św. Franciszek Sa-

leży tak radzi: *Otwieraj mu swoje serce z wszelką szczerością i wiernością, przedkładaj mu jasno, co w tobie dobrego i złego, bez ogródek i obłudy* (Filotea, I, 4, w: op. cit., s. 33). Każdego z nas wiele kosztuje otwarcie się przed kimś, tym bardziej, kiedy to, co mamy powiedzieć, nie jest najprzyjemniejsze. Od czasu do czasu będziemy musieli się zarumienić, lecz to nie powinno przeszkodzić naszej szczerości. Dzięki temu zyskujemy tak wiele, że warto być przygotowanym na przejście małych opresji. Już po spowiedzi okazuje się, że nie warto było się tak przejmować, a jednocześnie jest to doskonały sposób na zwalczanie pychy i próżności, które leżą u podstaw tych obaw. Jak mówi stare przysłowie *grzeszyć to wstyd, a wstydem nie jest pokorne wyznanie grzechu*.

Pomocą w ćwiczeniu szczerości może być rozważanie o tym, że nie jesteśmy pierwszymi ludźmi zamieszkującymi ziemię i że wszyscy jesteśmy podobni do siebie. To, co nam się przytrafia, przydarzyło się wcześniej wielu innym i jeszcze wielu innym przydarzy się w przyszłości. Zazwyczaj spowiednik przyzwyczajony jest do słuchania różnych historii. Czasami mówienie o czymś może być dla nas trudne, bo chcemy, aby miał dobrą opinię o nas. Bez wątpienia jest to przejaw pychy, którą trzeba zwalczać. W tym kontekście nie powinniśmy nigdy pozwolić sobie na coś takiego, jak pójście do innego spowiednika niż zwykle, aby wyspowiadać się z czegoś, czego bardzo się wstydzimy. Byłaby to obłuda, która nie prowadzi do niczego dobrego. Bóg nagradza szczerość, gdyż jest Przyjacielem pokornych. Przewyciężenie wstydu poprzez wyznanie tego, co nas upokarza, jest pierwszym krokiem, który Bóg z pewnością pobłogosławi.

Istnieje doskonała rada: *Co powiem? – pytasz mnie, kiedy zaczynasz otwierać swą duszę. I odpowiadasz ze spokojnym sumieniem: to, czego byś nie chciał, aby ktokolwiek się dowiedział* (Bruzda, n. 327). Przyswojenie sobie tego zwyczaju, z pomocą Boga, którego poprosimy o niezbędne do tego siły, przynosi doskonały efekt. Bardzo szybko upraszcza się życie wewnętrzne i zaczynają

znikać komplikacje, które są owocem pychy. A kiedy zmniejsza się pycha, zwiększa się pokój i radość, ponieważ znikają prawie wszystkie motywy smutku, który zazwyczaj rodzi się z nadmiernej miłości samego siebie. *Skończyły się udręki. Odkryłeś, że szczerłość z kierownikiem duchowym przedziwnie łatwo naprawia szkody* (Bruzda, n. 335).

Bądźmy wdzięczni tym, którzy są z nami szczerzy. Aby to przyjąć, powinniśmy uzbroić się w pewną moc i stać się mniej drażliwymi. Jeśli bowiem zaczniemy się zasmucać lub też usprawiedliwiać, kiedy kierownik duchowy wskazuje na coś, co nie funkcjonuje, to wówczas odbieramy mu wolność w udzielaniu nam rad. Będzie musiał zwracać uwagę przede wszystkim na sposób, w jaki ma do nas mówić. Przeciwnie: powinniśmy go prosić, aby mówił do nas z jasną szczerością. I uczciwie będziemy mu za to wdzięczni. Kiedy istnieje zaufanie i sympatia, bardziej pożyteczne stają się uwagi niż puste pochwały. Sami wiemy przecież, że jesteśmy grzesznikami. Jeśli ktoś ukaże nam to konkretnie, wcale nie będziemy się dziwić. Św. Jan od Krzyża mówi: *Zazwyczaj bowiem pragną przedstawić sprawy swej duszy takim, o których sądzą, że ich pochwalą i należyście ocenią, uciekają zaś jak przed śmiercią przed każdym, kto by im nie okazał uznania, lecz chciał je wprowadzać na bezpieczną drogę. Niejednokrotnie chowają do nich urazę w sercu* (Noc ciemna, I, 2,3, w: op. cit., s. 407).

Nie załamujmy się jednak. To, co tylu ludzi osiągnęło przed nami, uda się również i nam. Kierownictwo duchowe przynosi pokój i poczucie bezpieczeństwa. Dzięki niemu można kroczyć szybko do przodu i równie szybko rozwiązywać problemy, które pojawiają się po drodze. Dodaje otuchy poczucie zrozumienia, wsparcia, zachęty. A Bóg wynagradza te wysiłki wielkim światłem.

Kierownik duchowy doradzi nam, jakie praktyki pobożne stosować, aby intensywnie przeżywać życie chrześcijańskie. Wskaże nam jakąś książkę jako lekturę duchową, sposób przeprowadzenia modlitwy myślniej (ile czasu i o jakiej porze). Doradzi, jakie



---

modlitwy ustne mogą nam pomóc, jak pogłębić nasze uczestnictwo w modlitwie liturgicznej Kościoła, itd.

Ponadto kierownik duchowy może skonkretyzować, zgodnie z tym, co będzie wiedział o naszym życiu, szczegółowy rachunek sumienia. Polega on, jak już mówiliśmy, na ustaleniu konkretnego punktu, co do którego częściej będziemy czynić rachunek sumienia i koncentrować na nim wysiłek naszej walki ascetycznej.

Dzięki kierownictwu duchowemu całe życie chrześcijańskie zaczyna się szybko rozwijać i to, o czym do tej pory mówiliśmy w naszych rozważaniach, odnajduje swoje miejsce i swój czas.

## Śmierć i życie

Trzeci rozdział Księgi Rodzaju opowiada o pierwszym grzechu ludzi i wyjaśnia, że poprzez ten grzech weszły na świat cierpienie i śmierć: rzeczywistości, których Bóg nie chciał dla rodzaju ludzkiego. Natomiast św. Paweł podsumowuje: *zapłatą za grzech jest śmierć* (Rz 6, 23).

Od tego czasu cierpienie jest nieodłącznym towarzyszem życia, które kończy się śmiercią. Lecz te smutne rzeczywistości uległy przeobrażeniu przez Krzyż Chrystusa. Chrystus, sam nie mając grzechu, przyjął cierpienie i śmierć i przemienił je w środek Odkupienia. W ten sposób cierpienie nie jest już jedynie karą za grzech: jest także jego Odkupieniem.

Cierpienia i ból, a także nasza śmierć, złączone z ofiarą Chrystusa na Krzyżu, nabierają oczyszczającego znaczenia: idąc za przykładem św. Pawła możemy je ofiarować za nasze własne grzechy i za grzechy wszystkich ludzi: *Teraz raduję się w cierpieniach za was i ze swej strony w moim ciele dopełniam braki udręek Chrystusa dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół* (Kol 1, 24). Jest to głęboki i tajemniczy sposób utożsamienia się z Chrystusem, gdyż stajemy się *współdziedzicami Chrystusa; skoro wspólnie z Nim cierpimy po to, by też wspólnie mieć udział w chwale* (Rz 8, 17).

W tym życiu nie możemy uniknąć cierpienia. Po pierwsze dlatego, że nasze ciało, odkąd zaczyna się formować, raz po raz napotyka różne formy cierpienia (choroby, rany, kontuzje, bóleści, itd.). Po drugie, jeśli nasza miłość jest wielka, będziemy mieli wystarczająco dużo powodów cierpienia. Egoista cierpi tylko ze

względu na siebie, zły stan zdrowia, własne upokorzenia, przeciwności losu i własne przegrane. Natomiast ten, kto chce służyć Panu Bogu i ludziom, ma dużo więcej powodów do zmartwień, gdyż jego miłość obejmuje nie tylko jego samego. Dotykają go cierpienia pochodzące od osób bliskich, a także związane z działaniem ze względu na miłość do Boga. Bóle i cierpienia innych stają się naszymi własnymi i budzą naszą troskę. Im bardziej się kocha, tym więcej jest powodów cierpienia. Cierpienie staje się częstsze i bardziej intensywne. Dzięki miłości nasze życie staje się bogatsze, zarówno w wymiarze szczęścia, jak i cierpienia.

Cierpienie często pojawia się nieoczekiwanie i boleśnie, lecz powinniśmy reagować na nie po chrześcijańsku: *Nieraz Krzyż zjawia się, chociaż go nie szukamy: to Chrystus nas szuka* (Droga Krzyżowa, V). Po zrobieniu wszystkiego, co możliwe, aby uniknąć cierpienia lub zaradzić mu, winniśmy wykorzystać tę sposobność do zaakceptowania woli Bożej i złączenia się z Chrystusem ukrzyżowanym. Św. Paweł może nam służyć jako przykład: *Zawsząd znosimy cierpienia, lecz nie poddajemy się zwątpieniu; żyjemy w niedostatku, lecz nie rozpaczamy; znosimy prześladowania, lecz nie czujemy się osamotnieni, obalają nas na ziemię, lecz nie ginimy. Nosimy nieustannie w ciele naszym konanie Jezusa, aby życie Jezusa objawiło się w naszym ciele* (2 Kor 4, 8-10).

Nie powinniśmy wpadać w panikę: w większości nasze utrapienia są normalne i znośne, podobne do tych, które musi znieść każdy człowiek na ziemi. Nie powinniśmy nadawać im zbyt wielkiego znaczenia, a jeśli nawet byłyby wielkie, nie powinny wcale prowadzić nas do nieustannego myślenia o nich czy przesadnego rozczulania się nad sobą. Zapomnienie o sobie jest również najlepszą radą w chwilach cierpienia: *Cechą charakterystyczną człowieka prawego jest to, że nawet pośród cierpień i prześladowań nie przestaje troszczyć się o innych*, powiada św. Grzegorz Wielki (Moralia, 3, 9). W chwilach gdy cierpienie nasila się, powinniśmy przyłgnąć do Krzyża Chrystusa i w Nim szukać ukojenia. Píše Za-

łozyciel Opus Dei: Powiedziałeś mi: ojcze, przeżywam naprawdę ciężkie chwile. A ja ci odpowiedziałem na ucho: weź na swoje ramiona tylko niewielką część tego krzyża, tylko niewielką część. A jeśli nawet w ten sposób nie potrafisz dźwigać... zostaw go całkiem na mocnych ramionach Chrystusa. I już od teraz powtarzaj za mną: Panie, Boże mój, w ręce Twoje daję przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, rzeczy małe i duże, trochę i wiele, sprawy doczesne i wieczne (Droga krzyżowa, VII, 3).

W naszym życiu ciągle będą pojawiać się cierpienia i trzeba umieć przyjmować je jako coś normalnego, nie dać odebrać sobie radości. Powodem naszej radości nie są przecież dobra ziemskie, których prędzej czy później zabraknie, lecz miłość Boga, który jest wieczny: Błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, Ojciec miłosierdzia i Bóg wszelkiej pociechy, Ten, który nas pociesza w każdym naszym utrapieniu, byśmy sami mogli pocieszać tych, co są w jakiegokolwiek udręce, pociechą, której doznajemy od Boga (2 Kor 1, 3-5). Choć wolimy radość i zadowolenie, Bóg przecież nie chce nas smutnych. Nauczmy się nie lękać cierpień i przyjmujmy je bez strachu, kochając wolę Bożą i jednocząc się ze zbawczą ofiarą Jego Syna. Cierpienie jest jeszcze jednym znakiem tego, że jesteśmy na ziemi tylko przejściowo, że nie mamy tutaj trwałego miasta, ale szukamy tego, które ma przyjść (Hbr 13,14). I pewnego dnia, kiedy Pan Bóg zechce, staniemy w obliczu śmierci.

Nie jest to wcale jakaś wyjątkowa sytuacja. Wielu umarło przed nami i wielu umrze po nas. Lecz jest to rzeczywistość trudna, gdyż sprzeczna z naszą naturą. Wiele kosztuje, aby ją zaakceptować. Przejawem mądrości jest ciągła świadomość tego, że umrzemy. Nie powinniśmy się jednak jej lękać. Przebrniemy przez bezwzględność śmierci, tak jak to uczynili nasi poprzednicy. Kościół posiada sakrament namaszczenia chorych po to, aby pomóc nam w chwilach ciężkiej choroby, nawet jeśli miałyby zakończyć się śmiercią. To jeszcze jeden sposób, poprzez łaskę, zwiększenia naszej jedności z męką i śmiercią Chrystusa.

Dobrze jeśli już teraz potrafimy zaakceptować naszą śmierć, ofiarować ją Bogu i oddać się w Jego ręce, aby kiedy On zechce i w jaki sposób zechce, zabrał nas do Siebie: *I kiedy przyjdzie śmierć – a przyjdzie nieuchronnie – będziemy oczekiwać jej z radością, podobnie jak oczekiwało jej tyle osób uświęconych zwykłym, codziennym życiem. Z radością, ponieważ naśladować Chrystusa w czynieniu dobra, pomimo naszych słabości w posłusznym niesieniu Krzyża, zmartwychwstaniemy jak Chrystus (To Chrystus przechodzi, n. 21). Pomóc mogą nam słowa św. Ignacego, biskupa Antiochii, który będąc już w bardzo podeszłym wieku, został zabrany w roku 107 (po Chr.) do Rzymu, gdzie miał zostać rzucony lwom na pożarcie. Pisał wtedy: *Moja miłość jest ukrzyżowana i nie ma już we mnie ducha spraw ziemskich: czuję jedynie w swoim wnętrzu szum żywej wody, która przemawia do mnie i mówi mi: „chodź do Ojca” (List do Rzymian, 4,1-2).**

Liturgia pogrzebowa przejęła zaś następujące słowa św. Pawła: *Wiemy bowiem, że jeśli nawet zniszczy nasz przybytek doczesnego zamieszkania, będziemy mieli mieszkanie od Boga, dom nie ręką uczyniony, lecz wiecznie trwałe w niebie (2 Kor 5, 1). Dlatego też cierpień terażniejszych nie można stawiać na równi z chwałą, która ma się w nas objawić (Rz 8,18). W ten sposób chociaż (...) niszczy nasz człowiek zewnętrzny, to jednak ten, który jest wewnątrz, odnawia się z dnia na dzień. Niewielkie bowiem utrapienia naszego obecnego czasu gotują bezmiar chwały przyszłego wieku dla nas, którzy się wpatrujemy nie w to, co widzialne, lecz w to, co niewidzialne. To bowiem, co widzialne, przemija, to zaś, co niewidzialne, trwa wiecznie (2 Kor 4, 16-18).*

Poprzez wszystkie cierpienia, które przynosi nam życie, i poprzez śmierć możemy utożsamić się z Chrystusem Odkupicielem. Lecz to jeszcze nie wszystko. Pan Jezus nie tylko oczekuje od nas postawy pełnej chrześcijańskiej radości i chrześcijańskiego spojrzenia w przyjmowaniu owych cierpień, lecz także i tego, że sami dobrowolnie będziemy szukać Krzyża: *Jeśli kto chce pójść za*

*Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje. Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je (Mt 16, 24-25). Co Chrystus ma na myśli mówiąc o krzyżu? Św. Augustyn tak odpowiada na to pytanie: Ten krzyż, do wzięcia którego Pan nas zaprasza, abyśmy jak najszybciej za Nim szli, cóż innego oznacza jak nie umartwienie? (List 243, 11)*

Umartwienie oznacza umieranie, czyli tracenie własnego życia, zapieranie się samego siebie. Termin ten zaczerpnięty został z nauczania św. Pawła: *Zadajcie więc śmierć temu, co jest przyziemne w „waszych” członkach: rozpuście, nieczystości, lubieżności, złej żądzdy i chciwości...* (Kol 3, 5). Chodzi o to, aby pozbyć się tego, co jest w nas z dawnego człowieka (por. Ef 4, 22; Kol 3, 9). A ponieważ dawny człowiek jest częścią nas samych, winniśmy umrzeć w sobie: stracić to, co w naszym życiu pochodzi od nas, a nie od Boga: *Ciało bowiem do czego innego dąży niż duch (Ga 5,17).*

Umieranie dawnego człowieka wyraża się w zwalczaniu własnych namiętności i złych przyzwyczajzeń, które posiadamy jako następstwo grzechu pierworodnego oraz naszych grzechów uczynkowych: *A ci, którzy należą do Chrystusa Jezusa, ukrzyżowali ciało swoje z jego namiętnościami i pożądaniem (Ga 5, 24).* Taki właśnie motyw posiadała walka ascetyczna. Patrząc z perspektywy miłości Boga, która objawiła się w ofierze Krzyża, odkrywamy jednak w tej walce nowe wymiary.

Zauważyliśmy już, że nasza miłość Boga pomaga nam zobaczyć w naszych słabościach nie tylko błędy, lecz grzechy, które przyczyniają się do śmierci Chrystusa. Dlatego odczuwamy pragnienie wynagrodzenia za nie w jakiś sposób, pragnienie pokuty, która nie jest niczym innym jak składaniem Bogu ofiar za nasze grzechy. Tak właśnie nauczał św. Jan Chrzciciel i sam Chrystus: *Nawróćcie się, bo bliskie jest królestwo niebieskie (Mt 3, 2; por. 4, 17).* Ponadto poprzez umartwienie możemy wynagrodzić nie tylko za swoje grzechy, ale także za grzechy innych ludzi.

Wreszcie umartwienie, ta dobrowolna ofiara, jest wyraźnym znakiem miłości Boga. Naszym wyrzeczeniem pokazujemy Panu Bogu, że stawiamy Go ponad własne upodobania. Nie ma niczego, co spowodowałoby większy wzrost miłości i lepiej ją ukazało, niż ofiara.

Św. Augustyn tak to streszcza: *Umartwienie oczyszcza duszę, porywa myślenie, podporządkowuje nasze ciało duchowi, czyni serce cichym i pokornym, rozwiewa chmury pożądlivosti, gasi ogień namiętności i zapala prawdziwe światło czystości* (Kazanie 73). Nie myślmymy jednak, że ten wysiłek ujarzmienia namiętności, wynagrodzenia za grzechy i okazywania Bogu miłości jest czymś nadzwyczajnym. Powinno to stanowić naturalny wymiar życia chrześcijańskiego. Wiele osób stosuje prawdziwe umartwienia z innych powodów: *Zauważcie, ilu podejmują się wyrzeczeń, zarówno mężczyźni, jak i kobiety chętnie lub niechętnie, dla pielęgnacji swego ciała, ochrony swego zdrowia lub dla zyskania uznania innych... A my? Czy nie potrafimy nigdy odpowiedzieć na niezmierną miłość Boga, która tak mało znajduje uznania u ludzi, i nie zdobędziemy się na umartwienie tego, co należy umartwić, aby nasze serca i umysły jeszcze bardziej zwróciły się ku Panu* (Przyjaciele Boga, n. 135).

Jakie rodzaje umartwienia wybierzemy? Umartwienie obejmuje wszystkie poruszone już tematy ascetyczne. Jednakże umartwieniem najbardziej miłym Panu Bogu jest to, które prowadzi do wypełnienia obowiązków względem Boga, bliźnich i całej społeczności. W doskonałym wypełnieniu tych obowiązków odnajdziemy całą gamę ofiar, które możemy złożyć: wypełnienie naszego planu dnia, punktualność; panowanie nad swoją wyobraźnią tak, aby być obecnym przy tym, co się robi; pokonanie lenistwa, które prowadzi do odkładania tego, co trudniejsze; dokładność w najmniejszych szczegółach przy wykonywaniu pracy; poświęcenie pracy lub nauce niezbędnego czasu, itd. W obowiązkach względem bliźnich również odnajdziemy wiele możli-

wości podejmowania umartwień: pomoc naszym bliskim w ich zajęciach lub pracach domowych; uśmiech mimo zmęczenia; w chwilach wolnych dawanie pierwszeństwa ich upodobaniom (np. przy wyborze programu telewizyjnego); odwiedzanie chorych i tych, którzy czują się samotni; wysłuchanie tych, którzy chcą się nam zwierzyć, itd.

Bardzo ważnym zagadnieniem związanym z umartwieniem jest pycha. Ponieważ chodzi o wadę głęboko zakorzenioną i niesłychanie trudną do zwalczenia, wiele z naszych umartwień powinno jej dotyczyć: unikajmy myślenia o sobie; nie pielęgnujmy wyobrażeń, które wracają i zatrzymują się na tym, czego dokonaliśmy, lub fantazji, które stawiają nas w centrum marzeń; nie mówmy o sobie, gdy nas nie pytają; nie usprawiedliwiajmy się, jeśli to nie jest konieczne; wsłuchujmy się w opinie innych i nie narzucajmy naszych; nie obrażajmy się z powodu małych żartów; nie przeglądajmy się w lusterku dłużej, niż potrzeba, itd.

Bardzo pożyteczne jest umartwienie w dziedzinie ciekawości, która polega na pragnieniu posiadania wiedzy o rzeczach mało ważnych. Możemy to praktykować w wielu sytuacjach: w nauce, koncentrując się na tym, czego powinniśmy się nauczyć; w rozmowie, aby nie zaprzętać sobie głowy plotkami i obmowami innych; przy wyborze naszych lektur, by nie czytać literatury zbyt powierzchownej, która nie posiada żadnej wartości kulturalnej czy humanistycznej; przy zdobywaniu codziennych wiadomości tak, aby nie zatrzymywać się na informacjach skandalicznych i frywolnych, które niczego nie wyjaśniają.

Innym aspektem umartwienia jest unikanie uprzywilejowanego traktowania pewnych ludzi. Są osoby, które bardziej kochamy i lepiej traktujemy z motywów rodzinnych, przyjaźni, koleżeństwa czy wdzięczności. Lecz poza tymi przypadkami nie powinniśmy dopuszczać innych motywów preferencji, zwłaszcza wtedy, gdy mamy do czynienia z wieloma ludźmi: koledzy ze szkoły lub pracy, grupy, itd. To normalne, że jedni wydają się nam sympatycz-



niejsi, a inni mniej, lecz nie powinno to wcale dawać podstaw do specjalnego ich traktowania. Niekiedy powodowani całkiem powierzchownymi względami, np. wyglądem, lepiej traktujemy jednych niż drugich. Ten sposób postępowania jest niesprawiedliwy, a czasami wręcz obraźliwy. Dobrze, jeśli potrafimy traktować tych mniej sympatycznych z tą samą życzliwością, z jaką zwykle odnosimy się do osób nam bliskich.

Inną możliwością umartwienia jest powstrzymanie się od nabycia czegoś lub odłożenie zakupu jakiejś rzeczy, gdyż tak naprawdę nie jest nam ona potrzebna. Innym razem możemy obejść się bez używania jakiegoś dobra w pewnych dniach lub sytuacjach, np.: zamiast samochodu korzystać z komunikacji publicznej; zamiast oglądać telewizję przeczytać coś lub poświęcić czas na rodzinne rozmowy. Dobrym umartwieniem będzie także ofiarowanie komuś drobnych rzeczy, do których się zbyt przywiązujemy: pióra, zapalniczki, drobiazgu dekoracyjnego, pamiątki, symbolu, itd. Nie jest bowiem rzeczą dobrą pozwolić, by nasze serce przywiązało się do drobnych okrucich materii, które zabierają mu jego wielkość i wolność.

Konieczne w umartwieniach jest umiarkowanie: *W dniu, w którym wstaniesz od stołu nie dokonawszy choćby jednego małego umartwienia, wiedz: jadłeś jak poganin* (Droga, n. 681). Nie chodzi wcale o samo powstrzymywanie się od jedzenia, lecz o ofiarowanie czegoś Panu Bogu w czasie posiłku. Może to polegać na jedzeniu lub picciu troszkę mniej (jedna kromka chleba zamiast dwóch); nienarzekaniu na jedzenie; spożyciu także i tego, co nam nie smakuje; niebraniu dokładek; odłożeniu na później picia; niezaczynaniu jedzenia, zanim wszyscy sobie nie nałożą (co jest także zasadą dobrego wychowania); niespożywaniu niczego pomiędzy posiłkami, odmówieniu sobie nalewki, itd. Oczywiście, nie trzeba czynić wszystkich tych umartwień ani też zawsze tych samych. Nasza pomysłowość i miłość Boga pozwolą nam wybrać niektóre na pewien czas, aby potem je zmienić na inne.

Umartwienia w jedzeniu wprowadzają nas w dziedzinę umartwień cielesnych – ofiar, które składamy Bogu, umartwiając pewne skłonności naszego ciała. Na tym polu, podobnie jak i na pozostałych, trzeba stosować umiar, gdyż nie chodzi o spowodowanie szkody na zdrowiu: *Poprzez wstrzemięźliwość należy wyniszczyć wady ciała, a nie ciało* – zauważa św. Grzegorz Wielki (Moralia, XX, 41, 78). Tak samo nie możemy popaść w drugą skrajność i ciągle przejmować się naszym zdrowiem, stanem naszych sił fizycznych lub ducha. Doświadczenie pokazuje, że nadmierna troska o siebie osłabia człowieka, natomiast trochę wymagań i surowości – to jedna z najlepszych recept na długowieczność.

Trzeba stosować pewną surowość wobec własnego ciała. Sportowcy wiedzą doskonale, że bez wysiłku, zmęczenia, bólu nie poprawią swoich wyników. Te zaś, jeśli stosowane są rozsądnie, nie tylko nie szkodzą ich zdrowiu, ale je poprawiają. Również św. Paweł posługuje się tym przykładem: *Każdy, który staje do zapasów, wszystkiego sobie odmawia; oni, aby zdobyć przemiłą nagrodę, my zaś nieprzemijającą. Ja przeto biegnę nie jakby na oślep; walczę nie tak, jakbym zadawał ciosy w próżnię, lecz poskrabiam moje ciało i biorę je w niewolę, abym innym głosząc naukę, sam przypadkiem nie został uznany za niezdatnego* (1 Kor 9, 25-27).

Warto również wspomnieć o postawie ciała. Możemy przecież ofiarować Bogu rezygnację z wygodnego rozsiadania się w fotelu; albo wybierać krzesła twarde lub mniej wygodne; siedzieć prosto lub nie zakładać nogi na nogę (to wszystko, oprócz tego, że stanowi ofiarę, ma także dobroczynny wpływ na nasz kręgosłup). Inne umartwienie dotyczy snu. To ważna dziedzina naszego życia, o którą trzeba dbać. W zasadzie nie jest dobrze spać mniej niż siedem godzin dziennie, a powinno się dążyć do tego, aby czas snu wynosił osiem godzin, choć bywają rzadkie przypadki, że ktoś potrzebuje więcej lub też wystarczy mu mniej godzin snu. Nikt więc nie neguje potrzeby snu, ale doskonałym

sposobem umartwienia się jest punktualne wstawanie, kiedy nas budzą lub gdy słyszymy głos budzika, bez pozwalania sobie na pozostanie jeszcze kilku minut w łóżku, gdyż zawsze staje się to przyczyną różnych nieporządków (spóźnienia, brak czasu na toaletę, śniadanie, itd.). Innym umartwieniem w tej dziedzinie jest punktualne kładzenie się do łóżka, bez tracenia czasu na robienie niepotrzebnych rzeczy. Umartwieniem będzie także wybór twardego łóżka (ten zdrowy zwyczaj był często pielęgnowany przez świętych), niekiedy spanie bez poduszki, itp. Jednak nie możemy tego czynić w sposób, który uniemożliwiałby odpoczynek, bo przecież Bóg liczy bardzo na naszą pracę następnego dnia.

Innym dobrym umartwieniem jest zimny prysznic lub przynajmniej nie zawsze o takiej temperaturze, która najlepiej nam odpowiada. Jak widać chodzi zawsze o praktyki, które nie szkodzą zdrowiu, choć zawsze trochę nas kosztują. Służą zaś temu, aby uczynić nas mężnymi, by podporządkować ciało panowaniu ducha i złożyć Bogu ofiarę. Św. Bernard wołał: *Niech zawstydzi się słaba część ciała tym, że jest pod panowaniem głowy cierniem ukoronowanej*, odnosząc się do tego, iż będąc członkami Chrystusa, który umarł na Krzyżu, nie możemy być słabymi (Kazanie 5, Na Wszystkich Świętych, 9). Natomiast w „Drodze” czytamy: *Czuły, miękki, słaby.. Nie chcę cię takim widzieć. Czas już, żebyś pozbył się tego osobliwego współczucia, jakim darzysz samego siebie* (n. 193).

Wielką tradycję w historii Kościoła posiada post. Począwszy od III wieku aż do późnego średniowiecza poszczono dwa razy w tygodniu, spożywając tylko jeden posiłek po zachodzie słońca. Szczególnym czasem postu były wigilie świąt (praktyka ta przetrwała aż do XX wieku) i „okresy mocne”: Adwent, a przede wszystkim Wielki Post. Pozostałością po tych praktykach, tak popularnych wśród dawnych chrześcijan, jest ścisły post, jaki Kościół nakazuje w Środę Popielcową i w Wielki Piątek, kiedy to spożywa się tylko jeden normalny bezmięsny posiłek w południe, a niewielki rano i wieczorem.

Poza tym stosowano wiele innych umartwień ciała. Św. Tomasz Morus, kanclerz Anglii, miał zwyczaj noszenia pod swoim ubraniem ostrej koszuli, zrobionej z koziej sierści. Św. Dominik i św. Franciszek z Asyżu używali dyscypliny (małych różg), a wiele reguł zakonnych nakazywało używanie włosiennicy. Nosili ją św. Teresa i św. Jan od Krzyża, i wielu innych zakonników i świeckich. Używano jej także podczas rekolekcji. Nie można jednak sądzić, że były to narzędzia tortur, ani też, że nabrały one wymiaru przesadnych praktyk, które czasami stawały się częścią ludowego folkloru (biczownicy, itd.). Święci zawsze stosowali i zalecali stosowanie tych praktyk z umiarem. Nie można stosować żadnych dziwnych lub bardzo surowych praktyk pokutnych bez wcześniejszego skonsultowania ich z kierownikiem duchowym.

Pokuta, której oczekuje od nas Bóg, powinna konkretyzować się przede wszystkim na nieskończonej liczbie drobiazgów. Na tym właśnie polega nasza służba bliźnim i nasze zawierzenie Bogu. Lecz winniśmy podejść do tego bardzo poważnie. Nie można bowiem zapomnieć o wymaganiu, jakie stawia nam Pan: *Jeżeli ziarno pszenicy spadnie w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo* (J 12, 24); *Jeśli kto chce iść za mną, niech się zaprze samego siebie, niech co dnia bierze krzyż swój i niech Mnie naśladuje!* (Łk 9, 23).

Te wszystkie umartwienia oraz wiele innych, które sami odkryjemy, doprowadzą nas do rzeczywistego panowania nad swoim ciałem, wynagrodzenia za nasze grzechy i za grzechy wszystkich ludzi, do utożsamienia się z Jezusem Chrystusem na Krzyżu i do umiłowania Boga w sposób całkowicie wolny: całym sercem, całą duszą, całym umysłem i ze wszystkich sił.

## Umiłowanie Kościoła

Ofiara Chrystusa zapoczątkowała Nowe Przymierze, które zostało przypieczętowane Jego Krwią (por. 1 Kor 11, 25; Łk 22, 20; Hbr 9, 15). Owocem zaś tego Przymierza jest nowy Lud Boży, nowy kult i nowe kapłaństwo. Prorok Jeremiasz tak zapowiadał czasy mesjańskie: *Oto nadchodzą dni – wyrocznia Pana – kiedy zawrę z domem Izraela „i z domem judzkim” nowe przymierze. Nie jak przymierze, które zawarłem z ich przodkami, kiedy ująłem ich za rękę, by wyprowadzić z ziemi egipskiej. To moje przymierze złamali, mimo że byłem ich Władcą – wyrocznia Pana. Lecz takie będzie przymierze, jakie zawrę z domem Izraela po tych dniach – wyrocznia Pana: Umieszczę swe prawo w głębi ich jestestwa i wypiszę na ich sercu. Będę im Bogiem, oni zaś będą Mi narodem* (Jr 31, 31-33; por. Hbr 8, 8; 10, 16).

Znakiem przynależności do Izraela było obrzezanie, zaś w nowy Lud Boży jesteśmy włączeni przez Ducha Świętego, który zamieszkuje w naszym wnętrzu mocą sakramentów (por. Rz 2, 28n; Kol 2,11; Flp 3, 3). Kiedy bowiem posiadamy łaskę Bożą – dopóki nie popełnimy grzechu ciężkiego – jesteśmy żywymi członkami nowego Ludu Bożego, którym jest Kościół (grzech sprawia, że stajemy się członkami martwymi). Duch Święty jest pieczęcią, czyniącą nas dziedzicami ostatecznej obietnicy królestwa Bożego, do którego wejdziemy pewnego dnia: *Tym zaś, który umacnia nas wspólnie z wami w Chrystusie i który nas namaścił, jest Bóg. On też wycisnął na nas pieczęć i zostawił zadatek Ducha w sercach naszych* (2 Kor 1, 21-22; por. 5, 5; Ef 1, 13). A nadzieja zawieść nie

może, ponieważ miłość Boża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego, który został nam dany (Rz 5, 5).

Duch Święty, który czyni nas dziećmi Bożymi, upodabniając nas do Chrystusa, zaświadcza o naszej przynależności do nowego Ludu Bożego. Odtąd jesteśmy wybranym plemieniem, królewskim kapłaństwem, narodem świętym, ludem [Bogu] na własność przeznaczonym (1 P 2, 9).

Kościół jest wspólnotą ludzi, którzy otrzymali i przyjęli obietnicę Ducha Świętego. Jest nowym Izraelem, utworzonym przez ludzi, których Duch Święty uczynił podobnymi do Chrystusa: *wszyscy bowiem jesteście kimś jednym w Chrystusie Jezusie* (Ga 3, 28), powie św. Paweł. Im bardziej jesteśmy zjednoczeni z Chrystusem, tym wyraźniejsza staje się jedność Kościoła. A źródłem tej jedności jest Duch Święty.

Dlatego też Kościół jest czymś więcej niż tylko stowarzyszeniem lub społecznością utworzoną z woli pewnych ludzi. Kościół jest instytucją świętą, założoną przez Jezusa Chrystusa, a jej życie zależy od zamieszkania Ducha Świętego w każdym z jej członków. Duch Święty jest bowiem ostatecznym wytłumaczeniem ich życia wiary i nadziei.

Ponadto Kościół jest zapowiedzią i zadatkim tego, czym na końcu czasów będzie królestwo niebieskie. Nie tylko łączy wszystkich chrześcijan, którzy na ziemi przynależą do Kościoła, lecz także tych wszystkich, którzy do niego należeli, a po śmierci cieszą się życiem w bliskości Boga w niebie. Do Kościoła należą również, jakkolwiek nie w sensie prawnym, ci ludzie, na których Bóg zechciał wylać swojego Ducha, dając im swoją łaskę, choć nie byli nawet ochrzczeni.

Więzy, które jednoczą Kościół, są o wiele mocniejsze i głębsze niż te, które łączą w całość widzialną wspólnotę ludzką. Tę tajemniczą rzeczywistość wyraża twierdzenie, że duszą Kościoła jest Duch Święty. Wszyscy wierzący stanowią nierozzerwalną jedność, zamieszkuje w nich bowiem Duch Święty, który sprawia, że żyją życiem Chrystusa.

Św. Paweł, chcąc wyrazić ową jedność chrześcijan w Chrystusie, posłużył się obrazem ciała. My, wszyscy chrześcijanie, którzy mamy udział w życiu Chrystusa, jesteśmy jak członki jednego ciała – ciała Chrystusa: *Podobnie jak jedno jest ciało, choć składa się z wielu członków, a wszystkie członki ciała, mimo iż są liczne, stanowią jedno ciało, tak też jest i z Chrystusem. Wszyscyśmy bowiem w jednym Duchu zostali ochrzczeni, [aby stanowić] jedno Ciało (1 Kor 12, 12-13). I tak kończy tę myśl: Wy przeto jesteście Ciałem Chrystusa i poszczególnymi członkami (1 Kor 12, 27). Chrystus jest Głową (por. Ef 5, 23), to znaczy kimś, kto nadaje jedność ciału; my zaś jesteśmy członkami, które żyją życiem Chrystusa (por. Kol 1, 18; 2, 17; Ef 1, 29n).*

Kościół jest narzędziem, którym Bóg posłużył się w obdarzaniu zbawieniem ludzi. Stając się członkami Kościoła, dostępujemy udziału w zbawieniu dokonany przez Chrystusa. Poprzez Kościół otrzymaliśmy orędzie wiary, to znaczy to wszystko, czego Chrystus nauczał. W Kościele zostaliśmy ochrzczeni, w nim uczestniczymy w ofierze Chrystusa i przyjmujemy Komunię świętą. W Kościele też zostają nam przebaczone nasze grzechy.

To Bóg chciał, aby droga prowadząca do Niego wiodła przez Kościół. Dlatego też nasze życie chrześcijańskie nie rozwija się indywidualnie, lecz w ramach tego nowego Ludu. W konsekwencji nie jest możliwe oddzielenie naszej relacji z Bogiem od życia Kościoła, gdyż Duch Święty, który działa w naszej duszy, jest tym samym, który podtrzymuje życie Kościoła. Należymy do Kościoła – Ciała Chrystusa i jako jego członki mamy w nim swoje zadanie do spełnienia.

Chrystus zapragnął, aby w Kościele istniały przeróżne funkcje, tak jak w ciele. Nie wszyscy zostali Apostołami, gdyż to On sam przywołał do siebie tych, których sam chciał, a oni przyszli do Niego. I ustanowił Dwunastu, aby Mu towarzyszyli, by mógł wysłać ich na głoszenie nauki i by mieli władzę wypędzać złe duchy (Mk 3, 13-14). Im też powierzył, już po swoim zmartwychwstaniu, władzę

odpuszczania grzechów (por. J 20, 23) i misję nauczania wszystkich narodów: *Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Uczcie je zachowywać wszystko, co wam przekazałem. A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata* (Mt 28, 19-20).

Od tej pory Apostołowie są nowymi kapłanami, czyli *śługami Nowego Przymierza* (2 Kor 3, 6). Ich zadaniem jest przewodniczenie liturgii eucharystycznej na pamiątkę Pana i nauczanie w Jego imieniu.

Wśród Apostołów Jezus zwrócił uwagę na Szymona, któremu nadał imię Piotr. W symbolice biblijnej zmiana imienia oznacza nowe przeznaczenie i nową misję daną przez Boga. Tak jak Bóg nadał nowe imię Abrahamowi (Rdz 17, 5), Sarze (Rdz 17, 15) czy Jakubowi (Rdz 35, 9n), dla zaznaczenia, że czegoś w nich dokonał i nadaje im nowe powołanie, tak Chrystus zmienił Szymonowi imię na Piotr. Po aramejsku „Kepha” (Kefas), a po grecku „Petrus” (męski odpowiednik od Petra) oznaczało po prostu „skałę” i nie używano tego słowa jako imienia osób. Chrystus nadał je, aby wskazać, na jakim fundamencie zbuduje swój Kościół: *Otóż i Ja tobie powiadam: Ty jesteś Piotr [czyli Skala], i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą. I tobie dam klucze królestwa niebieskiego; cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w niebie* (Mt 16,18-19).

Chrystus przekazał mu wówczas władzę, którą da później wszystkim Apostołom, i ustanowił go fundamentem rodzącego się Kościoła. Piotr ma zebrać wszystkich uczniów po rozproszeniu spowodowanym śmiercią Pana: *Szymonie, Szymonie – zapowiada mu Chrystus – oto szatan domagał się, żeby was przesiał jak pszenicę; ale Ja prosiłem za tobą, żeby nie ustała twoja wiara. Ty ze swej strony utwierdź twoich braci* (Łk 22, 31-32). W owej ważnej chwili zapowiada mu również, nie zważając na protesty Piotra, jego trzykrotne zaparcie się Mistrza. Scena ta znajdzie



swoje dopełnienie po zmartwychwstaniu, kiedy Pan zapyta trzykrotnie Piotra – by zrównoważyć to potrójne zaparcie się – czy ten Go kocha bardziej niż inni. Po każdej odpowiedzi skruszonego Piotra – *Panie, Ty wiesz, że Cię kocham* – Chrystus powołuje go, aby pasł Jego owce (por. J 21, 15-17).

Piotr – a po nim jego następcy, papieże – otrzymali misję przewodzenia owczarni Chrystusa i umacniania wszystkich w wierze. Zadaniem papieża jest także służba jedności Kościoła. Sam papież jest widzialnym znakiem tej jedności. W jedności z papieżem wyraża się również jedność każdego chrześcijanina z Chrystusem. Tę relację nazywa się „komunią” i mówi się o kimś, że jest „w komunii” z papieżem (łac. *communio* – wspólnota, społeczność, zjednoczenie). Oznacza to, że wyznaje tę samą wiarę i te same obyczaje oraz korzysta z tych samych środków zbawienia, ustanowionych przez Jezusa Chrystusa. Papież jest Wikariuszem, to znaczy reprezentantem Chrystusa na ziemi. Dla wszystkich zaś chrześcijan ma być znakiem jedności Kościoła: będąc w komunii z papieżem, jest się w komunii z całym Kościołem powszechnym.

Biskupi, którzy są następcami Apostołów, mają podobną misję w każdym Kościele lokalnym. Biskup jest głową Kościoła lokalnego. Każdy chrześcijanin powinien być w komunii ze swoim biskupem, a ten z papieżem. Dla biskupa, podobnie jak dla każdego chrześcijanina, komunია z papieżem oznacza komunię z całym Kościołem powszechnym. Każdemu biskupowi przypada w udziale, podobnie jak papieżowi w całym Kościele, czuwanie nad całością prawd wiary, głoszenie jej poprzez nauczanie i udzielanie sakramentów wiernym. W misji tej współpracują z nim prezbiterzy, czyli kapłani oraz diakoni.

Papież wraz z biskupami, kapłanami i diakonami stanowi hierarchię, czyli władzę Kościoła. Nie wolno jednak pomylić tej władzy z rządem w społeczności cywilnej. Przede wszystkim dlatego, że członkiem hierarchii można stać się tylko poprzez sakrament święceń, który namaszcza daną osobę do tego, aby mogła wypeł-

niać posługę diakonatu, kapłaństwa lub biskupstwa (które jest pełnią kapłaństwa). Jeśli ktoś nie otrzyma ważnie tego sakramentu, nie posiada władzy sakramentalnej, której Chrystus udzielił swoim Apostołom.

Podstawowa misja hierarchii sprowadza się do głoszenia prawd wiary i obyczajów oraz udzielania sakramentów. Biskupi, kapłani i diakoni służą i czuwają nad właściwym przekazem Słowa Bożego i sakramentów, lecz nie mogą ich zmieniać. Są one istotowo identyczne w całym Kościele we wszystkich czasach. Funkcją hierarchii jest przede wszystkim szukanie najlepszego sposobu głoszenia prawd wiary i sprawowania sakramentów. Stąd też hierarchia nie zabiera głosu w innych sprawach życia chrześcijanina: podaje jedynie kryteria moralne lub obyczajowe, a nie doktryny ekonomiczne, polityczne, handlowe czy zdrowotne, itd.

Kościółowi jako całości i tym, którzy nim kierują, w ich specyficznych funkcjach towarzyszy obecność Ducha Świętego. On jest tym, który oświeca umysły, aby mogły odkrywać i stosować zasady wiary i moralności. On także gwarantuje autentyczność nauczania i to, że nie zginie depozyt wiary. W sposób szczególny towarzyszy tym, którzy posiadają w Kościele publiczny mandat głoszenia prawdy Chrystusa, aby ją przepowiadali czystą, wolną od skażenia błędami. Kościół posiada pewność, że nie może być błędu w nauce, którą głosi od wieków. Uznaje za taką tę, którą głoszą wszyscy biskupi rozproszeni po całym świecie lub zebrani na soborze, i tę, którą papież ogłasza w sposób uroczysty, kiedy chce uczynić to jako Najwyższy Pasterz Kościoła, z zamiarem zdefiniowania jakiejś prawdy jako części depozytu wiary. Hierarchii przynależy więc zadanie publicznego głoszenia wiary i strzeżenia jej, a w misji tej czuje się wspomagana przez Ducha Świętego, który prowadzi Kościół do całej prawdy. Nazywamy to nieomylnością Kościoła.

Dla chrześcijanina osoby sprawujące urząd w Kościele reprezentują Chrystusa. Dlatego też kierując się miłością do Chrystusa,

okazuje im cześć i szacunek. Oczywiście hierarchia składa się z ludzi, którzy, jak wszyscy, mają swoje wady. Nie byli od nich wolni i sami Apostołowie: prawie wszyscy opuścili Chrystusa umierającego na Krzyżu, a Piotr trzy razy zaparł się swojego Mistrza. Każdy z nas ma jakieś słabości. Chrześcijanin powinien jednak umieć rozróżniać pomiędzy ludzką wadą a świętą czynnością: szanujemy diakonów, kapłanów, biskupów, papieża nie tylko dlatego, że są ludźmi, ale dlatego, że reprezentują Jezusa Chrystusa. I kochamy ich, bo kochamy Chrystusa. Dlatego też staramy się nigdy źle o nich nie mówić, aby nie zaszkodzić jedności Kościoła.

Ten sposób widzenia pozwala rozwiązywać kwestie dotyczące historii Kościoła. Kościół w swojej historii pozostawił w świecie niewiarygodny szlak światła. Działanie Ducha Świętego przemieniło miliony ludzi i wzbudziło wiele istnień odznaczających się heroiczną służbą bliźniemu i miłością Pana Boga. Wielu ludzi przeżyło swoje życie, służąc chorym, umierającym, starym; wychowując młodzież i dzieci; rozsiewając jednocześnie, z wielkim zaangażowaniem, naukę chrześcijańską na terenach misyjnych. Tak działo się na wielu obszarach działania Kościoła. Miliony innych chrześcijan potrafiło oświecić światłem wiary swoje życie rodzinne, wspaniale znosząc życiowe komplikacje, opiekując się potrzebującymi i chorymi; dając przykład uczciwości w handlu, w przemyśle, na roli i w życiu publicznym. Cały ten szlak światła znalazł jedynie blade odbicie w biografii niewielu świętych wyniesionych na ołtarze, przepelnił jednak historię światłem Bożej miłości.

Przykładem innego wyraźnego śladu obecności Kościoła jest ogromne dzieło cywilizacji, kształtujące praktycznie całą kulturę Zachodu. W ten sposób Kościół pozostawił wspaniałe, nieocenione świadectwa piękna w niezliczonych dziełach sztuki chrześcijańskiej, które w swojej całości stanowią najbogatsze, najliczniejsze i najbardziej rozpowszechnione dziedzictwo artystyczne, jakie posiada ludzkość.

W ostatnich czasach coraz więcej osób zapomina o tym wszystkim i podkreśla jedynie pewne negatywne problemy, wybrane z historii Kościoła i często poddane manipulacji. Chryścjanin powinien posiadać spojrzenie bardziej obiektywne i wypełnione miłością. Nie ulega wątpliwości, że mogły się zdarzyć błędy, ponieważ Kościół – choć stanowi Bożą tajemnicę – składa się z ludzi. Ogólnie rzecz ujmując, człowiek posiada mentalność i popełnia błędy charakterystyczne dla epoki, w której żyje. Poza tym historia bardzo jasno dowodzi, że słabości ludzkie ciągle są takie same. Zdumiewające natomiast jest to, że miłość Boża doprowadziła wielu ludzi do poziomu życia wznoszącego się ponad błędy epoki i słabości wspólne wszystkim ludziom. Natomiast nie jest niczym zaskakującym, że inni lub ci sami ludzie, w jakimś momencie swojego życia, poprzez słabość lub brak Bożej miłości nie potrafili żyć w ten sposób. Kiedy więc przystępujemy do oceny wydarzeń historycznych, bardzo ważne jest, by nie zapominać o tych dwóch możliwościach i oceniać każdy błąd w odniesieniu do epoki, w której został popełniony. Otrzymamy w ten sposób obiektywny punkt widzenia. *Nie może wierzyć prawdziwie w Ducha Świętego ktoś, kto nie kocha Kościoła, kto nie ma do niego zaufania, kto ogranicza się do wskazywania niedoskonałości i błędów tych, którzy go reprezentują, kto sądzi powierzchownie i sam nie jest zdolny czuć się synem Kościoła* (To Chrystus przechodzi, n. 130).

Kościół, tak jak każde działanie Pana Boga na ziemi, jest słaby w swojej ludzkiej części. Chrystus zechciał przyjść na świat jako bezbronne dziecko w szopie, na skraju małego miasteczka i umarł, upokorzony przez ludzi i odarty ze wszystkiego, śmiercią, jaka przysługiwała niewolnikom. Bóg woli bowiem przejść przez ziemię w uniżeniu i ubóstwie, być może dlatego, aby nas nie zniewalać i pozwolić, aby nasza miłość ku Niemu była całkowicie wolna. Kościół również uczestniczy w tej słabości. Bywał więc targany przez wiatry historii, a to, że przez dwa tysiące lat nie uległ przeciwnościom, jest jednym z najbardziej namacalnych

dowodów jego Boskiego pochodzenia. W niektórych przypadkach otwarcie go prześladowano, jak choćby w początkach jego istnienia, a potem wielokrotnie w różnych epokach i miejscach. Innym razem napotykał ambicję możnych tego świata, którzy chcieli uczynić z kościelnych godności drogę własnego wzbogacania się. Kościół zetknął się ze wszystkimi totalitaryzmami, przeszłymi i aktualnymi, które nie są w stanie tolerować instytucji głoszącej bez żadnych kompromisów prawdę przekazaną przez Boga. Zderzał się również, odkąd Herod kazał uwięzić Jana Chrzciciela, z tymi wszystkimi, dla których moralność chrześcijańska, przez sam fakt istnienia, była wyrzutem sumienia.

Od XVII w. przeważa nurt myślowy, który postawił sobie za cel rozpowszechnienie negatywnego obrazu Kościoła, przypisując mu wszystko to, co mogłoby oznaczać: zacofanie, ciemnotę, zabobony i myślenie antynaukowe. Ten negatywny stereotyp historyczny miał usprawiedliwić stworzenie nowego, pozbawionego moralności człowieka. Taki sposób myślenia o Kościele żywy jest do naszych czasów.

W historii Kościoła nie było epoki pozbawionej trudności. Sam Chrystus przestrzegał, że na Jego polu – polu historii – będą rosły obok siebie pszenica i kąkol (por. Mt 13, 24-30). Kościół zawsze widział za różnymi prześladowaniami i trudnościami w spełnianiu misji, często dziwnymi i nieracjonalnymi, rękę Złego. Już Chrystus zapowiedział Piotrowi, że Kościół będzie męczony przez szatana (por. Łk 22, 31). Zarazem jednak zapewnił, że *bramy piekielne go nie przemogą* (Mt 16, 18). Kościół jest świadomy, że zamieszkuje w nim Duch Święty i że Chrystus obiecał, iż nigdy go nie opuści (por. Mt 28, 20). Często wygląda – to porównanie, którego używano od początku jego istnienia – jak łódź Piotrowa: słaba i uderzana wiatrem i falami Jeziora Galilejskiego. Lecz tak jak wtedy, kiedy Chrystus *spal w tyle łodzi na wezglowiu* (Mk 4, 38), tak również i dzisiaj wystarczy Go poprosić i On przyjdzie nam z pomocą. Św. Augustyn tak to widzi: *To nic, że [łódź] wydaje się*

być mocno miotana falami, gdyż obok uczniów płynie na niej także Chrystus. Dlatego też nie oddalaj się od łodzi i prosź Pana Boga. Kiedy zawiodą wszystkie środki, kiedy ster nie będzie działał i podarte żagle staną się największym niebezpieczeństwem, kiedy straciłeś nadzieję na ludzką pomoc, pomyśl, że jedyne co ci pozostało, to modlitwa do Pana Boga. On, który na co dzień szczęśliwie doprowadza rybaków do portu, nie może opuścić łodzi Kościoła (Kazanie 63, 4).

Największym niebezpieczeństwem, ze względu na możliwe szkody, nie jest to, pochodzące z zewnątrz, lecz to, płynące od wewnątrz. Kościół wychodzi umocniony z wszelkich prześladowań, natomiast osłabia go niewierność jego członków. Być chrześcijaninem to ponosić wielką odpowiedzialność za prowadzenie świętego życia, zgodnego w pełni ze wskazówkami Chrystusa. Każda nasza niewierność i każdy nasz grzech dotyczą całego Kościoła. Św. Ambroży naucza, że *nie w sobie samym, lecz w swoich żywych członkach Kościół doznaje osłabienia, dlatego też winniśmy dołożyć wszelkiego wysiłku, aby go nie osłabiać* (O dziewictwie, 48).

Ciało Kościoła żyje jednym życiem. Dlatego to, co my czynimy, oddziałuje na wszystkich. W taki sam sposób jak bolejąca część ciała sprawia, że całe ciało choruje, tak nasze grzechy szkodzą życiu Kościoła: *Tak więc, gdy cierpi jeden członek, współcierpią wszystkie inne członki* (1 Kor 12, 26). Lecz również nasza wierność wpływa na cały Kościół. Tak samo dzieje się z wiernością innych, która nas wspomaga. Ten tajemniczy aspekt jedności Kościoła nazywa się „świętych obcowaniem”.

Jedność jest największym dobrem Kościoła. W czasie Ostatniej Wieczerzy Chrystus modlił się, *aby wszyscy stanowili jedno* (J 17, 21). My również powinniśmy uczynić wszystko, co w naszej mocy, aby przyczynić się do wzmocnienia jedności Kościoła. Jedność Kościoła zależy przede wszystkim od tych, którzy będąc w stanie łaski, są mieszkaniem Ducha Świętego i utożsamiają się z Chrystusem. Na zewnątrz zaś jedność ta wyraża się w komunii z Ojcem Świętym, realizowanej przez miłość i modlitwę za niego;

w synowskim posłuszeństwie jego nauczaniu; w umiłowaniu wszystkich biskupów Kościoła katolickiego, a w szczególności tego, który zarządza naszą diecezją; w modlitwie za niego i posłuszeństwie jego nauczaniu, które dokonuje się w komunii z Rzymem. Jedność ta wyraża się także w tym, że staramy się, by wszyscy poznali i pokochali dobro wspólne Kościoła: prawdy wiary, moralność i sakramenty. Stąd też przyczyniamy się do jedności Kościoła zawsze wtedy, gdy staramy się prowadzić prawdziwie chrześcijańskie życie i kiedy w naszym środowisku dajemy świadectwo znajomości prawd wiary i sakramentów oraz miłości do Ojca Świętego i biskupów. Kochać jedność Kościoła to wreszcie w swoim sercu pomieścić wszystkich chrześcijan. Św. Augustyn tak nam radzi: *Jeśli chcesz kochać Chrystusa, rozszerz swoją miłość na całą ziemię, gdyż członki Chrystusa znajdują się na całym świecie* (Homiletyczny komentarz do listu św. Jana, 10,5).

## Dojrzałość chrześcijańska

Podczas Ostatniej Wieczerzy Chrystus obiecał swoim Apostołom, że pośle im Ducha Świętego, którego nazwał Parakletem, tzn. Pocieszycielem: *On was wszystkiego nauczy i przypomni wam wszystko, co Ja wam powiedziałem* (J 14, 26). Rzeczywiście, Duch Święty zstąpił na Kościół w sposób widzialny w dzień żydowskiego święta Pięćdziesiątnicy (por. Dz 2). Przepelnieni Duchem Świętym Apostołowie zmieniają sposób życia. Pomimo swojej ucieczki spod Krzyża, od tej chwili staną się wiernymi świadkami Chrystusa w całym świecie, a wielu odda za Niego swoje życie.

Dla każdego chrześcijanina wejście w dojrzałość chrześcijańską dokonuje się przez sakrament bierzmowania. Następuje wówczas nowe przyjęcie Ducha Świętego, otrzymanego po raz pierwszy na chrzcie świętym. Duch Boży uzdalnia nas do uczestnictwa w misji Chrystusa. Oczywiście wszystkie sakramenty czynią człowieka bardziej podobnym do Chrystusa, gdyż każdy z nich powoduje wzrost życia łaski. Natomiast cechą charakterystyczną bierzmowania jest upodobnienie się do Chrystusa w odwadze i jasności, z jaką głosił prawdę o Bogu, i drodze prowadzącej do Niego.

Chrześcijanin winien zatem podjąć trud głoszenia Ewangelii z tym samym zapałem, z jakim czynił to Chrystus: *Przyszedłem rzucić ogień na ziemię i jakże bardzo pragnę, żeby on już zapłonął* (Łk 12, 49). Podobnie jak Chrystusa, winien poruszyć go fakt, że istnieje jeszcze tylu ludzi, którzy nie znają Ewangelii: *A widząc tłu-*



my ludzi, litował się nad nimi, bo byli znękani i porzuceni, jak owce nie mające pasterza. Wtedy rzekł do swych uczniów: „Żniwo uprawdzie wielkie, ale robotników mało. Proście Pana żniwa, żeby wyprawił robotników na swoje żniwo” (Mt 9, 36-38).

Każdy chrześcijanin jest robotnikiem na niwie Pana. Dlatego też powinniśmy odczuwać owo przynaglenie, które kazało wołać św. Pawłowi: *Albowiem każdy, kto wezwie imienia Pańskiego, będzie zbawiony. Jakże więc mieli wzywać Tego, w którego nie uwierzyli? Jakże mieli uwierzyć w Tego, którego nie słyszeli? Jakże mieli usłyszeć, gdy im nikt nie głosił?* (Rz 10, 13-14) Nie jest dla mnie powodem do chluby to, że głoszę Ewangelię. Świadom jestem ciężącego na mnie obowiązku. *Biada mi, gdybym nie głosił Ewangelii!* (1 Kor 9, 16-17).

Ewangelizacja jest bowiem obowiązkiem spoczywającym na każdym wierzącym. Nie możemy przecież zatrzymywać wiary tylko dla siebie. Jest ona darem, którym trzeba się dzielić. *Wy jesteście solą dla ziemi. Lecz jeśli sól utraci swój smak, czymże ją posolić? Na nic się już nie przyda, chyba na wyrzucenie i podeptanie przez ludzi. Wy jesteście światłem świata. Nie może się ukryć miasto położone na górze. Nie zapala się też światła i nie stawia pod korcem, ale na świeczniku, aby świeciło wszystkim, którzy są w domu. Tak niech świeci wasze światło przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Ojca waszego, który jest w niebie* (Mt 5, 13-16).

Być może wielu z nas żyje w społecznościach schrystianizowanych przed wiekami, w których zapomniano o tym obowiązku i za zupełnie wystarczające uznaje się, że zadanie nauczania spoczywa tylko na hierarchii Kościoła. Jakże błędne jest takie myślenie. Wszyscy jako chrześcijanie uczestniczymy w posłannictwie nauczania narodów (por. Mt 28, 19). Dekret o apostołstwie świeckich *Apostolicam actuositatem* Soboru Watykańskiego II przypomina, że powołanie (...) chrześcijańskie jest z natury swojej również powołaniem do apostołstwa (n. 2).

To apostołstwo inaczej realizowane jest przez sprawujących urząd w Kościele, a inaczej przez świeckich. Hierarchii przynależy zadanie autorytatywnego głoszenia, w sposób oficjalny, prawd wiary i udzielanie sakramentów. Natomiast posłannictwo świeckich polega na układaniu całego swojego życia zgodnie z wiarą i przekazywaniu jej światła innym – tam, gdzie człowiek żyje na co dzień. Cytowany przed chwilą dokument soborowy bardzo jasno to określa: *Ludzie świeccy (...) sprawują apostołstwo przez swą pracę zmierzającą do szerzenia Ewangelii oraz uświęcania ludzi i do przepajania duchem ewangelicznym oraz doskonalenia porządku spraw doczesnych (...). Ponieważ zaś właściwością stanu ludzi świeckich jest życie wśród świata i spraw doczesnych, dlatego wzywa ich Bóg, by ożywieni duchem chrześcijańskim, sprawowali niczym zaczyn swoje apostołstwo w świecie* (DA, 2). Nie chodzi więc wcale o dokonywanie rzeczy wielkich, lecz o działanie jak zaczyn, z całą prostotą i naturalnością, tak, by całe nasze życie, we wszystkich wymiarach, było świadectwem o Chrystusie.

Wzorem postępowania jest sam Chrystus. Wystarczy tylko pomyśleć, jak On by postąpił, gdyby się znalazł na naszym miejscu. Powinniśmy mieć świadomość tego, że świecki wezwany jest bardziej do naśladowania życia ukrytego Chrystusa, Jego trzydziestu lat normalnej pracy niż Jego życia publicznego. Postawa taka stanie się w nas czymś naturalnym, gdy będziemy bliżej Chrystusa i gdy Jego troski staną się naszymi troskami. Pierwszą zaś jest to, iż Bóg pragnie, by wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy (1 Tm 2, 4).

Głoszenie Ewangelii jest zadaniem pięknym: przyczynia się do tego, że ludzie przybliżają się do Boga i kochają Go; jest szerzeniem prawdziwej radości i pokazywaniem, w jaki sposób człowiek może żyć godnie. Życie chrześcijańskie daje szczęście i uszlachetnia nasze postępowanie, czego przejawem jest choćby postawa sprawiedliwości i miłości wobec bliźnich. W ten sposób głoszenie Ewangelii przyczynia się nie tylko do poprawy życia

---

pojedynczego człowieka, lecz także całych społeczeństw. Szerzenie Ewangelii jest więc wielkim dobrem społecznym: za każdym razem przybywa ludzi zdolnych zapomnieć o sobie samych i służyć innym.

Ewangelię jednak trzeba głosić zawsze w ścisłym zjednoczeniu z Chrystusem. Apostolstwo nie jest działalnością handlową ani też nie rozwija się przy użyciu metod socjotechnicznych, przypominających kampanię reklamową. Jest ono przejawem naszego życia w Chrystusie. Jeśli nie jesteśmy ściśle zjednoczeni z Chrystusem, nie będziemy mogli apostołować prawdziwie po chrześcijańsku. Pan wyraził tę prawdę za pomocą pięknej przenośni: *Podobnie jak latorośl nie może przynosić owocu sama z siebie – jeśli nie trwa w winnym krzewie – tak samo i wy, jeżeli we Mnie trwać nie będziecie. Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami. Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity, ponieważ beze Mnie nic nie możecie uczynić* (J 15, 4-5). Ta właśnie zasada powinna kierować naszym apostołskim zaangażowaniem.

Apostolstwo powinno przenikać wszystkie dziedziny naszego życia, ponieważ nie ma ani jednej, w której moglibyśmy przestać utożsamiać się z Chrystusem. Oczywiście będą różnice w sposobie: w jednej dziedzinie życia nasze pragnienie przybliżenia wszystkich ludzi do Chrystusa wyrazi się w taki sposób, w innej w inny. Miłość Boga i bliźniego sprawi, że nie zabraknie nam pomysowości, talentu i skuteczności. Nie chodzi wcale o jakieś wyjątkowe zachowania, lecz o nasycenie chrześcijańskim duchem naszej zwyczajnej pracy i naszych kontaktów z innymi ludźmi.

Dlatego też pierwszym naturalnym obszarem apostołstwa jest rodzina. Małżonkowie powinni wspomagać się wzajemnie w miłości Boga, wzajemnie się zachęcając czy też poprawiając błędy, jeśli zajdzie taka potrzeba. Następnie winni wychować po chrześcijańsku swoje dzieci, wprowadzając je umiejętnie i z całą naturalnością w swój sposób przeżywania wiary, ucząc je stopniowo

pewnych modlitw i zwyczajów chrześcijańskich oraz podstaw chrześcijańskiej doktryny. Trzeba poprawiać z cierpliwością i życzliwością ich błędy i pomagać im, aby wzrastały w cnotach: aby zwalczały lenistwo (przez punktualność, utrzymywanie porządku wokół siebie, przez pomoc w domu, spełnianie obowiązków, itd.); aby uczyły się wyrzeczenia (uczyć je ograniczania się do tego, co konieczne, nie przesadzać z kupowaniem zabawek, nie dawać im pieniędzy bez powodu); aby były szczere (wyradzając sytuacje, w których przyznają się do popełnionego zła, starając się, by nie straciły zaufania do rodziców, itd.). Na temat tych wszystkich aspektów wychowania chrześcijańskiego istnieje bogata literatura, która może wiele pomóc rodzicom.

Fundamentem rodziny chrześcijańskiej jest sakrament małżeństwa. W nim to zostaje udzielona łaska niezbędna do doskonałego wypełnienia obowiązków życia rodzinnego, niekiedy bardzo trudnych. Życie po chrześcijańsku w rodzinie oznacza pełne otwarcie się na drugiego człowieka (współmałżonka, dzieci, nowe życie). Gdy żyjemy w sposób egoistyczny, pojawiają się problemy i komplikacje. Małżeństwo może być jednak źródłem niewypowiedzianego szczęścia, jako że prawdziwe szczęście można odnaleźć tylko w miłości, a kocha się prawdziwie tylko wtedy, gdy stać kogoś na podejmowanie ofiar. Łaska sakramentu małżeństwa pomaga żyć w ten właśnie sposób.

Chrześcijańskie wychowanie zawiera w sobie troskę o rodzaj formacji, jaką otrzymują dzieci w instytucjach wychowawczych. Konieczna jest właściwa orientacja i uzupełnienie braków, jeśli by takie istniały. Większość istniejących ustaw daje rodzicom prawo wpływu na kierunek wychowywania. Trzeba z tych uprawnień korzystać, aby upewnić się co do właściwej formacji nie tylko swoich własnych dzieci, ale też i innych. Rodzice nigdy nie zostają zwolnieni z moralnego obowiązku czuwania nad kształceniem swoich dzieci: nie wystarczy powierzyć je instytucji, choćby nawet gwarantowała dobre wychowanie.

Drugim naturalnym polem apostołstwa świeckich są stosunki społeczne. Każdy z nas spotyka się z innymi ludźmi z wielu różnych powodów: przyjaźni, pokrewieństwa, sąsiedztwa, pracy, itd. Ponadto ciągle spotykamy się z przypadkowymi ludźmi, czy to w środkach komunikacji, gdzie nawiązują się rozmowy, czy też korzystając z różnych usług (sprzedawców, taksówkarzy, fryzjerów...). Te codzienne ludzkie relacje mogą stać się miejscem apostołstwa. Musimy tylko zachowywać się wobec tych ludzi tak samo, jak zachowałby się Chrystus. Niekiedy jedno z takich przypadkowych spotkań może się stać początkiem czyjegoś nawrócenia. Przykładem jest tu Chrystus. On umiał wykorzystać przypadkowe okazje, jak choćby spotkanie z Samarytanką (J 4), do nawiązania rozmowy, która zmieniała daną osobę. Wysiłek postępowania tak jak Chrystus – pozwoli nam wczuć się i uczestniczyć w Jego trosce o niesienie wszystkim światła wiary. Powinniśmy odczuwać zatroskanie o przybliżenie do Boga tych wszystkich ludzi, z którymi się spotykamy.

W każdej okoliczności, jeśli tylko staramy się myśleć tak jak Chrystus, ujrzymy okazję i sposób świadczenia o wierze. Nie może to być nic nadzwyczajnego i sztucznego, gdyż człowiek mówi z reguły o tym, co nosi w swoim sercu: *z obfitości serca mówią usta*. Dla człowieka, który czymś się pasjonuje (muzyką, malarstwem, wyścigami, piłką, itd.), jakakolwiek okazja może być dobra do rozmowy o tym. Nie powinno być inaczej, kiedy chodzi o Pana Boga.

Z jeszcze większą naturalnością będziemy o wierze rozmawiać z osobami, z którymi żyjemy na co dzień, a zwłaszcza z naszymi przyjaciółmi. Bo przecież cechą charakterystyczną przyjaźni są zwierzenia: dzielenie się troskami, obawami, radością i poglądami. Przyjaźń wykuwa się poprzez takie właśnie dzielenie się. Wśród spraw, o których rozmawiamy, uprzywilejowane miejsce powinna więc zajmować wiara.

Miłość, z jaką traktujemy naszych przyjaciół, będzie motorem przekazywania im tego, co sami uważamy za nasze największe dobro, co nadaje sens i radość naszemu życiu. Przecież chcemy

jak najlepiej dla tych, których kochamy. Dlatego też w naszych relacjach przyjaźni pojawiać się będą nasze problemy w wierze, nasza relacja z Bogiem, chęć służenia Mu, radość, jaką daje nam wiara i chrześcijańskie życie. W przypadku prawdziwej przyjaźni taka szczerość przynosi wielkie owoce i Pan często posługuje się nią, aby zdobywać ludzkie serca. Wprowadzając powoli tę tematykę do naszych rozmów, odkrywać będziemy coraz to więcej sposobności do otwartego mówienia o Panu Bogu.

Apostolstwo nie polega jednak na udzielaniu lekcji, lecz na odkrywaniu zachwycających swym pięknem horyzontów. Działalność apostołska została przyrównana przez Chrystusa do działania chlebowego zaczynu, który wymieszany z mąką sprawia, że ta zaczyna fermentować i przemienia się (por. Mt 13, 33). Takie samo powinno być apostołstwo: naturalne i ciche, lecz skuteczne. Św. Jan Chryzostom tak ujmuje tę ideę: *W taki sam sposób powinniście i wy postępować, kiedy jesteście wmieszani między ludzi (...): jak zaczyn, który, choć ukryty, nie gubi się, lecz powoli nadaje ciastu charakterystyczne dla niego właściwości* (Homilie do Ewangelii św. Mateusza, 46).

Jakkolwiek apostołstwo nie opiera się na żadnej technice, lecz na miłości Boga i przeżywaniu trosk Chrystusa, dobrze jest jednak poznać pewne pomoce. Ostatecznym celem naszego apostołstwa winno być pełne uczestnictwo w życiu Kościoła osób, z którymi rozmawiamy: poprzez coraz głębsze poznanie wiary i moralności oraz poprzez przyjmowanie sakramentów. Bez osiągnięcia tych celów nasze apostołstwo byłoby nieskuteczne. Stąd też wypada znać książki lub inne publikacje, które mogą pomóc naszym znajomym w odkryciu Pana Boga i ukochaniu Go. Oczywiście trzeba brać pod uwagę różny wiek, kulturę i zainteresowania tych osób, co może wpłynąć na zastosowanie w każdym przypadku innych środków. Bardzo pomocne będzie ogarnięcie tych spraw naszą modlitwą i przemyśleniem przed Panem, co jest odpowiednie dla danej osoby.

Nigdy nie możemy zapomnieć o wielkim znaczeniu sakramentów w życiu chrześcijańskim. Częstokroć pierwszoplanowym celem dla osoby, która zaprzestała praktykowania wiary, będzie dobra spowiedź. Dla kogoś innego zaś, kto nie jest jeszcze chrześcijaninem, będzie to przygotowanie go do sakramentu chrztu. Sakramenty są źródłem łaski i narzędziami, za pomocą których Bóg działa w duszy człowieka.

Jakże piękne jest pomaganie innym w przybliżaniu się do Boga! Ileż radości przynosi! Warto o tym pamiętać, kiedy mamy możliwość podjęcia decyzji o najważniejszych sprawach naszego życia: wybór zawodu, pracy, miejsca zamieszkania, przynależności do stowarzyszeń czy udziału w życiu publicznym, itd. Istnieją bowiem miejsca, gdzie nasze apostołstwo może nabrać większego rozmachu. Bywa często tak, że jeśli w tych miejscach nie ma kogoś, kto potrafiłby podać chrześcijańskie zasady, to pojawia się ktoś, kto poda zasady antychrześcijańskie: *Liczne rzeczywistości materialne, techniczne, gospodarcze, społeczne, polityczne, kulturalne – pozostawione sobie albo oddane w ręce ludzi, którym brakuje światła naszej wiary – zmieniają się w straszliwe przeszkody dla życia nadprzyrodzonego. Stają się jakby terenem zamkniętym i wrogim wobec Kościoła. Ty jako chrześcijanin – badacz, pisarz, naukowiec, polityk, robotnik – masz obowiązek uświęcania tych rzeczywistości* (Bruzda, n. 311).

Wiele dobra można uczynić dla wiary, działając na takich polach jak dziennikarstwo, nauka, literatura, stowarzyszenia kulturalne lub turystyczne, korporacje zawodowe i stowarzyszenia życia publicznego. Ten rodzaj zajęć może stanowić dla wielu ludzi ich działalność zawodową, w której będą kierować się jednocześnie autentycznym pragnieniem służenia Bogu i bliźnim. Mogą to być również zajęcia, które wykonujemy w czasie wolnym. Chrześcijanin powinien mieć bardzo konkretne zainteresowania w tej dziedzinie.

Można uczestniczyć w życiu publicznym na wiele sposobów, głosząc chrześcijański punkt widzenia na sprawy, które leżą

u podstaw życia społecznego. Są to takie kwestie, jak choćby ustawodawstwo, które dotyczy rodziny (regulujące sprawy małżeństwa, separacji, rozwodów, pomocy rodzinnej, wspomaganie rodziny, kwestie mieszkaniowe, itd.) i wychowania (plan studiów, wolność nauczania, stypendia, materiał dydaktyczny, itd.); ustawodawstwo, które ma wpływ na życie milionów osób i warunkuje w ogromnym stopniu ich postępowanie i mentalność. Trzeba być obecnym i zabierać głos w debacie publicznej.

Dziedziny informacji i sposobów spędzania czasu wolnego są kluczowymi w rozpowszechnianiu mentalności, która może być chrześcijańska lub antychrześcijańska, zależnie od tego, kto nadaje kierunek tym dziedzinom: koniecznie trzeba być tam obecnym. To samo dzieje się w kwestiach promocji systemu wychowania. Wychowanie jest bowiem jednym z najpiękniejszych zadań, wielką przysługą oddawaną społeczeństwu i może być wielką pomocą w szerzeniu wiary.

Rozważając te kwestie, można być pewnym, że napotkamy trudności. Wszystko co dobre kosztuje i cokolwiek dobrego chce się uczynić w tym życiu, napotyka się opór spowodowany naszym lenistwem, naturalnym oporem materii, który przejawia się w wielu formach, oraz ograniczeniami człowieka, które powodują, iż inni nas nie rozumieją, nie chcą współdziałać, a nawet przeszkadzają w tym, co chcemy zrobić. Również w sprawach odnoszących się do Boga dzieje się to samo, co we wszystkich ludzkich działaniach, a czasami nawet jeszcze więcej. Widzieliśmy już, że sprawy Boże wywołują niekiedy dziwne reakcje: nienawiści, zazdrości, manii i prześladowań, które trudno wytłumaczyć jedynie naturalnymi powodami. Chrystus przestrzegał swoich uczniów, aby byli na to przygotowani: *Jeżeli was świat nienawidzi, wiedzcie, że Mnie pierwszej znienawidził. Gdybyście byli ze świata, świat by was kochał jako swoją własność. Ale ponieważ nie jesteście ze świata, bo Ja was wybrałem sobie ze świata, dlatego was świat nienawidzi. (...) Jeżeli Mnie prześladowali, to i was będą prześlado-*



wać (J 15, 18-20). Jeśli ktoś chce pracować dla Boga, nie uniknie przeciwności. Mimo to Pan dodaje nam otuchy: *Jeżeli moje słowo zachowali, to i wasze będą zachowywać*.

Praca dla Boga niesie ze sobą trudności, lecz także wiele radości. W przeciwnościach, które Bóg często dopuszcza, oczyszczają się nasze intencje i uczymy się pracować powodowani jedynie miłością do Boga. W ten sposób jeszcze mocniej doświadczamy, że Tym, który działa, jest sam Bóg. Św. Paweł tak mówi: *Nie żebyśmy uważali, że jesteśmy w stanie pomyśleć coś sami z siebie, lecz [wiemy, że] ta możliwość nasza jest z Boga* (2 Kor 3, 5), Dzięki temu uczymy się żyć nadzieją, pokładając całą ufność w Bogu, z jednoczesnym stosowaniem środków ludzkich, które leżą w zasięgu naszych możliwości. I wówczas możemy powtórzyć za św. Pawłem: *Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia* (Flp 4,13).

Trudności oczyszczają intencje i oddalają niebezpieczeństwo samozadowolenia, które zagraża każdemu, kto pracuje dla Boga. Przyjemność działania, a w sposób szczególny pracy apostołskiej, może doprowadzić do tego, że upodobamy sobie ciągły ruch: organizowanie, kierowanie, zbieranie, itd. Łatwo wtedy popaść w pokusę nadmiernego zwracania uwagi na to, co czynimy dla Boga, a bardzo mało na samego Boga, dla którego, jak się zakłada, trudzimy się. Może to pochodzić z braku rozwagi, albo też z ukrytej pychy. Nie czujemy wówczas konieczności uciekania się do Boga, bo być może wierzymy, że wszystko czynimy dzięki naszym własnym siłom. Z tego wielkiego błędu „wyciągają” nas trudności. Przywodzą nam na pamięć słowa Chrystusa: *beze Mnie nic nie możecie uczynić* (J 15, 5). Oczywiście, że sami nie możemy uczynić niczego, co przyczyniłoby się do budowania królestwa Bożego.

Nie ma nic wspanialszego niż poświęcenie własnego życia na służbę Panu Bogu i ludziom. Dlatego też chrześcijanin, zwłaszcza kiedy jest młody i podejmuje decyzję o swojej przyszłości: pracy,

zawodzie, w ogóle o życiu, musi zatrzymać się i przemyśleć, czy czasami Pan nie prosi go o podjęcie decyzji nastawionej na pracę apostołską. Może to być apostołstwo wypełniane poprzez wykonywanie konkretnego zawodu, co wyraża się w wysiłku przeniknięcia duchem Ewangelii rzeczywistości ziemskich. Albo też służąc Kościołowi w jego misji jako kapłan, zakonnik, itd. Chrześcijanin nie może przejść przez życie, nie zastanawiając się nad tym pytaniem. Trzeba wsłuchać się w wołanie, które Chrystus skierował do swoich uczniów wobec tłumów: *Proście Pana żniwa, żeby wyprawił robotników na swoje żniwo* (Mt 9, 38).

## Maryja – Matka Boża

W bardzo uroczysty sposób rozpoczyna św. Paweł wyjaśnianie prawdy o Wcieleniu Słowa Bożego: *Gdy jednak nadeszła pełnia czasu, zesłał Bóg Syna swego, zrodzonego z niewiasty* (Ga 4, 4). W kulminacyjnym momencie historii Bóg postanowił posłać anioła, z usilną prośbą o współpracę, do młodej dziewczyny, która mieszkała w małej wiosce położonej w prowincjonalnym regionie Izraela. Św. Łukasz tak to zapisał: *posłał Bóg anioła Gabriela do miasta w Galilei, zwanego Nazaret, do Dziewicy poślubionej mężowi, imieniem Józef, z rodu Dawida; a Dziewicy było na imię Maryja* (Łk 1,26-28).

Bóg nie prosi wcale o opinię czy pozwolenie króla Izraela, ani też jego kapłanów, nauczycieli, autorytetów politycznych i naukowych tamtego świata, dla nas tak odległego. Natomiast prosi o współdziałanie młodą dziewczynę z Nazaretu. Żaden człowiek nie postąpiłby tak, lecz Bóg nie działa zgodnie z ludzką logiką: *Bo myśli moje nie są myślami waszymi ani wasze drogi moimi drogami – wyrocznia Pana. Bo jak niebiosa górują nad ziemią, tak drogi moje – nad waszymi drogami i myśli moje – nad myślami waszymi* (Iz 55, 8-9).

Ta dziewczyna została powołana do wypełnienia wyjątkowej roli w dziele Odkupienia: miała stać się Matką Bożą. Zanim jednak się to wypełniło, Bóg – przez swego anioła – wyjaśnia Jej to, co ma się w Niej dokonać i oczekuje Jej zgody: *Oto poczniesz i porodzisz Syna, któremu nadasz imię Jezus. Maryja pyta: Jakże się to stanie, skoro nie znam męża?* I anioł wyjaśnia jej, w jaki spo-

sób dokona się poczęcie Chrystusa: *Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego osłoni Cię. Dlatego też Święte, które się narodzi, będzie nazwane Synem Bożym.* Wtedy to Dziewica Maryja okazuje swoją pełną dyspozycyjność wobec Bożych planów, choć nie zna jeszcze wszystkich szczegółów i okoliczności tego cudownego wydarzenia: *Oto ja Służebnica Pańska, niech mi się stanie według twego słowa* (Łk 1, 31-38).

Odpowiedź Dziewicy, która nie ucieka, nie żąda gwarancji ani nie stawia warunków, pozwala nam dostrzec bogactwo Jej duszy. Niewątpliwie Bóg przygotował Tę, która miała stać się Matką Jego Syna. Tajemnicze słowa pozdrowienia anielskiego wskazują na tę Jej nadzwyczajną świętość: *Bądź pozdrowiona, pełna łaski, Pan z Tobą.* Już wtedy, przyjmując poselstwo anioła, Maryja była w kręgu Bożego działania. Już wówczas Bóg był z Nią i napełniał Ją swoją łaską.

Jeszcze więcej prawdy o Maryi zawiera inna scena Ewangelii, rozgrywająca się parę dni później, w domu jej krewnej Elżbiety, o której ze słów anioła Maryja wiedziała, iż już wkrótce wyda na świat potomka. Maryja, pełna miłości i entuzjazmu z otrzymanej nowiny, udaje się z pośpiechem, jak podkreśla Ewangelista, do owego domu leżącego wiele kilometrów od Nazaretu. Kiedy tam przyszła, została powitana przez Elżbietę przepięknym pozdrowieniem: *Błogosławiona jesteś między niewiastami i błogosławiony jest owoc Twojego łona. A skądże mi to, że Matka mojego Pana przychodzi do mnie? Oto, skoro głos Twego pozdrowienia zabrzmiał w moich uszach, poruszyło się z radości dzieciątko w moim łonie. Błogosławiona jesteś, któraś uwierzyła, że spełnią się słowa powiedziane Ci od Pana* (Łk 1, 42-45).

Radosna pochwała Elżbiety łączy się w tym momencie z niezmierną radością, która przepelniała duszę Maryi i wylewa się w zachwycie Magnificat. W tym hymnie Dziewica otwiera przed nami swą duszę i wyjaśnia, na czym polega Boża logika: *Wielbi dusza moja Pana, i raduje się duch mój w Bogu, moim Zbawcy. Bo*

wejrzał na uniżenie Służebnicy swojej. Oto bowiem błogosławić mnie będą odtąd wszystkie pokolenia, gdyż wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny (Łk 1, 46-49).

Maryja uwielbia Boga, napelnia się radością i akceptuje słowa Elżbiety. Rzeczywiście jest błogosławiona i najszczęśliwsza spośród wszystkich kobiet. Ma jednak świadomość, że nie stało się tak ze względu na Jej zasługi, lecz z uwagi na wielkie dzieła, które zdziałał w Niej Wszechmogący. Czuje się naprawdę Służebnicą Pańską. I wyczuwa, że Bóg najbardziej umiłował w Niej Jej pokorę. Jest to pokora kogoś, kto będąc blisko Boga, czuje się naprawdę nikim.

Bóg poprzez służbę Maryi zapoczątkowuje Odkupienie świata. Nie chodziło mu wcale o moc ani mądrość, ani też chwałę: nie potrzebuje ich, sam będąc Wszechmogący. Szukał natomiast pokory, miłości i ofiary. Wszyscy ci, którzy znajdują się w otoczeniu Chrystusa, są ludźmi pokornymi, prowadzą całkiem normalne życie, jak większość ludzi na ziemi, lecz swoją wolność oddają Panu Bogu.

Boże Odkupienie nie potrzebowałoby wcale ludzkich środków, ponieważ Bóg ma ich w nadmiarze. Posługuje się tym, czym chce, a zwłaszcza tym bardzo osobistym oddaniem serca. To jedyna rzecz, jakiej Bóg oczekuje od człowieka. Współpraca Maryi w wielkich planach Bożych nie różni się od misji wielu kobiet. Ma urodzić Chrystusa, karmić Go, opiekować się Nim przez wiele lat. Większość życia spędzi więc Maryja pośród zwykłych domowych zajęć. Życie typowe dla kobiety żyjącej wówczas gdzieś w małym prowincjonalnym miasteczku: przyniesienie wody ze studni, wyrobienie ciasta na chlebowe placki, szycie... Poświęcając całe dni na normalne domowe krzątanie się, tak wówczas ciężkie, wkładała we wszystko swą wielką miłość. W tym wszystkim liczy się tylko ten wielki, nadprzyrodzony sens, jaki Boża miłość nadaje temu życiu. Taka jest właśnie Boża logika, takie też jest przesłanie, które niesie Maryja.

Założyciel Opus Dei tak to komentuje: Zauważcie jednak, że Bóg zechciał wywyższyć swoją Matkę, nie oszczędzając Jej na ziemi cierpienia, zmęczenia pracą ani też światłocieni wiary. Czymś charakterystycznym dla Niej jest Jej szczere „niech się stanie”, Jej pełne oddanie się Jemu, które nie ukazało się w tryumfalnych czynach, lecz w ukrytych i cichych poświęceniach każdego dnia. Ta cicha i ukryta ofiara jest Jej wkładem w Odkupienie ludzi, tym wielkim wkładem, którego Bóg oczekuje od Niej. Rozważając te prawdy, możemy zrozumieć nieco logikę Boga; zdać sobie sprawę z tego, że nadprzyrodzona wartość naszego życia nie zależy od wielkich czynów, jak to sobie czasem wyobrażamy, lecz od wiernej zgody na wolę Bożą; od stałości, szlachetności i gotowości do codziennych, małych poświęceń (To Chrystus przechodzi, n. 172).

Gdyby koniecznym warunkiem służby Bogu było czynienie rzeczy wielkich, to wówczas tylko nieliczni z nas mogliby się cieszyć tym przywilejem. Poza tym najczęściej chodziłoby nie o ich własne zasługi, lecz wynikające z okoliczności ich życia: bogactwa rodziny, możliwości zdobycia nauki i awansu, itd. Większa część ludzkości zostałaby jednak skazana na życie na marginesie Bożych planów, wykonując anonimowo pracę pozbawioną znaczenia. Lecz to właśnie pośrodku tych codziennych zajęć dokonało się Odkupienie, wśród codziennych prac upłynęła większa część życia Chrystusa i tych, którzy byli Mu najbliżsi: Maryi i Józefa. Bóg docenia wszystkich ludzi. Wszyscy – wypełniając nasze powołanie w naszym miejscu pracy, zawodzie, urzędzie, wywiązując się z obowiązków naszego stanu i obowiązków obywatelskich, a także korzystając z naszych praw – jesteśmy powołani do uczestnictwa w Królestwie Niebieskim (To Chrystus przechodzi, n. 44).

Wszyscy ludzie, obojętnie gdzie się znajdują, wykonując każdy godny człowieka zawód, są wezwani przez Boga do współdziałania w Odkupieniu poprzez cichą i ukrytą ofiarę. Takie właśnie zadanie Bóg przygotował i dla nas. A nawet jeśli nasze życie byłoby ukierunkowane na zadania bardziej publiczne i odpowie-

działne społecznie, to szybko odkryjemy, że pomimo wszystko większa jego część mija normalnie, w tym co codzienne, proste, pokorne. Tam właśnie mamy nauczyć się miłować Boga.

Aby dokonać dzieła Odkupienia, Bóg posługuje się tymi codziennymi sytuacjami, przeżywanymi przez Matkę Jezusa, Jego Opiekuna i większość ludzi na ziemi, choć oczekuje także pomocy ludzi cieszących się znacznym poważaniem wynikającym z ich mądrości, bogactwa, sławy czy ludzkich zdolności. Bóg posłużył się usposobieniem św. Pawła i mocą św. Piotra, jak również odwagą i wpływami Józefa z Arymatei (por. Mk 15,42).

Posiadanie środków, inteligencji, zdolności, czci, mocy, sławy lub pieniędzy jest tylko motywem do służenia. Ten, kto ma przywilej ich posiadania, kto dzięki nim się wyróżnia w tym życiu, musi nauczyć się takiego właśnie ich traktowania. Są to talenty, które powinny być wykorzystywane w służbie Panu Bogu i bliźnim. Lecz nie jest to takie proste. Pycha przekształca często to, co miało być bodźcem do służby, w motyw próżności. Wówczas talenty wykorzystywane są do zaspokojenia własnego egoizmu. W tym kontekście łatwiej zrozumieć słowa Chrystusa, które już dla Jego uczniów zabrzmiały bardzo ostro: *Bogaty z trudnością wejdzie do królestwa niebieskiego* (Mt 19, 23). Wszystkie okazje do tego, aby błyszczeć w towarzystwie, odnosić sukcesy, osiągnąć wpływową pozycję, są talentami, z których Bóg nas kiedyś rozliczy. Jeśli więc je posiadamy, powinniśmy prosić Go, abyśmy potrafili ich używać tak, jak Józef z Arymatei, *poważny członek Rady, który również wyczekiwał królestwa Bożego. Śmiało udał się do Pilata i poprosił o ciało Jezusa (...). Zdjął Jezusa [z krzyża], owinął w płótno i złożył w grobie* (Mk 15, 42-46). Potrafił wykorzystać sławę i bogactwa, jakie posiadał (grób był jego własnością, por. Mt 27, 60), w służbie Chrystusowi.

Maryja nie posiadała takich bogactw. Bóg potrzebował Jej miłości okazywanej w zwykłych zajęciach, wydawałoby się bez znaczenia, w tym „cichej i ukrytej ofiary”. Nie oznacza to wcale, że

nie mógł liczyć na Nią. Wręcz przeciwnie – o wiele bardziej niż na jakiegokolwiek innego człowieka. W Bożych planach bowiem najistotniejsze są te bogactwa, których my, ludzie, nie potrafimy w żaden sposób ocenić. Bóg, który widzi w ukryciu (Mt 6, 6), posługuje się w Odkupieniu środkami, które umykają naszej uwadze: modlitwą i cierpieniem, małymi ofiarami i drobnymi przejawami pokuty tylu osób, które żyją spokojnym, normalnym życiem – chorzy, ludzie starsi, matki, robotnicy, rolnicy, gospodynie domowe, zakonnice klauzurowe...

W życiu łaski, obok tego, co widoczne, istnieje wielki niewidzialny obszar. Nie wolno o nim zapomnieć, jeśli chcemy postawić kolejny krok w naszym chrześcijańskim dojrzewaniu. Nie zauważamy bowiem, podobnie jak nie możemy tego pojąć zwykłą ludzką logiką, że życie Chrystusa może mieć coś wspólnego z naszym. Wiara podpowiada nam jednak, że łaska, czyli Duch Święty, który w nas działa, przemienia nas powoli w Chrystusa, a to jest możliwe dzięki Jego męce, śmierci i zmartwychwstaniu. Niewidoczne jest również i to, że modlitwa i ofiara tylu ludzi, połączone z modlitwą i ofiarą Chrystusa, mogą na nas oddziaływać. Bóg pragnie, aby wiele dobra dokonało się właśnie w ten sposób.

W owym świecie, niewidocznym dla naszych oczu, Maryja zajmuje szczególne miejsce. Można to wyczuć, czytając w Ewangelii według św. Jana jedno z ostatnich słów wypowiedzianych przez Chrystusa z Krzyża: *A obok krzyża Jezusowego stały: Matka Jego i siostra Matki Jego, Maria, żona Kleofasa, i Maria Magdalena. Kiedy więc Jezus ujrzał Matkę i stojącego obok Niej ucznia, którego miłował, rzekł do Matki: „Niewiasto, oto syn Twój”. Następnie rzekł do ucznia: „Oto Matka twoja”. I od tej godziny uczeń wziął Ją do siebie (J 19, 25-27).* Jan był jedynym Apostołem obecnym u stóp Krzyża. On właśnie otrzymał Maryję za matkę. W taki sam sposób otrzymują Ją ci wszyscy, którzy pragną wiernie kroczyć za Chrystusem: im bardziej bowiem utożsamiają się z Chrystusem, tym bardziej uznają Ją za Matkę. Już na początku III w. Orygenes



twierdził, że aby być takim jak św. Jan, trzeba najpierw zostać przedstawionym przez Jezusa jako drugi Jezus. W rzeczywistości bowiem, jeśli Maryja nie miała więcej dzieci poza Jezusem, a Jezus mówi do swojej Matki: „oto syn Twój”, a nie „oto Twój drugi syn”, to jest to równoznaczne ze stwierdzeniem „oto Jezus, któremu dałaś życie”. Faktycznie, każdy kto się utożsamiał z Chrystusem, nie żyje już więcej dla siebie, lecz to Chrystus żyje w nim. A ponieważ żyje w nim Chrystus, Jezus mówi o takim człowieku do Maryi: oto Twój syn, Chrystus (Komentarz do Ewangelii św. Jana 19,26).

Maryja jest Matką każdego chrześcijanina, czyli tego, który utożsamia się z Jej Synem. W konsekwencji jest także Matką Kościoła, mistycznego Ciała Chrystusa, tak jak była, choć w inny sposób, Matką Jego fizycznego ciała. Jak zauważa św. Augustyn: współpracowała przez swoją miłość, aby w Kościele rodzili się wierni członkowie tej Głowy, której rzeczywiście jest Matką według ciała (De virginitate, 6). Choć wezwanie „Matka Kościoła” posiada wiekową tradycję, to oficjalnie tytuł ten nadał Maryi papież Paweł VI w czasie uroczystego zakończenia III sesji Soboru Watykańskiego II.

Maryja towarzyszyła Kościołowi po zmartwychwstaniu Chrystusa i odegrała w nim rolę skutecznego narzędzia jedności, umocnienia w wierze (por. Dz 1,14). Kościół narodził się przy Niej i przy Niej wzrastał. W ciągu wieków nigdy nie brakowało przejawów pobożności, mającej swoje podstawy w logice, która stała się Boża i ludzka.

Prawdziwa, a nie jedynie teoretyczna miłość Jezusa prowadzi do umiłowania tego wszystkiego, co odnosi się do Niego i co On sam kochał. W tym najbliższym środowisku życia Chrystusa znajduje się Jego Matka, Maryja. Każdy, kto posiada choć odrobinę wrażliwości, wie, że osoby o wielkim sercu bardziej są wdzięczne za wszelkie oznaki miłości wobec osób, które one same kochają, niż wobec samych siebie. Również Chrystus raduje się tym, że Kościół z wielką wrażliwością odnosi się do Jego Matki. A wraź-

liwość ta, która objawiła się w Kościele powszechnym i była przeżywana i głoszona przez niezliczonych świętych, nie może być fałszywa. W tym wielkim wyczuciu wiary towarzyszy Kościołowi tajemnicza i skuteczna obecność Ducha Świętego.

Kościół widzi w Maryi Pośredniczkę. Z całą pewnością Bóg nie potrzebuje pośredników w działaniu, lecz pragnie się nimi posługiwać i wie, że nam to pomaga. Wpatrywanie się w Maryję, Niewiąstę o zachwycającej prostocie, przybliża nam oblicze życzliwego Boga, pomaga zbliżyć się do Niego i odkryć Chrystusa. Obecność Maryi w Kościele polega bowiem na powtarzaniu słów, które wypowiedziała do sług na weselu w Kanie: *Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie* (J 2, 5). Cała pobożność maryjna powinna więc koncentrować się wokół osoby Jezusa Chrystusa, jedyne Pośrednika.

Zgodnie z Bożymi zamiarami Maryja pełni funkcję osoby, która jest blisko nas i służy nam pomocą. Każdy ma łatwy dostęp do Niej, ponieważ często czujemy się zbyt mali, aby ośmielić się stanąć przed Bogiem twarzą w twarz. Maryja jest najbliższą ostoją we wszystkich prośbach, które zmierzają do powiększenia naszej miłości Boga. Ta, która rozważała w swoim sercu wszystko, co się działo (por. Łk 2, 19. 51), zachęca nas do napełnienia się duchem modlitwy. Myśląc o Niej, uczymy się żyć po chrześcijańsku. Kontemplując Ją, bardziej miłujemy Boga.

Od początku istnienia Kościół z radością wypełnia to, co zapowiedziała sama Najświętsza Dziewica:  *błogosławić mnie będą wszystkie pokolenia*. A czyni to z prostotą, czcząc w ten sposób Tę, która w pokorze stanęła przed Bogiem. Dlatego też modlitewne uczucia skierowane do Maryi powinny owocować w naśladowaniu Jej życia.

Wszelkie formy pobożności maryjnej są niesłychanie proste. Najbardziej popularna z nich, różaniec, polega na powtarzaniu trzech modlitw: *Zdrowaś Maryjo, Ojciec nasz* i *Chwała Ojcu*. Poprzez modlitwę różańcową wchodzimy w ową logikę prostoty

i pokory, która jest logiką samego Boga. Prostota różańca nie oznacza wcale ubóstwa tej modlitwy. Przeciwnie, nie ma nic głębszego od kontemplowania tajemnic naszego Odkupienia, stawiania ich przed nasze oczy i miłowania ich. Rozum nie jest bowiem zdolny do wnikięcia w nie. Jediną drogą jest kontemplacja, a w różańcu kontempluje się wielkie tajemnice życia Jezusa i Maryi. Stawiamy je przed sobą, aby nas przeniknęły. Powtarzamy Ojciec nasz, modlitwę, której nauczył nas Chrystus, Zdrowaś Maryjo, w której wiara Kościoła połączyła pozdrowienie anioła Gabriela i Elżbiety z pełną ufności prośbą, i oddajemy chwałę Trójcy Świętej.

Ten, kto wynosiłby się ponad tę modlitwę tylko dlatego, że jest tak prosta, dowodziłby, że nie rozumiał Bożej logiki. Mentalność, która nie potrafi docenić tej pokornej prośby, nie jest również zdolna docenić zbawczej wartości życia Maryi, tego życia „cichej i ukrytej ofiary”. Nie potrafi także odkryć wartości tych wszystkich prostych, zwykłych ludzkich sposobów na życie. Nie pojmie też wartości miłości, wysiłku, bólu czy codziennego cierpienia tylu osób, które – patrząc po ludzku – wydają się mało ważne. Być może dla takiej osoby byłoby czymś wprost niemożliwym zobaczyć siebie w takiej roli, w normalnym życiu, pozornie pełnym rutyny. Mógłby wtedy popełnić błąd, myśląc że o wiele lepiej jest służyć Panu Bogu poprzez ciągłą, pełną wigoru i rzucającą się w oczy działalność. Ale Bogu nie służymy przecież przez spełnianie naszych własnych pragnień. On jest bardzo zazdrosny w swojej świętości i nie chce, byśmy mieszaali służenie Mu z próżnością czy też satysfakcją, jaką nam przynosi nasze działanie. Bóg posługuje się naszymi talentami wówczas, kiedy Mu je powierzamy, a nie wtedy, gdy usiłujemy zrobić to, na co sami mamy ochotę.

Różaniec czy inne formy pobożności maryjnej pokazują nam, do jakiego stopnia utożsamiamy się z Bożą logiką. Te proste formy pobożności konieczne są w naszym życiu, zwłaszcza wtedy, kiedy pycha daje mocniej znać o sobie. Jeśli Bóg obdarował nas

wieloma talentami: pojętym rozumem, mocą, wiedzą, mądrością, honorem... to wówczas – być może bardziej niż inni – potrzebujemy praktykowania modlitwy różańcowej z dziecięcą prostotą, ponieważ *jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego* (Mt 18, 3). Ten, kto nauczy się odnosić do Maryi jak do swojej Matki, będzie również przed Bogiem czuł się jak dziecko. Podobnie jak w Maryi, dokona w nim rzeczy wielkich Ten, który jest Wszechmocny (por. Łk 1, 49). Taki człowiek odkryje prawdę słów Chrystusa: *Wystawiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztroprnymi, a objawiłeś je prostaczkom* (Łk 10, 21). Pełna dziecięcej ufności relacja z Maryją wprowadzi nas w zażyłość z Bogiem.

Bóg jest przecież celem życia chrześcijańskiego. To, jak się do Niego dochodzi, zostało przedstawione na kartach tej książki. Zaznaczyliśmy, że na tej drodze Bóg czyni to, co chce. A jednym ze środków, którymi się posługuje, aby nam pomóc w tym naszym wędrowaniu, jest pobożność maryjna. Słusznie ktoś powiedział, że Maryja jest skrótem w drodze życia wewnętrznego. Niech więc słowa ze starego hymnu służą nam do skierowania prośby do Maryi, aby wypraszała nam u Boga czyste życie i przygotowała pewną drogę ku osiągnięciu kontemplacji Chrystusa i szczęśliwej z Nim wieczności.

*Vitam praesta puram  
iter para tutum  
ut videntes Jesum  
semper collaetemur. Amen.*

*Daj wieść życie czyste,  
drogę ściel bezpieczną.  
Widzieć daj Jezusa,  
Mieć z Nim radość wieczną.*

(Hymn Ave Maris Stella)